

Nadzwyczajne przygody reportera
Józefa Rouletabille'a

Gaston Leroux

**TAJEMNICA
ŻÓLTEGO POKOJU**

(Le mystère de la chambre jaune)

Spis treści

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII
Rozdział XXIX

Tekst opracowano na podstawie wydania 1930 r.

Rozdział I

w którym zaczynamy nic nie rozumieć

Nie bez pewnego wzruszenia rozpoczynam to opowiadanie o nadzwyczajnych przygodach Józefa Rouletabille'a, Do dzisiejszego dnia niemal sprzeciwiał się temu tak bardzo, że wreszcie zwątpiłem, czy kiedykolwiek będę mógł ogłosić jedną z najciekawszych spraw sądowych, jakie się zdarzyły w ciągu ostatnich lat piętnastu. Przypuszczam nawet, że publiczność nigdy nie poznałaby całej prawdy w dziwnej sprawie „żółtego pokoju”, która zrodziła tyle tajemniczych, strasznych i sensacyjnych dramatów, a z którą imię mego przyjaciela jest ściśle związane. Dopiero, gdy przyznano sławnemu profesorowi Stangersonowi wielki krzyż Legii Honorowej, pewien dziennik wieczorny w artykule nikczemnym swą ignorancją, czy też zuchwałą przewrotnością, wznowił straszną sprawę, którą według zapewnień Rouletabille'a sądziliśmy, że zapomniano na zawsze.

Pokój żółty! Któżby nie pamiętał tej sprawy, dla której przelano tyle atramentu przed piętnastu laty? Tak szybko zapomina się w Paryżu.

A jednak w swoim czasie uwaga wszystkich była wyętzona w tym kierunku. Cały świat wsłuchany był w ciągu paru miesięcy w tę ciemną zagadkę, najciemniejszą, według mego zdania, jaka kiedykolwiek była postawiona przenikliwości naszej policji i powierzona sumieniu naszych sędziów. Rozwiązania tej szalonej zagadki poszukiwał każdy. Był to rodzaj dramatycznego rebusu, nad którego rozwiązaniem wyęzła swój umysł stara Europa i młoda Ameryka.

Naprawdę – przyznać mi to wolno, bez zarozumiałości autorskich, bo tylko powtarzam fakty, na które wyjątkowe dokumenty pozwalają mi rzucić nieco nowego światła – że naprawdę nie wiem, czy można by znaleźć w rzeczywistości lub w imaginacji nawet u autora: *Podwójnego zabójstwa przy ulicy Morgue*, nawet w odkryciach Edgara Poe'ego i przebiegłego Conan Doyle'a coś równie tajemniczego jak ta naturalna tajemnica żółtego pokoju.

To, czego nikt nie mógł odkryć, znalazł młody, osiemnastoletni Józef Rouletabille, wówczas nieznany reporter wielkiego dziennika.

Wtedy jednak, gdy sądowi przysięgłych przyniósł klucz dziwnej sprawy, nie wyjawiał jeszcze całej prawdy. Nie ukazał z niej nic ponad to, co było konieczne, aby wytłumaczyć niewytłumaczalne i uniewinnić niewinnego. Przyczyny, które wówczas nakazywały mu milczenie, dziś znikły. Przyjaciel mój powinien więc mówić. Czytelnicy dowiedzą się zatem o wszystkim i bez dalszego rozciągania wstępu, postawię przed ich oczyma zagadkę żółtego pokoju tak, jak ona się ukazała oczom całego świata nazajutrz po dramacie w zamku Glandier.

Dnia 25 października 1892 roku następująca notatka pojawiła się w ostatniej chwili w numerze *Tempsa*:

Straszną zbrodnia została spełniona w zamku Glandier, na skraju lasu św. Genowefy, powyżej stacji Epinay-sur-Orge u profesora Stangersona. Tej nocy, podczas gdy profesor pracował w swym laboratorium, usiłowano zabić pannę Stangerson, która znajdowała się w pokoju przyległym do laboratorium. Lekarze nie odpowiadają za życie panny Stangerson.

Proszę sobie wystawić wzruszenie, jakie to wywołało w Paryżu. W owym czasie już cały świat naukowy był niezwykle zainteresowany pracami profesora Stangersona i jego córki. Prace te, pierwsze, jakie były podjęte nad radiografią, miały doprowadzić potem pana i panią Curie do odkrycia radu. Oczekiwano zresztą sensacyjnego referatu, który profesor Stangerson miał wygłosić w Akademii Nauk na temat nowej teorii: *O rozproszeniu materii* – teoria ta mogła zachwiać w swych podstawach wszelką naukę oficjalną, która od tak dawna opiera się na zasadzie: *nic nie ginie i nic się nie stwarza*.

Nazajutrz dzienniki poranne były wypełnione opisem dramatu. *Le Matin* między innymi ogłosił artykuł następujący, pt. *Nadnaturalna zbrodnia*.

Oto jedyne szczegóły — pisze anonimowy sprawozdawca *Matina* — jakie mogliśmy otrzymać o zbrodni w zamku Glandier. Rozpacz, w której jest pogrążony profesor Stangerson, niemożliwość uzyskania jakichkolwiek wskazówek z ust ofiary sprawiają, że wszelkie wywiady nasze i władz sądowych są tak trudne, iż niepodobna w tej chwili powziąć najmniejszego pojęcia o tym, co zaszło w żółtym pokoju, gdzie znaleziono pannę Stangerson w nocnej toalecie, rżężącą na podłodze.

Mogliśmy zaledwie wypytać ojca Jakuba – jak go nazywają powszechnie we wsi – starego sługę rodziny Stangersonów. Ojciec Jakub wszedł do żółtego pokoju jednocześnie z profesorem. Pokój ten przylega do laboratorium. Laboratorium i żółty pokój znajdują się w jednym pawilonie, położonym w głębi parku, zaledwie o trzysta metrów od zamku.

— Było wpół do pierwszej po północy — opowiada ten stary sługa — znajdowałem się w laboratorium, gdzie pracował jeszcze profesor, kiedy się to stało. Ustawiałem i czyściłem narzędzia cały wieczór i czekałem odejścia profesora, aby udać się na spoczynek. Panna Matylda pracowała z ojcem do północy; kiedy wybiła dwunasta na zegarze laboratoryjnym, powstała, uścisnęła pana Stangersona, życząc mu dobrej nocy. Do mnie powiedziała: „Dobranoc, ojczy Jakubie!” i otworzyła drzwi żółtego pokoju. Słyszeliśmy doskonale, jak zamykała drzwi na klucz i spuszczała zatrzask; nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu i powiedziałem do pana: „To się panienka zamyka na dwa spusty! Pewnie się boi Zwierzątka Bożego”. Pan mnie nawet nie słuchał, tak był zajęty. Ale szkaradne miauczenie odpowiedziało mi zewnątrz i istotnie rozpoznałem wrzask Zwierzątka Bożego, aż mię ciarki przeszły. „Czy jeszcze i tej nocy przeszkodzi nam spać?” pomyślałem, bo muszę powiedzieć panu, że aż do końca października mieszkam na górze w pawilonie nad żółtym pokojem dlatego tylko, żeby panienka nie pozostawała sama jedna w głębi parku przez całą noc. To już upodobanie panienki, żeby mieszkać samej w pawilonie przez całą letnią porę roku, pewnie się jej ten pawilon weselszy wydaje niż zamek i od czterech lat, odkąd jest zbudowany, sprowadza się tu zawsze z wiosną. A na zimę panienka wraca do zamku, bo w żółtym pokoju nie ma wcale pieca. Zostaliśmy więc sami, pan Stangerson i ja, w pawilonie. Nie robiliśmy żadnego szmeru. Pan był przy swym biurku. Ja siedziałem na krześle i skończywszy moje zajęcie, patrzyłem na niego i myślałem sobie: „Co za człowiek! Co za umysł! Co za wiedza!” Zwracam uwagę na to, żeśmy nie robili żadnego szmeru, bo pewnie dlatego morderca myślał, żeśmy wyszli. I w tej chwili, gdy zegar wydzwonił wpół do pierwszej, rozpaczliwy krzyk dał się słyszeć z żółtego pokoju. To głos panienki wołał: „Morderca! Morderca! Na pomoc!” Potem rozległy się strzały rewolwerowe i słychać było ogromny hałas wywracanych stołów i mebli rzucanych na podłogę jakby w walce i jeszcze jej głos: „Morderca! Na pomoc! Ojczy! Ojczy!”

Wyobraża pan, jakeśmy skoczyli obydwaj: profesor i ja, rzucając się do drzwi. Ale, niestety, były zamknięte i to dobrze zamknięte z wewnątrz przez panienkę, jak już powiedziałem, na klucz i zatrzask. Próbowaliśmy je wyważyć, ale były mocne. Pan Stangerson był jak szalony i

istotnie, było z czego oszaleć, bo słyszeliśmy wciąż pannę Matyldę, jak dusząc się, wołała: „Na pomoc! Na pomoc!” Pan Stangerson dwa razy uderzył silnie we drzwi – i płakał z wściekłości, rozpacz i niemocy.

Wówczas wpadłem na myśl: „Morderca wyjdzie przez okno! — zawołałem — biegnę do okna!” I wybiegiem z pawilonu jak wariat. Niestety okno z żółtego pokoju wychodzi na pole, w ten sposób mur parkowy, który dochodzi do samego pawilonu, przeszkadzał mi dostać się od razu do tego okna i dlatego trzeba było najprzód wyjść z parku. Pędziłem w stronę furtki i po drodze spotkałem Berniera z żoną, odźwiernych, którzy biegli zwołani wystrzałami i naszym krzykiem. W dwóch słowach opowiedziałem im, co się stało; poleciłem odźwiernemu iść natychmiast do pana Stangersona, a jego żonie – za mną, by otworzyć mi furtkę parkową. W pięć minut potem staliśmy przed oknem żółtego pokoju. Księżyc w pełni świecił jasno i dobrze widziałem, że okno było zamknięte. Nie tylko kraty były nienaruszone, ale i okiennice poza kratami były zamknięte tak, jak je zamknąłem sam ostatniego wieczora. Robię to codziennie, pomimo że panienka, która wiedziała, że dziś zmęczony i przeciążony pracą, powiedziała, że sama zamknie. Więc morderca tędy nie przeszedł i nie mógł uciekać tą drogą, ale ja nie mogłem wejść tędy do pokoju!

To całe nieszczęście! Można było stracić głowę! Drzwi pokoju zamknięte na klucz z wewnątrz, okiennice jedynego okna zamknięte także z wewnątrz, a za okiennicami kraty nienaruszone, kraty żelazne, poza które ręki by nie wsunął!... I panienka, co woła „Na pomoc!”... Albo raczej – nie, już jej nie słysząc... Już pewnie nieżywa... Ale słyszę jeszcze w głębi pawilonu, jak pan próbuje wyważyć drzwi...

Pobiegliśmy z powrotem do pawilonu. Drzwi się wciąż trzymały jeszcze mimo gwałtownych uderzeń pana Stangersona i Berniera, Na koniec ustąpiły pod szalonym naszym wysiłkiem i wtedy – cóżżeśmy zobaczyli?

A trzeba wiedzieć, że poza nami odźwierna trzymała lampę laboratoryjną tak silną, że oświetlała doskonale cały pokój.

I to jeszcze panowie powinni wiedzieć, że żółty pokój jest zupełnie mały. Łóżko żelazne, dosyć szerokie, niewielki stół, nocny stolik, toaleta i dwa krzesła – to całe jego umeblowanie. Więc przy świetle lampy, którą trzymała odźwierna, mogliśmy wszystko zobaczyć jednym rzutem oka. Panienka w nocnej koszuli leżała na podłodze wśród bezładu nie do uwierzenia. Stoły i krzesła były powywracane, co wskazywało, że rozegrała się tu poważna walka. Widocznie wyciągnięto pannę z łóżka, była zakrwawiona, na szyi miała ślady strasznych paznokci. A na prawej skroni ranę, z której ciekła krew, tworząc na podłodze małą kałużę. Kiedy pan Stangerson spostrzegł córkę w takim stanie, rzucił się ku niej z okrzykiem rozpacz, że aż litość brała. Przekonał się jednak, że nieszczęśliwa oddycha jeszcze, więc tylko nią się zajął. My zaś szukaliśmy mordercy, nikczemnika, który chciał zabić naszą panią i przysięgam panu, że gdybyśmy go znaleźli, sprawilibyśmy mu dobrą łaźnię. Ale jakże wytłumaczyć, że go tam nie było, że już uciekł?... To przechodzi wszelkie wyobrażenie. Nikogo pod łóżkiem, nikogo za sprzętami, nikogo! Jego ślady jedynie znaleźliśmy: znaki zakrwawione szerokiej dłoni męskiej na ścianie i na drzwiach, dużą chustkę czerwoną od krwi, bez żadnych liter, stary beret i świeże znaki na podłodze licznych kroków ludzkich. Człowiek, który tu był, miał wielkie nogi i stopy jego pozostawiały za sobą ślady czarne, jakby sadzy. Którędy przyszedł ten człowiek? Którędy uszedł? Niech pan nie zapomina, że nie ma kominka w żółtym pokoju. Nie mógł ujsć przez drzwi, które są bardzo wąskie, na progu których stała odźwierna z lampą, podczas gdy odźwierny i ja szukaliśmy zbrodniarza w tym małym kwadracie pokoju, gdzie niepodobieństwem jest się ukryć i gdzie zresztą nie znaleźliśmy nikogo. Drzwi wyważone i oparte o ścianę nie mogły nikogo ukrywać, jakeśmy się przekonali o tym. Przez zakratowane okno o zamkniętych

okiennicach, których nikt się nie dotknął, żadna ucieczka nie byłaby możliwa. A więc? A więc... zaczynałem już wierzyć w diabła.

Ale oto spostrzeżliśmy na podłodze mój rewolwer. Tak, mój własny rewolwer... To, to dopiero powróciło mi poczucie rzeczywistości! Diabeł nie potrzebowałby kraść mego rewolweru, aby nim zabijać panią. Człowiek, który tu był, najprzód musiał być u mnie na górcie, wziął mój rewolwer z szuflady i użył go na ten straszny cel. Wówczas to sprawdziliśmy, oglądając naboje, że zbrodniarz dał dwa strzały z rewolweru.

W każdym razie, panie, miałem szczęście, że w tym wypadku pan Stangerson był w swoim laboratorium, gdy się to wszystko działo i że mogłem sprawdzić własnymi oczami, że i ja tam byłem, bo z całą historią tego rewolweru nie wiem, dokąd byśmy zaszli; pewnie byłbym już pod kluczem. Nie trzeba więcej dla sprawiedliwości, aby wysłać człowieka na rusztowanie.

Redaktor *Matina* dodaje do tego interview następujące słowa:

Pozwoliliśmy ojcu Jakubowi, nie przerywając mu, opowiedzieć nam po prostu wszystko, co wiedział o zbrodni w żółtym pokoju.

Chcieliśmy o wiele więcej pytać ojca Jakuba – Jakub Ludwik Moustier brzmi całkowite nazwisko starego sługi – ale właśnie wezwano go do sędziego śledczego, który prowadził swe badanie w wielkiej sali zamku. Niepodobna nam było dostać się do zamku Glandier. Całe jego otoczenie strzeżone jest w długim promieniu dookoła przez kilku policjantów, czuwających zazdrośnie nad wszelkimi śladami, które mogą prowadzić do pawilonu i, być może, do odkrycia zbrodniarza.

Chcieliśmy też wypytać odźwiernych, ale są niewidzialni. Wreszcie oczekiwaliśmy w niedalekiej od pałacu oberży wyjścia pana de Marquet, sędziego śledczego z Corbeil. O wpół do szóstej spostrzeżliśmy go wychodzącego ze swym pisarzem. Zanim wsiadł do powozu, zdążyliśmy mu zadać następujące pytanie:

— Czy nie mógłby pan, panie de Marquet udzielić nam pewnych informacji w tej sprawie, o ile to nie krępuje pańskiego badania?

— Niepodobna mi — odrzekł pan de Marquet — Powiedzieć o tym cokolwiek bądź pewnego. Jeżeli nie zdołamy nic dodać do materialnych danych, dziś przez prokuratorię zebranych, obawiam się bardzo, że tajemnica otaczająca straszny zamach, którego ofiarą padła panna Stangerson, pozostanie niewyjaśniona; trzeba jednak mieć nadzieję, „wierząc w rozum ludzki”, że badanie gruntowne murów, stropu i podłogi żółtego pokoju – badanie, do którego przystąpię zaraz jutro przy pomocy budowniczego, który przed czterema laty wznosił ten pawilon – przekona nas, że nie trzeba nigdy wątpić o logice faktów. Zagadka jest w tym: wiemy którąś wszedł zbrodniarz – wszedł przez drzwi i ukrył się pod łóżkiem, oczekując panny Stangerson – ale którąś wyszedł? Jakże mógł uciec? Jeśli nie znajdziemy ani ukrytego okna, ani sekretnych drzwi, ani skrytki, ani jakiegokolwiek otworu; jeśli badanie murów, a nawet ich rozbiór, bo pan Stangerson i ja jesteśmy zdecydowani posunąć się nawet do rozebrania pawilonu – nie odkryją nam żadnego możliwego przejścia nie tylko dla istoty ludzkiej, ale dla jakiegokolwiek bądź innego stworzenia; jeśli w suficie nie ma otworu, ani podłoga nie skrywa suterenu – trzeba będzie chyba uwierzyć w diabła, jak powiada stary Jakub!

I anonimowy autor tego artykułu, który wybrałem umyślnie, jako najbardziej interesujący ze wszystkich, jakie się w owym dniu pojawiły o tej sprawie – robi uwagę, że sędzia śledczy zdawał się kłaść pewien nacisk na ostatnim zdaniu: *Trzeba będzie chyba uwierzyć w diabła, jak powiada stary Jakub*. Artykuł kończy się tymi słowami:

Chcieliśmy wiedzieć, co rozumie ojciec Jakub przez „wrzask Zwierzątka Bożego”. — Tak nazywają złowrogi głos — objaśnił nas właściciel oberży „Pod wieżą” — jaki wydaje niekiedy w nocy kot staruszki, matką Agnieszka powszechnie we wsi zwanej. Matka Agnieszka, to coś w rodzaju świętej, która zamieszkuje maleńką chatkę w głębi lasu, niedaleko grotty św. Genowefy. Pokój żółty, Zwierzątko Boże, Matka Agnieszka, diabeł, św. Genowefa, ojciec Jakub — otóż i zbrodnia przedziwnie splątana! — którą dopiero uderzenie młota w mury pawilonu rozwikła nam jutro; spodziewajmy się tego przynajmniej, „wierząc w rozum ludzki”, jak mówi sędzia śledczy. Tymczasem jednak jest prawdopodobne, że panna Stangerson, która nie przestaje majaczyć i wymawia zaledwie jeden wyraz: „Morderca! Morderca!” — nie przeżyje nocy.

Wreszcie w ostatniej chwili ten sam dziennik donosi, że szef policji telegrafował do swego słynnego agenta Fryderyka Larsana, wysłanego do Londynu w sprawie skradzionych dokumentów, aby niezwłocznie wracał do Paryża.

Rozdział II

w którym po raz pierwszy zjawia się Józef Rouletabille

Przypominam sobie doskonale, jak gdyby to miało miejsce wczoraj – chwilę, gdy młody Rouletabille wszedł do mego pokoju owego ranka. Ósma zaledwie dochodziła, byłem jeszcze w łóżku, czytając właśnie artykuł *Matina* o zbrodni w Glandier.

Ale przede wszystkim należy przedstawić czytelnikom mego przyjaciela.

Znałem Józefa Rouletabille'a, gdy był jeszcze małym reporterkiem. Miał on, jak to mówią, głowę jak piłkę. Była okrągła jak kula i pewnie dlatego koledzy po piórze dali mu ten przydomek, który mu pozostał na zawsze, a który go uświetnił. *Rouletabille!* Czyś widział Rouletabille'a? Masz go! zawsze ten sakramentalny Rouletabille! – Bywał często czerwony jak pomidor, czasem wesół jak zięba, a niekiedy poważny jak Ojciec Święty. Bardzo młody – miał zaledwie rok siedemnasty, gdy go poznałem – zarabiał już na siebie pracą dziennikarską. Mógł się temu dziwić ktoś nie znający początków jego kariery. W czasie sprawy o morderstwo kobiety pokrajanej w kawałki przy ulicy Oberkampf – historia też jedna z zapomnianych – on to przyniósł do redaktora naczelnego *L'Époque*, dziennika rywalizującego wówczas w informacjach z *Matinem* – lewą nogę, brakującą w koszyku, gdzie odnaleziono żalosne szczątki, tę lewą nogę, której policja daremnie poszukiwała od ośmiu dni, młody Rouletabille odnalazł w kanale, gdzie nikomu nawet na myśl nie przyszło jej szukać. W tym celu musiał przebrać się za kanalizacyjnego robotnika, jakich administracja Paryża wezwwała wielu dla naprawy uszkodzeń spowodowanych wyjątkowym wezbraniem Sekwany.

Kiedy redaktor naczelny wszedł w posiadanie tej drogocennej nogi i kiedy zrozumiał wreszcie, jakim łańcuchem sprytnych dedukcji to dziecko przyszło do jej odkrycia, był zdjęty zarówno podziwem dla tej przenikliwości policyjnej w umyśle szesnastoletnim jak i radością, że będzie mógł wystawić za oknem „trupiarń” swego dziennika *lewą nogę* z ulicy Oberkampf.

— Mając tę nogę — zawołał — dam wspaniały artykuł!

Potem zapytał młodzieńca, jakiego wynagrodzenia by sobie życzył, wchodząc do redakcji w charakterze reportera dla informowania *Kroniki policyjnej*.

— Dwieście franków miesięcznie — odrzekł skromnie młodzieniec zdumiony podobną propozycją.

— Otrzyma pan dwieście pięćdziesiąt — powiedział redaktor naczelny — ale mówić pan będzie wszystkim, że należysz do redakcji już od miesiąca, aby było wiadome, że to nie pan odnalazł lewą nogę z ulicy Oberkampf, ale redakcja *Epoki*. Tu mój młody przyjacielu jednostka jest niczym; dziennik – wszystkim!

Po czym oznajmił nowemu współpracownikowi, że może się oddalić. Na progu drzwi zatrzymał go jednak i zapytał o nazwisko.

— Józef Józefin! — była odpowiedź,

— To nie żadne nazwisko — odparł redaktor naczelny — ale ponieważ pan się podpisywać nie będzie, to nie ma znaczenia...

Wkrótce młodociany współpracownik znalazł wielu przyjaciół, bo był uczynny i obdarzony doskonałym humorem, którym czarował najbardziej ponurych i rozbrajał najzadrośniejszych. W kawiarni sądowej, gdzie się zbierali reporterzy kroniki wypadków, udając się do prokuratury czy do prefektury w poszukiwaniu codziennych zbrodni, Rouletabille zaczynał już zdobywać sobie reputację odgadującego zagadki i sława ta niezadługo przekroczyła progi gabinetu szefa policji. Kiedy zaś jaka sprawa warta była zachodu i kiedy Rouletabille był wysyłany w jej ślady przez redaktora naczelnego, zdarzało mu się nieraz zaszachować detektywów najbardziej już renomowanych.

W tej to właśnie kawiarni zawiązałem z nim bliższą znajomość. obrońcy w sprawach kryminalnych i dziennikarze nie są bynajmniej nieprzyjaciółmi: jedni potrzebują reklamy, a drudzy – informacji. Rozmawialiśmy trochę i zaraz uczułem wielką sympatię dla tego malca Rouletabille’a. Był to umysł tak rozbudzony i oryginalny! Posiadał nadto pewną właściwość myśli, jakiej nie spotkałem u nikogo dotąd.

Wkrótce potem pisywałem kronikę sądową do *Cri du Boulevard*. Moje wstąpienie do dziennikarstwa zacieśniło tylko więzy przyjaźni między Rouletabille’em i mną. Wreszcie, gdy mój nowy przyjaciel powziął zamiar pisywania małej korespondencji sądowej, którą w *Epoce* polecano mu podpisywać: *Business* – z mojej strony dostarczałem mu nieraz informacji prawnych, których potrzebował.

Tak przeszły blisko dwa lata, a im więcej go poznawałem, tym bardziej go polubiłem, bo pod pozorami wesołego szaleństwa odnalazłem w nim grunt niezwykle poważny jak na wiek jego. Wreszcie chociaż nawykłem widzieć go zawsze bardzo wesołego, widywałem go nieraz pogrążonego w głębokim smutku. Chciałem wypytać o przyczynę takiej zmiany usposobienia – ale za każdym razem powracał do śmiechu i nie odpowiadał nic. Pewnego dnia zagadnąłem go o rodziców, o których nigdy nie mówił – pożegnał mnie, udając, że nie dosłyszał.

Wśród takich okoliczności zjawiła się słynna sprawa *złotego pokoju*, która nie tylko miała go umieścić w szeregu pierwszorzędnych reporterów, ale także zrobić zeń pierwszorzędnego ajenta policji śledczej.

Otóż więc rankiem dnia 26 października 1892 roku Rouletabille był w moim pokoju, był jeszcze czerwieńszy niż zazwyczaj; oczy wychodziły mu niemal, jak to mówią, na wierzch, i zdawał się niezwykle podniecony. Przewracał *Matina* drżącą dłonią. Wreszcie zawołał:

— A więc! mój drogi Sainclairze... Czyś czytał?

— O zbrodni w Glandier?

— Tak, o złotym pokoju! Cóż ty o tym myślisz?

— Do licha! Myślę, że to diabeł, albo Zwierzątko Boże popełniło zbrodnię.

— Miej rozum.

— A więc, powiem ci, że nie wierzę w zbrodniarzy, którzy uciekają przez ściany. Ojciec Jakub, według mnie, popełnił głupstwo, pozostawiając za sobą narzędzie zbrodni, a ponieważ on mieszka ponad pokojem panny Stangerson, badanie architektoniczne, do którego sędzia śledczy przystąpi dzisiaj, da nam z pewnością klucz zagadki; wówczas się dowiemy, przez jakie okno czy drzwi ukryte poczwieriec zdołał się prześlizgnąć, aby niezwłocznie powrócić do laboratorium do pana Stangersona, który nic nie spostrzegł. Cóż więcej ci powiem? To tylko hipoteza!...

Rouletabille siadł w fotelu, zapalił fajkę, która go nigdy nie opuszczała, palił parę chwil w milczeniu dla uspokojenia chyba gorączki, która go widocznie pożerała, po czym zaczął z politowaniem:

— Młodzieńcze! — rzekł tonem żalosnej ironii, którego wyrazić nie potrafię. — Młodzieńcze!... Jesteś adwokatem i nie wątpię o twych zdolnościach, aby uniewinniać winnych;

ale gdybyś był kiedy instruktorem sądowym, jakże łatwo byłoby ci skazywać niewinnych!... Jesteś naprawdę utalentowany!

Po czym palił zawzięcie i znów rozpoczął:

— Nie odnajdą żadnych ukrytych drzwi i tajemnica żółtego pokoju stanie się bardziej jeszcze tajemnicza. Dlatego właśnie mnie zajmuje. Sędzia śledczy ma rację – nigdy nie słyszano dziwniejszej sprawy jak ta zbrodnia...

— Czy masz na myśli jakąś drogę, którą zbrodniarz mógł być uciec? — zapytałem.

— Żadnej — odparł Rouletabille — żadnej w tej chwili... Ale już mam myśl powziętą o rewolwerze, na przykład... Rewolwer nie służył zbrodniarzowi...

— A komuż więc on służył na Boga?!...

— Ależ pannie Stangerson...

— Nic nie rozumiem — odparłem — lub raczej nigdy nie rozumiałem...

Rouletabille wzruszył ramionami.

— Nic cię nie uderzyło szczególniejszego w artykule *Matina*?

— Doprawdy, nic... wszystko, co w nim przytoczono, wydaje mi się jednakowo śmieszne...

— A więc, no... ale drzwi zamknięte na klucz?

— To jedyny szczegół naturalny w opowiadaniu.

— Naprawdę?... A zatrask?...

— Zatrask?

— Zatrask spuszczone od wewnątrz?... Te ostrożności ze strony panny Stangerson...

Panna Stangerson, według mnie, wiedziała, że należy się obawiać kogoś, i przedsięwzięła ostrożności; wzięła nawet rewolwer ojca Jakuba, nie mówiąc mu nic. To, czego się obawiała panna Stangerson, stało się... i ona się broniła, i była walka, i ona zręcznie skorzystała z rewolweru, aby zranić zbrodniarza w rękę. – Tak wyjaśniam odcisk szerokiej skrwawionej dłoni męskiej na ścianie i drzwiach, dłoń człowieka, który szukał prawie po omacku wyjścia, aby uciec – ale panna Stangerson strzeliła nie dość szybko, aby uniknąć strasznego ciosu, który jej wymierzono w prawą skroń.

— Dziennik o tym nie mówi, a co do mnie – nie sądzę, dlatego, że, zdaje mi się, rewolwer służył pannie Stangerson przeciw mordercy. Teraz, jaka była broń zbrodniarza? To uderzenie w skroń, zdaje się potwierdzać, że zbrodniarz chciał zabić pannę Stangerson... na próżno usiłując poprzednio ją udusić... Zbrodniarz musiał wiedzieć, że górka jest zamieszkaana przez ojca Jakuba i to jedna z przyczyn, myślę, dla których chciał działać „cichą bronią”, młotkiem może...

— Wszystko to jeszcze nam nie wyjaśnia — zauważyłem — jak zbrodniarz wyszedł z żółtego pokoju.

— Oczywiście? — odrzekł Rouletabille, powstając — i właśnie, ponieważ to trzeba wyjaśnić, jadę do zamku Glandier i przychodzę po ciebie, abyś mi tam towarzyszył...

— Ja?

— Tak, drogi przyjacielu, potrzebuję cię. *Epoka* zobowiązała mnie wyraźnie w tej sprawie i ty bym ją wyjaśnił możliwie najprędzej.

— Ależ w czym ja tobie pomóc mogę?...

— Pan Robert Darzac jest w zamku Glandier.

— To prawda... jego rozpacz być musi bez granic!...

— Muszę z nim mówić...

Rouletabille wymówił te słowa tonem, który mnie zastanowił.

— Czyżby?... Czyżbyś się spodziewał czegoś doniosłego z tej strony? — zapytałem.

— Tak.

Więcej nie chciał nic mówić. Przeszedł do salonu, prosząc abym się spieszył z ubieraniem. Znałem Roberta Darzaca od czasu, gdy miałem sposobność oddać mu ważną usługę prawną w procesie cywilnym, wówczas, gdy byłem jeszcze sekretarzem u mecenasa Barbier-Delatoura. Robert Darzac, który wtedy miał lat około czterdziestu, był profesorem fizyki w Sorbonie. Łączyła go serdeczna zażyłość ze Stangersonami, bo po siedmiu latach wytrwałych starań miał wreszcie zostać mężem panny Stangerson, osoby już w pewnym wieku (musiała mieć lat około trzydziestu pięciu) ale jeszcze zadziwiająco pięknej.

Ubierając się, wołałem do Rouletabille'a, który niecierpliwił się w moim salonie:

— Czy masz jakie pojęcie o stanowisku zbrodniarza?

— Tak — odpowiedział — uważam go, jeśli nie za wielkoświatowca, to przynajmniej za człowieka wyższej sfery... to tylko wrażenie zresztą...

— A cóż ci nasuwa to wrażenie?

— Ależ — odparł młody człowiek — zniszczony beret, pospolita chustka do nosa i ślady ordynarnych butów na podłodze...

— Rozumiem — zauważyłem — nie zostawia się za sobą, Jeśli są wyrazem prawdy.

— Będzie coś z ciebie, mój drogi Sainclairze — zawyrokował Rouletabille.

Rozdział III

Człowiek przeszedł jak cień poprzez okiennice

W pół godziny Rouletabille i ja byliśmy na dworcu Orleańskim, oczekując odjazdu pociągu, który miał nas odwieźć do Épinay-sur-Orge. Widzieliśmy przybywającą prokuratorię z Corbeil, reprezentowaną przez pana de Marquet, sędziego śledczego i jego pisarza. Pan de Marquet spędził noc w Paryżu ze swym pisarzem, aby móc być obecnym w La Scali na generalnej próbie małej jednoaktówki, której był potajemnie autorem, podpisując się skromnie, jako Castigat Ridendo.

Pan de Marquet zaczynał być poważnym starcem. Zazwyczaj pełen był uprzejmości i galanterii a w ciągu całego życia jedno miał tylko umiłowanie: sztuki dramatycznej. W swym zawodzie sędziego interesował się tylko sprawami zdolnymi mu dostarczyć materiału choćby do jednego aktu.

Sprawa żółtego pokoju tajemniczością swoją musiała zainteresować umysł tak bardzo literacki. Zajęła go nadzwyczajnie i pan de Marquet oddał się jej całkowicie, nie tyle jako urzędnik sądowy chciwy poznania prawdy, ile jako amator gmatwaniny dramatycznej, którego umysł jest wytężony w kierunku tajemniczej intrygi, i który niczego bardziej się nie lęka jak dojścia do ostatniego aktu, gdzie się wszystko wyjaśnia.

I tak w chwili, gdyśmy go spotkali, posłyszałem, jak mówił do swego pisarza:

— ...Żeby tylko, drogi panie Maleine, żeby tylko ten przedsiębiorca swoim młotem nie zniszczył nam tak pięknej tajemnicy!

— Niech się pan nie obawia — odrzekł pan Maleine — jego młot zniszczy może pawilon, ale nie tknie naszej sprawy. Ostukiwałem mury, badałem sufit i podłogę, a znam się na tym. Nie mylę się. Możemy być spokojni. Nic nie będziemy wiedzieli.

Tak uspokoiwszy swego zwierzchnika, pan Maleine lekkim ruchem głowy wskazał na nas. Twarz sędziego się nachmurzyła, a ponieważ spostrzegł zbliżającego się ku niemu Rouletabille'a, który już unosił kapelusz, pospieszył ku wyjściu, skoczył szybko do pociągu, rzucając półgłosem pisarzowi:

— Nade wszystko bez dziennikarzy!

Pan Maleine odrzekł: — Rozumiem — i zatrzymał Rouletabille'a w jego biegu, usiłując nie dopuścić do przedziału sędziego śledczego.

— Przepraszam panów, ten przedział jest zajęty...

— Jestem dziennikarzem, panie, współpracownikiem *Epoki* — rzekł mój młody przyjaciel z wielkim nakładem grzeczności i ukłonów, i mam parę słów do powiedzenia panu de Marquet.

— Pan de Marquet jest bardzo zajęty śledztwem.

— O, jego śledztwo jest mi zupełnie obojętne, chciej mi pan wierzyć... Nie jestem reporterem od psów rozjechanych, oznajmił młody Rouletabille, którego dolna warga wyrażała w tej chwili bezdenną pogardę dla rubryki „wypadków policyjnych”; — Jestem sprawozdawcą teatralnym i ponieważ mam zdać sprawę tego wieczora z przedstawienia w La Scali...

— Proszę, niech pan wejdzie, proszę bardzo... — powiedział pisarz sądowy, kłaniając się.

Rouletabille był już w przedziale. Wszedłem za nim. Siadłem obok niego; pisarz wskoczył i zatrzasnął drzwiczki.

Pan de Marquet spojrzał na swego pisarza.

— O, panie — zaczął Rouletabille, nie miej pan urazy do tego dżentelmena, jeśli przekroczył zlecenie — nie do pana bowiem de Marquet mam zaszczyt mówić, ale do pana Castigata Ridendo... Pozwól mi pan złożyć sobie powinszowania, bo będąc sprawozdawcą teatralnym *Epoki*... — i Rouletabille, przedstawiwszy mnie naprzód, sam się potem przedstawił.

Pan de Marquet niespokojnym ruchem gładził swą szpiczastą brodę. Wyraził w kilku słowach Rouletabille'owi, że jest nadto skromnym autorem i nie życzy sobie, aby zasłona jego pseudonimu była publicznie odkrywana, i ma nadzieję, że entuzjazm dziennikarza dla dzieła dramatycznego, nie zajdzie tak daleko, aby odsłonić przed publicznością, że Castigat Ridendo nie jest nikim innym jak sędzią śledczym z Corbeil,

— Dzieło autora dramatycznego mogłoby zaszkodzić — dodał z lekkim wahaniem — dziełu sędziego śledczego, nade wszystko na prowincji, gdzie ludzie są zawsze rutyniści...

— O! może pan być pewien mej dyskrecji! — zawołał Rouletabille, wznosząc ręce, jakby wzywał na świadectwo niebiosa.

Pociąg ruszał..

— My jedziemy! — wykrzyknął sędzia śledczy, zdumiony, że jedziemy z nim razem.

— Tak, panie. Prawda rusza w pochód... — powiedział z uśmiechem reporter — w pochód do zamku Glandier... Śliczna sprawa, panie de Marquet, śliczna sprawa!...

— Ciemna sprawa! Niewiarogodna, niezbadana, niewytłumaczalna sprawa... i obawiam się nade wszystko jednej rzeczy, panie Rouletabille, aby dziennikarze nie wmieszali się, chcąc ją wyjaśnić...

Mój przyjaciel zrozumiał cios.

— Tak — zauważył spokojnie — trzeba się tego obawiać... wtrącają się do wszystkiego... Co do mnie, mówię do pana tylko dlatego, że przypadek, panie sędzio, prosty przypadek sprowadził mnie na pańską drogę i niemal do pańskiego przedziału.

— Dokądże pan jedzie? — zapytał pan de Marquet.

— Do zamku Glandier — odrzekł bez zająknięcia Rouletabille.

Pan de Marquet podskoczył,

— Pan tam nie wejdzie, panie Rouletabille!

— Czy pan się temu sprzeciwi? — zapytał mój przyjaciel, już gotów do walki.

— Ależ nie! Nadto cenię prasę i dziennikarzy, aby im roboć przykrości w czymkolwiek bądź, ale pan Stangerson wzbrania wszystkim wejścia do swego domu. Przestrzegają tego bardzo. Jeszcze żaden dziennikarz nie przekroczył furty zamku Glandier.

— Tym lepiej — odparł Rouletabille — w porę przybywam...

Pan de Marquet przygryzł wargi i zdawało się, że postanowił odtąd zachować uparte milczenie.

Rozchmurzył się nieco dopiero wtedy, gdy Rouletabille objaśnił mu w kilku słowach, że jedziemy do Glandier, uściskając dłoń „starego serdecznego przyjaciela”. Tak nazwał Roberta Darzaca, którego widział może raz jeden w życiu.

— Ten nieszczęśliwy Robert! — ciągnął dalej reporter. — Ten biedny Robert może umrzeć z tego... Tak kochał pannę Stangerson...

— Rozpacz Roberta Darzaca sprawia ból obecnym... — wyrwało się, jakby niechcący, panu de Marquet.

— Ale można mieć nadzieję, że panna Stangerson będzie uratowana?...

— Miejmy nadzieję. Jej ojciec mówił mi wczoraj, że jeśliby ona miała umrzeć, on

wkrótce podążyłby za nią... Co za strata niepowetowana dla nauki!

— Rana na skroni jest bardzo poważna, nieprawdaż?...

— Oczywiście! Ale to traf niesłychany, że nie była śmiertelna... Cios musiał być zadany z siłą!

— A więc to nie rewolwerem zraniono pannę Stangerson? — zagadnął Rouletabille, rzucając mi zwycięskie spojrzenie.

Pan de Marquet zdawał się bardzo zakłopotany.

— Tego nie powiedziałem, nie chcę nic mówić, nie powiem nic więcej!

I zwrócił się do swego pisarza, jak gdyby nas nie znał zupełnie... Ale nie tak łatwo pozbyć się Rouletabille'a. Zbliżył się znów do sędziego śledczego i pokazując mu *Matina*, którego wyjął z kieszeni, rzekł:

— Jest jedna rzecz, panie sędzio, o którą mogę pana zapytać, nie popełniając niedyskrecji. Czy pan czytał opowiadanie z *Matina*? Jest bez sensu, prawda?

— Nigdy w świecie, panie...

— Jakże więc? Pokój żółty ma jedyne okno zakratowane, którego sztaby były nienaruszone i jedne drzwi, które trzeba było wyważyć... i nie znajdują w nim zbrodniarza!

— Tak, panie! Tak! Tak właśnie sprawa się przedstawia.

Rouletabille nic nie odpowiedział, oddał się swym myślom nam nieznanym... Tak upłynął dobry kwadrans.

Kiedy „wrócił pomiędzy nas”, zapytał raz jeszcze, zwracając się do sędziego śledczego:

— Jak była uczesana tego wieczora panna Stangerson?

— Tego nie wiem — odparł pan de Marquet.

— A to jest decydującej doniosłości — zauważył Rouletabille. — Miała włosy spuszczone na skronie, nieprawdaż? Jestem pewny, że tego wieczora miała włosy uczesane nisko.

— A więc, panie Rouletabille, jest pan w błędzie — odpowiedział sędzia śledczy. — Panna Stangerson miała włosy zaczesane tego wieczora do góry. Zdaje się że to jej zwykłe uczesanie... Czoło miała zupełnie odsłonięte... mogę pana o tym zapewnić, bo badaliśmy długo ranę. Nie było krwi na włosach, a nikt nie dotknął jej uczesania od chwili zamachu.

— Pan jest pewny! Pan jest pewny tego, że panna Stangerson nie była uczesana nisko w noc wypadku?

— Zupełnie pewny — ciągnął sędzia z uśmiechem — bo, naprawdę, niemal słyszę jeszcze doktora mówiącego wówczas, gdy badałem ranę: — To wielka szkoda, że panna Stangerson miała zwyczaj zaczesywać włosy do góry, nad czołem. Jeśliby miała uczesanie niskie, cios który jej wymierzono w skroń, byłby słabszy. — Teraz wyznam panu, że to bardzo dziwne, iż pan przywiązuje tyle wagi...

— O! jeśli nie miała niskiego uczesania... — jęknął Rouletabille — dokąd zdążamy? dokądże zdążamy? Muszę się poinformować.

I zrobił gest bardzo strapionego.

— A rana w skroni jest straszna? — pytał jeszcze.

— Straszna.

— Ależ nareszcie, jaką bronią była zadana?

— To, panie, jest tajemnicą śledztwa.

— Czy odnalazł pan ową broń?

Sędzia śledczy nie odpowiadał.

— A rana na szyi?

Tu już sędzia śledczy raczył nam wyznać, że rana na szyi jest tego rodzaju, iż twierdzić

można, zgodnie nawet ze zdaniem lekarzy, że gdyby zbrodniarz ścisnął ją jeszcze parę sekund dłużej, panna Stangerson byłaby uduszona.

— Sprawa tak, jak ją *Matin* podaje — podjął zapamiętały Rouletabille — wydaje mi się coraz bardziej niezrozumiała. Czy może mi pan powiedzieć, panie sędzio, jakie są wyjścia w pawilonie, drzwi i okna?

— Jest ich pięć — odpowiedział pan de Marquet, kaszlnąwszy naprzód dwa czy trzy razy, ale nie opierając się już wewnętrznemu życzeniu rozpostarcia przed nami całej niewiarogodnej, tajemniczej sprawy, którą badał. — Jest ich pięć, z których drzwi do przedsionka są jedynymi drzwiami wchodowymi w pawilonie; drzwi te, zawsze automatycznie zamknięte, nie mogą się otwierać inaczej ani z zewnątrz, ani z wewnątrz, jak za pomocą specjalnych kluczy, które nie opuszczają nigdy ojca Jakuba i pana Stangersona. Panna Stangerson ich nie potrzebuje, bo ojciec Jakub mieszka w pawilonie, a we dnie nie rozłącza się ona z ojcem, Kiedy oni we czworo wpadli do żółtego pokoju, którego drzwi na koniec wyważyli, drzwi wchodowe przedsionka były zamknięte jak zawsze, a dwa klucze tych drzwi były: jeden w kieszeni pana Stangersona, a drugi w kieszeni Jakuba. Co do okien pawilonu, jest ich cztery: jedyne okno żółtego pokoju, dwa okna w laboratorium i jedno w przedsionku. Okna żółtego pokoju i laboratorium wychodzą na pole, tylko okno w przedsionku wychodzi na park.

— Właśnie przez to okno on uciekł z pawilonu! — zawołał Rouletabille.

— Skąd pan to wie? — pytał pan de Marquet, zatrzymując na mym przyjacielu dziwne spojrzenie.

— Zobaczymy później, jak zbrodniarz uciekł z żółtego pokoju — odparł Rouletabille, ale pawilon opuścić musiał właśnie przez to okno w przedsionku.

— Jeszcze raz, jakże pan to wie?

— Ależ, mój Boże! To bardzo proste. Z chwilą gdy nie mógł uciekać przez drzwi pawilonu, musiał przejść przynajmniej przez to jedno okno nieokrątkowane. Okno żółtego pokoju jest zakratowane, bo wychodzi na pole, dwa okna laboratoryjne muszą być z pewnością dla tej samej przyczyny też zakratowane. Ponieważ zbrodniarz uciekł, wyobrażam sobie, że musiał znaleźć okno bez kraty, a takim jest właśnie okno w przedsionku, które wychodzi na park, to jest wewnątrz posiadłości. Tu nie ma czarodzieja!

— Tak — powiedział pan de Marquet — ale to, czego nie mógł się pan domyślić, to to, że okno w przedsionku, jedyne w istocie, które nie ma kraty, posiada jednak mocne okiennice żelazne. Nadto te okiennice żelazne były zamknięte z wewnątrz zasuwką żelazną, a tymczasem mamy dowód, że zbrodniarz uciekł z pawilonu istotnie przez to samo okno! Ślady krwi na ścianie wewnętrznej i na okiennicach, kroki pod oknem na ziemi, kroki zupełnie podobne do tych, których zdjąłem miarę w żółtym pokoju świadczą doskonale, że zbrodniarz uciekł tędy! Ale w takim razie... Jakże to zrobił, skoro okiennice pozostały zamknięte z wewnątrz? Przeszedł, jak cień, poprzez okiennice!

A wreszcie najbardziej bałamutnym z tego wszystkiego, czyż nie jest ślad zbrodniarza, odnaleziony w chwili, kiedy on wychodzi z pawilonu, podczas gdy niepodobieństwem jest powziąć najmniejszego pojęcia o sposobie, w jaki zbrodniarz wyszedł z żółtego pokoju, ani jak przeszedł przez laboratorium, aby dojść do przedsionka! Ach, tak, panie Rouletabille, ta sprawa graniczy z halucynacją... Piękna sprawa... a klucza jej nie odnajdziemy jeszcze długo... spodziewam się!...

— Czego się pan spodziewa, panie sędzio?

— Nie spodziewam się... ja tak myślę... poprawił się pan de Marquet.

— Mógł ktoś zamknąć okno z wewnątrz już po ucieczce zbrodniarza? — zagadnął Rouletabille.

— Oczywiście, otóż to, co mi się wydaje w tej chwili naturalne, jakkolwiek równie niewytłumaczone bo na to trzeba by było współnika lub współników... a tych nie widzę...

Po chwili milczenia dodał:

— Ach, gdyby panna Stangerson czuła się dziś tak dobrze, żeby ją pytać można...

Tymczasem Rouletabille, dążąc za swą myślą, pytał dalej:

— A strych? Czy nie ma jakiego otworu na strychu?

— Tak, tego nie liczyłem w istocie. Na górcie jest małe okienko, raczej lufcik, a ponieważ wychodzi ono na zewnątrz posiadłości, pan Stangerson kazał je też zaopatrzyć w kratę. W tym okienku zarówno, jak w oknach na dole, kraty zostały nienaruszone i okiennice, które otwierają się, rozumie się, do wnętrza, pozostały też zamknięte. Zresztą nie zauważyliśmy nic, co by mogło nasunąć podejrzenie, że zbrodniarz przeszedł na strych.

— Więc dla pana jest niewątpliwe, panie sędzio, że zbrodniarz uciekł – jakkolwiek nie wiemy, w jaki sposób – przez okno w przedsiönku!

— Wszystko za tym przemawia.

— Ja też tak myślę — przyznał poważnie Rouletabille.

Po chwili milczenia znów rozpoczął:

— Jeśli pan nie znalazł żadnego śladu zbrodniarza na strychu, jak na przykład nawet tych czarniawych znaków stóp, które są widoczne na podłodze żółtego pokoju, to powinno było doprowadzić pana do wniosku, że to nie on skradł rewolwer ojca Jakuba.

— Nie ma innych śladów na strychu, jak ojca Jakuba — rzekł sędzia ze znaczącym ruchem głowy. I odważył się dopełnić swą myśl:

— Ojciec Jakub był z panem Stangersonem. To szczęśliwie dla niego...

— A więc skończona rola rewolweru ojca Jakuba w dramacie? Zdaje się, jasno wykazane, że ta broń nie tyle zraniła pannę Stangerson, ile samego zbrodniarza...

Nie odpowiadając na to pytanie, które, zdaje się, wprawiło go w zakłopotanie, pan de Marquet oznajmił nam, że znaleziono w żółtym pokoju dwie kule: jedną w ścianie, na której odcisnięta jest ręka czerwona mężczyzny, drugą — w suficie.

— O! o! w suficie — powtórzył półgłosem Rouletabille. — Naprawdę... w suficie! To bardzo ciekawe... w suficie!..

Zaczął palić w milczeniu, otaczając się obłokiem dymu. Kiedyśmy stanęli w Épinay-sur-Orge, musiałem uderzyć go po ramieniu, aby przypomnieć, że czas zstąpić z krainy marzeń na peron.

Tu urzędnik sądowy i jego pisarz ukłonem dali nam poznać, że dosyć już mieli naszego towarzystwa; po czym siedli szybko do oczekującego ich kabrioletu.

— Ile czasu trzeba, aby pieszo dojść do zamku Glandier? — zapytał Rouletabille urzędnika kolei żelaznej.

— Półtorej godziny... godzinę i trzy kwadransy, nie spiesząc — odpowiedział zapytany, i Rouletabille popatrzył na niebo, uznał je za pomyślne dla siebie, a zapewne i dla mnie, bo wziął mnie pod rękę i rzekł:

— Idziemy!... Czuję potrzebę ruchu.

— A więc! — zapytałem — to się rozjaśnia?

— Jeszcze bardziej wszystko splątane, jak dawniej — wyrzekł. — Choć prawda, że mam myśl!

— Powiedźże!

— O! nie mogę nic mówić tymczasem... Mój pomysł to kwestia życia lub śmierci dla dwóch osób przynajmniej.

— Czy wierzysz we współników?

— Nie wierzę...

Przez chwilę milczeliśmy obaj, potem on rozpoczął:

— Trzeba szczęścia, żeśmy spotkali tego sędziego śledczego i jego pisarza... Hm! a co ci powiedziałem o rewolwerze?...

Spuścił głowę ku ziemi, ręce trzymał w kieszeniach i pogwizdywał. Po chwili posłyszałem jego szept:

— Biedna kobieta!...

— Czy panny Stangerson żałujesz?

— Tak, to bardzo szlachetna kobieta i godna współczucia!... To wielki, bardzo wielki charakter... ja myślę... ja myślę...

— Więc znasz pannę Stangerson?

— Wcale nie... Widziałem ją raz jeden...

— A czemu mówisz: *To wielki charakter?*

— Bo stawiała czoło zbrodniarzowi, bo się broniła z odwagą, a nade wszystko, nade wszystko z powodu kuli w suficie.

Popatrzyłem na Rouletabille'a; zapytując sam siebie, czy się naśmiewa ze mnie, lub czy nagle nie oszalał, Ale spostrzegłem, że młody człowiek bynajmniej nie miał ochoty do śmiechu, a rozumny blask jego małych okrągłych oczu, upewnił mnie co do stanu jego umysłu. Wreszcie, nawykłem już trochę do jego wyrażen urywanych i tajemniczych, aż do chwili, gdy w kilku nagłych i jasnych zdaniach dawał mi poznać wątek swych myśli. Wówczas wszystko się naraz wyjaśniało: słowa, które wydawały mi się bez znaczenia, spajały się z taką łatwością i logiką, że nie mogłem pojąć, jakim sposobem wcześniej ich nie rozumiałem.

Rozdział IV

Na łonie dzikiej natury

Zamek Glandier jest jednym z najstarszych zamków prowincji Ile-de-France, gdzie wznosi się jeszcze tyle znakomitych murów z czasów feudalnych. Zbudowany w głębi lasów za Filipa Pięknego, widnieje na kilkaset metrów od drogi wiodącej z Sainte-Geneviève-des-Bois do Montlhéry. Nad tym zbiorem różnych budowli panuje stara wieżyca.

Powiadają, że wieżyca w Glandier czuwa nad bohaterskim i świętym cieniem tej dobrej patronki Paryża, przed którą cofnął się Attyla. Święta Genowefa śpi tu swoim snem ostatnim pod starymi sklepieniami zamku. Niedaleko grobu jest studnia, zawierająca, jak mówią, wodę cudowną. W tym miejscu wdzięczność matek wzniosła statuę świętej Genowefy i zawiesza u jej stóp maleńkie trzewiczki i czapeczki dzieci uzdrowionych wodą świętego źródła.

W tej miejscowości, która zdaje się najzupełniej należeć do przeszłości, zamieszkali profesor Stangerson i jego córka, aby pracować nad wiedzą przyszłości. Samotność miejsca w głębi lasów spodobała im się od razu. Tu nie będą mieli nikogo, jako świadków swych prac i swych nadziei prócz odwiecznych kamieni i wielkich dębów. Glandier, dawniej Glanderium – nazwano tak od wielkiej ilości żołądźi, które zawsze zbierano w tej okolicy. Ta miejscowość smutnej dziś sławy dzięki niedbałości czy też opuszczeniu właścicieli, odzyskała wygląd dzikiej pierwotnej natury; tylko mury tamtejsze zachowały ślady dziwnych przemian. Każde stulecie kładło na nich swą pieczęć: ten lub ów fragment architektury, przypominający jakieś grozą przejmujące zdarzenie, jakąś krwawą przygodę... i tak zamek, w którym schroniła się wiedza, zdawał się z dawna przeznaczoną widownią dla tajemnic trwogi i śmierci.

Ale wracam do pana Stangersona. Gdy kupił tę posiadłość na piętnaście lat prawie przed dramatem, który opisuję, zamek Glandier nie był zamieszkały od dawna. Cała okolica była też mało zaludniona. Lecz to zupełne opuszczenie stało się właśnie czynnikiem decydującym w wyborze profesora Stangersona i jego córki. Pan Stangerson był już sławny. Wracął z Ameryki, gdzie jego prace miały znaczny rozgłos. Książka, którą wydał w Filadelfii o *Rozproszeniu materii pod działaniem promieni elektrycznych* wywołała protest całego świata uczonego.

Pan Stangerson był Francuzem, ale z pochodzenia Amerykaninem. Bardzo ważne sprawy spadkowe zatrzymały go przez czas dłuższy w Stanach Zjednoczonych. Sprawy te skończyły się dlań pomyślnie; pan Stangerson stał się właścicielem ogromnego majątku. Co prawda, znakomity profesor mógłby, gdyby zechciał, zarobić już dotąd miliony dolarów, jeśliby wyzyskał sam lub pozwolił wyzyskać parę swych odkryć chemicznych odnośnie do nowych sposobów farbowania, uchylał się jednak zawsze od użytkowania na własną korzyść cudownego daru wynalazczości, którym go natura uposażyła, daleki był bowiem myśli, że jego geniusz do niego należy. Ludziom go był winien i wszystko, co jego geniusz na świat wydawał, dzięki jego zapatrywaniom humanitarnym, stawało się własnością publiczną. Nie ukrywał jednak zadowolenia, jakie mu sprawiało posiadanie nieoczekiwanego majątku – zapewniało mu to bowiem możliwość oddania się całkowicie czystej nauce. Ale profesor cieszył się tym, zdaje się, z innej jeszcze przyczyny.

W czasie, gdy ojciec panny Stangerson wracał z Ameryki i kupował Glandier, miała ona

lat dwadzieścia. Była piękna, jak piękniejszą wymarzyć trudno, łącząc jednocześnie wdzięk Paryżanki odziedziczony po matce, zmarłej przy wydaniu jej na świat, z całą świeżością i okazałością młodej krwi amerykańskiej dziadka Wiliama Stangersona.

Dwudziestoletnia zachwycająca blondynka o niebieskich oczach, mleczej cerze, promieniejąca boskim zdrowiem, Matylda Stangerson była jedną z najpiękniejszych panien na wydaniu na starym i nowym kontynencie. Mimo bólu przewidywanego rozstania – obowiązkiem ojca było myśleć o jej małżeństwie, nie był więc zgniewany, widząc zjawiający się posag. Mimo wszystko jednak zakopał się ze swym dzieckiem w Glandierwłaśnie w chwili, gdy znajomi oczekiwali, jak wprowadzi w świat pannę Matyldę. Niektórzy odwiedzali go i zaznaczali swoje zdziwienie. Na pytania, którymi go zarzucano profesor odpowiadał: — Taka jest wola mej córki. Nie odmawiam jej niczego. To ona obrała Glandier. — Zapytywana z kolei młoda dziewczyna, odpowiadała pogodnie: — A gdzież byśmy lepiej pracowali niż na tym pustkowiu? — Bo panna Matylda już wtedy pomagała w pracach swego ojca, ale nikt jeszcze wówczas nie byłby się spodziewał, że ukochanie nauki zniewoli ją do odrzucania wszystkich partii, jakie w ciągu więcej niż lat piętnastu jej się trafiały. Choć tak odosobnieni ojciec i córka musieli jednak pokazywać się na niektórych przyjęciach oficjalnych i w pewnych porach roku w dwóch czy trzech salonach przyjaciół, gdzie sława profesora i piękność Matyldy sprawiały sensację. Nadzwyczajna obojętność młodej panny nie odstraszała z początku starających się, ale po kilku latach – zniechęcili się. Jeden tylko wytrwał z łagodnym uporem, czym zasłużył sobie na miano „wiecznego narzeczonego”; przyjął je z melancholią: był to Robert Darzac.

Teraz panna Stangerson nie była już młoda i zdawałoby się, że skoro dotąd nie uważała za stosowne pójść za mąż, nie uczyni tego już nigdy. Ten argument był widać bez wartości dla Roberta Darzaca, bo nie zaprzestawał starań, jeśli staraniem się można nazwać delikatną i czułą troskliwość w otaczaniu kobiety trzydziestopięcioletniej, która oznajmiła, że za mąż nie pójdzie.

Nagle na kilka tygodni przed wypadkami, które nas zajmują, rozeszła się po Paryżu wieść, do której zrazu nie przywiązywano nawet znaczenia, tak się wydała niewiarogodną: panna Stangerson zgodziła się wreszcie „nagrodzić trwale uczucie Roberta Darzaca!” Trzeba było jednak, żeby sam Robert potwierdził swe plany matrymonialne, aby sobie powiedziano wreszcie, że może być coś prawdy w pogłosce tak niewiarogodnej. Wreszcie sam profesor Stangerson zechciał oznajmić pewnego dnia, wychodząc z Akademii Nauk, że ślub jego córki i pana Roberta Darzaca odbędzie się bez uroczystości w zamku Glandier, jak tylko jego córka i on wykończą sprawozdanie, streszczające wszystkie ich prace nad *Rozproszaniem materii*. Młode małżeństwo zamieszka w Glandier i zięć dołączy swą pracę dla dzieła, któremu ojciec i córka życie poświęcili. Świat naukowy nie miał czasu jeszcze przyjść do siebie po tej nowinie, gdy dowiedziano się o morderstwie panny Stangerson w okolicznościach fantastycznych, któreśmy wyżej wymienili, a wyprawa nasza do zamku Glandier pozwoli nam określić je bliżej jeszcze.

Rozdział V

Rouletabille zwraca się do pana Roberta Darzaca ze zdaniem, które na nim robi wrażenie

Rouletabille i ja szliśmy kilka minut wzdłuż muru, który otaczał obszerną posiadłość pana Stangersona; już spostrzegliśmy furtę wchodową, gdy uwagę naszą zwróciła jakaś osobistość na wpół schylona nad ziemią i tak czymś zajęta, że nie spostrzegła naszego zbliżenia. Ten człowiek to się pochylał, kładł się niemal na ziemi, to powstawał i oglądał uważnie mur, to znów patrzył w dłoń swoją i szedł wielkimi krokami, potem zaczynał biec i znów patrzył w dłoń prawej ręki. Rouletabille zatrzymał mnie gestem:

— Cicho! Fryderyk Larsan pracuje!... Nie przeszkadzajmy mu!

Rouletabille miał wielkie uznanie dla sławnego agenta. Co do mnie, nie widziałem nigdy Fryderyka Larsana, ale znałem go dobrze z opinii.

Sprawa sztabek złotych skradzionych z mennicy, którą to sprawę wyjaśnił wówczas, gdy wszyscy inni już zwątpili, i uwięzienie włamywaczy do kas Kredytu Powszechnego, uczyniły jego imię prawie popularne. Uchodził on wówczas – w okresie, gdy Józef Rouletabillenier dał jeszcze zadziwiających dowodów swych nadzwyczajnych zdolności – za umysł najzdolniejszy do rozwikłania splątanego motka najbardziej tajemniczych i najciemniejszych zbrodni. Jego sława rozeszła się po całym świecie i niejednokrotnie policja londyńska, berlińska lub amerykańska wzywała jego pomocy, kiedy miejscowi detektywi uznawali swe pomysły i środki za wyczerpane.

Ne zdziwimy się więc, że zaraz w pierwszej chwili tajemniczej sprawy żółtego pokoju szef policji telegrafował do swego drogocennego urzędnika w Londynie, dokąd Fryderyk Larsan był wysłany w ważnej sprawie skradzionych dokumentów: *Powracaj pan natychmiast*. Fryderyk Larsan, którego nazywano w policji *wielkim Frydem*, przybył niezwłocznie, wiedząc z doświadczenia, że skoro go wzywano, to widocznie potrzebowano bardzo jego usług.

W ten sposób Rouletabille i ja zastaliśmy go już owego ranka przy robocie. Wkrótce zrozumieliśmy, na czym ona polegała. To, na co bezustannie spoglądał w swej dłoni, nie było czym innym jak zegarkiem, zdawał się bardzo zajęty obliczaniem minut. Po chwili zawrócił, raz jeszcze rozpoczął swój marsz i nie zatrzymał się aż przy furcie parkowej – jeszcze raz spojrzął na zegarek, zniechęconym ruchem wzruszył ramionami, pchnął furtę, wszedł do parku, zamknął furtę na klucz, podniósł głowę i dopiero spostrzegł nas poprzez kratę. Rouletabille podbiegł, a ja podążyłem za nim. Fryderyk Larsan nas oczekiwał.

— Panie Frydzie — powiedział Rouletabille, uchylając kapelusza z oznakami głębokiego szacunku, opartego na rzeczywistym uznaniu, jakie młody reporter miał dla sławnego agenta policji — czy mógłby pan nam powiedzieć, czy pan Robert Darzac jest w tej chwili w pałacu? Oto jeden z jego przyjaciół z adwokatury paryskiej chciałby z nim pomówić.

— Nic o tym nie wiem, panie Rouletabille — odrzekł Fryd, ściskając dłoń mego przyjaciela, bo miał już sposobność spotykać go niejednokrotnie w czasie ich najtrudniejszych poszukiwań... — Nie widziałem go.

— Zapewne odźwierni nas mogą objaśnić? — rzekł Rouletabille, wskazując mały domek z cegły, o drzwiach i oknach zamkniętych, który niechybnie musiał być schroniskiem tych

wiernych stróżów posiadłości.

— Odźwierni nie objaśnią panów, panie Rouletabille.

— A to czemu?

— Bo od pół godziny są uwięzieni!...

— Uwięzieni!... — zawołał Rouletabille — więc oni są mordercami?

Fryderyk Larsan wzruszył ramionami:

— Kiedy nie można — wymówił z wyrazem najwyższej ironii — zatrzymać mordercy, można sobie zawsze pozwolić na odkrycie współwinnych.

— To pan ich kazał uwięzić, panie Frydzie?

— Ach! nie, ja ich nie kazałem więzić, naprzód dlatego, że prawie pewny, że rola ich jest żadna w tej sprawie, a potem dlatego, że...

— Dlatego, że co? — zagadnął niespokojnie Rouletabille.

Fryderyk Larsan zatrzymał się, patrząc z zajęciem na reportera.

— Ach, więc pan ma myśl jakąś o tej sprawie. Jednak pan nic nie wiedział... pan jeszcze tu nie był...

— Ja tam będę.

— Wątpię... Jest formalny zakaz.

— Będę tam, jeśli mi pan pozwoli widzieć się z panem Robertem Darzakiem... Zrób pan to dla mnie, panie Frydzie, proszę pana. Pamięta pan ten artykuł, który o panu napisałem z powodu sztabek złotych. Jedno słówko do pana Roberta Darzaca – zechciej pan...

Twarz Rouletabilla była w tej chwili komiczna dla widza. Wyrażała takie nieprzewyciężone pragnienie przekroczenia progu, za którym odbywała się jakaś niesłychana tajemnica; błagała z taką wymownością nie tylko ust i oczu, ale i wszystkich rysów, że nie mogłem się powstrzymać od wybuchu śmiechu. Fryderyk Larsan też nie dłużej ode mnie zachował powagę.

Stojąc jednak poza furtą, Fryderyk Larsan kładł spokojnie klucz do kieszeni.

Obserwowałem go. Był to mężczyzna, mogący liczyć lat pięćdziesiąt. Jego głowa była piękna, o włosach siwiejących, cerze matowej, suchym profilu; czoło miał wysokie, podbródek i szczęki starannie wygolone; wargę bez wąsów była delikatnie zarysowana; oczy nieco małe i okrągłe patrzyły prosto wejrzeniem przenikliwym, które zastanawiało i niepokoiło. Był wzrostu średniego, ładnie zbudowany; wygląd jego ogólny wykwintny i sympatyczny. Nic z pospolitości urzędnika policji. Był to wielki artysta w swoim rodzaju, wiedział o tym i czuło się, że miał wysokie pojęcie o sobie. Ton jego mowy był tonem sceptyka i człowieka, pozbawionego iluzji. Jego dziwny zawód, który go stykał z tyloma zbrodniarzami i ohydami, nie dziwił, że trochę *zmroził jego uczucia* – według ciekawego wyrażenia Rouletabille'a,

Larsan zwrócił głowę na odgłos najeżdżającego z tyłu powozu. Poznaliśmy kabriolet, który ze stacji Epinay odwoził sędziego śledczego i jego pisarza.

— Patrzcie panowie! — zawołał Larsan — chcieliście mówić z panem Robertem Darzakiem? Otóż i on!

Kabriolet zatrzymał się przed furtą, a Robert Darzac prosił Fryderyka Larsana, aby mu otworzył wejście z parku, mówiąc, że się bardzo spieszy, bo pozostaje mu zaledwie tyle czasu, by dojechać do Epinay i udać się najbliższym pociągiem do Paryża. Naraz poznał mnie. Podczas gdy Larsan otwierał furtkę, pan Darzac zapytywał, co mogło mnie sprowadzić do Glandier w chwili tak tragicznej. Zauważyłem wówczas, że był przerażająco błydy i że ból niezgłębiony rysował się na jego twarzy.

— Panna Stangerson lepiej się czuje? — zapytałem, nie czekając.

— Tak — powiedział. — Może się ją uratuje. Muszą ją uratować.

Nie dodał: *albo umrę*, ale czuć było te słowa, drżące na jego wargach bezkrwistych.

Rouletabille wmieszał się zaraz:

— Panie, pan się spieszy. Jednak muszę pomówić z panem. Mam coś do zakomunikowania panu wielkiej doniosłości.

Fryderyk Larsan przerwał:

— Mogę zatem panów opuścić? — zapytał Roberta Darzaca. — Pan ma klucz, czy też życzy pan sobie, abym ten zostawił?

— Tak, dziękuję. Mam klucz i zamknę furtkę.

Larsan oddalił się szybko w kierunku zamku, którego olbrzymia budowa widniała w kilkuset metrach odległości.

Robert Darzac ściągnął brwi, okazując zniecierpliwienie. Przedstawiłem Rouletabille'a jako dobrego przyjaciela, ale z chwilą, gdy się dowiedział że młodzieniec jest dziennikarzem, pan Darzac spojrział na mnie z wyrazem wyrzutu, po czym tłumacząc się koniecznością przybycia w ciągu dwudziestu minut do Epinay, skłonił się i popędził konia. Lecz ku wielkiemu memu zdziwieniu Rouletabille pochwycił konia za uzdę, silną dłonią wstrzymał maleńki ekwipaż, wymawiając zdanie pozbawione dla mnie najmniejszego sensu.

— Plebania nie straciła nic ze swego uroku, ani ogród ze swego blasku.

Zaledwie te słowa wyszły z ust Rouletabille'a, gdy spostrzegłem, że Robert Darzac zachwiał się; jakkolwiek już blady – zbladł jeszcze więcej; jego oczy patrzyły na młodzieńca z przerażeniem; niezwłocznie zszedł ze stopni powozu i w jakimś niepojętym bezładzie myśli wyrzekł, jękając:

— Chodźmy! Chodźmy!

I znów powtórzył z dziwnym niepokojem:

— Chodźmy, panie, Chodźmy!

I zawrócił drogą, która prowadziła do zamku, nie mówiąc ani słowa. Rouletabille postępował jego śladem, trzymając wciąż konia za uzdę. Zwróciłem się z paru słowami do pana Darzaca, ale mi nie odpowiedział. Zapytałem wzrokiem Rouletabille'a, lecz ten mnie nie widział.

Rozdział VI

W głębi dąbrowy

Przybyliśmy do zamku. Stara wieżycza łączyła się z częścią budowli, która była zupełnie przerobiona za Ludwika XIV i z inną budowlą współczesną w stylu Viollet-le-Duc, gdzie było główne wejście.

Zbliżając się, spostrzegliśmy dwóch żandarmów, którzy przechadzali się przed niewielkimi drzwiami wychodzącymi z parteru wieży. Dowiedzieliśmy się wkrótce, że w tym parterze, który dawniej był więzieniem, a obecnie składem zużytych sprzętów, zamknięto teraz odźwiernego Berniera wraz z żoną.

Robert Darzac wprowadził nas do nowej części pałacu obszernym wejściem, które osłaniała markiza. Rouletabille, który powierzył konia i kabriolet staraniom służącego, nie spuszczał z oczu pana Darzaca. Śledziłem jego wzrok i spostrzegłem, że był wyłącznie skierowany na ręce, w rękawiczkach, profesora Sorbony. Kiedy znaleźliśmy się w małym saloniku, pan Darzac zwrócił się do Rouletabille'a i dość szorstko zapytał:

— Mów pan! Czego pan chce ode mnie?

Reporter odpowiedział równia szorstko;

— Uścisnąć pańską dłoń.

Darzac się cofnął:

— Co to znaczy?

Widocznie zrozumiał to, co i ja pojąłem wówczas dopiero: że mój przyjaciel podejrzewał go o ohydny czyn. Ślad zakrwawionej ręki na ścianie żółtego pokoju stanął mu przed oczyma... Patrzył on na tego człowieka o fizjonomii tak wyniosłej, o wejrzeniu tak prostym zazwyczaj, który jednak mieszał się dziwnie w tej chwili. Wyciągnął prawą rękę i wskazując mnie, rzekł:

— Pan jest przyjacielem pana Sainclaira, który mi oddał wielką, nieoczekiwaną przysługę w słusznej sprawie, i nie widzę powodu, dla którego bym miała odmówić panu mej ręki.

Rouletabille nie ujął tej ręki, ale kłaniając się, rzekł z niezrównaną zuchwałością:

— Panie, mieszkałem kilka lat w Rosji, skąd wywiozłem zwyczaj nie ścisnąć dłoni tego, kto mi ją podaje w rękawicze.

Myślałem, że profesor Sorbony da swobodne ujście oburzeniu, które go zaczynało opanowywać, ale przeciwnie, z widocznym wielkim wysiłkiem woli uspokoił się, zdjął rękawiczki i ukazał obie dłonie.

Były wolne od wszelkiej blizny,

— Czy pan jest zadowolony?

— Nie — odparł Rouletabille. — Mój drogi przyjacielu — rzekł potem, zwracając się do mnie — jestem zmuszony prosić cię, abys nas zostawił samych na chwilę.

Ukloniłem się, wychodząc zdumiony tym, co widziałem i słyszałem, nie rozumiejąc, czemu Robert Darzac nie wyrzuci za drzwi zuchwałego, ubliżającego mu, mego głupiego przyjaciela — bo w tej chwili życzyłem tego Rouletabille'owi za jego podejrzenia, które doprowadziły do przykrej sceny z rękawiczkami.

Spacerowałem blisko dwadzieścia minut około zamku, usiłując spoić ze sobą rozmaite

wypadki tego ranka – i nie mogłem dojść do niczego. Jaka była myśl Rouletabille’a? Czyż było możliwe, aby Robert Darzac wydał mu się zbrodniarzem? Jakże myśleć, że ten człowiek, który miał poślubić za kilka dni pannę Stangerson, zakradał się do żółtego pokoju, aby zamordować swą narzeczoną? Wreszcie nic mi dotąd nie wskazało, jak zbrodniarz mógł wyjść z żółtego pokoju, a dopóki ta tajemnica, która wydawała mi się niewytłumaczona, nie zostanie wyjaśniona, rozumowałem, że było obowiązkiem wszystkich nie posądzać tu nikogo. Wreszcie coś znaczyło to zdanie głupie, które jeszcze dźwięczało w mych uszach: *Plebania nie straciła nic ze swego uroku, ani ogród ze swego blasku!*

Pragnąłem jak najrychlej znaleźć się sam z Rouletabille’em, aby go o to zapytać.

W tej chwili młody człowiek wyszedł z zamku z Robertem Darzakiem. Rzecz niesłychana, od pierwszego rzutu oka poznałem, że byli najlepszymi przyjaciółmi.

— Idziemy do żółtego pokoju — rzekł Rouletabille. — Chodź z nami. Czy wiesz drogi przyjacielu, że cię zatrzymują na cały dzień. Śniadanie zjemy razem na wsi.

— Może panowie przyjmą śniadanie tutaj u mnie.

— Nie, dziękuję — odparł młody człowiek. — Zjemy śniadanie w oberży *Pod wieżę*.

— Będzie tam panom nieprzyjemnie. Nie znajdziecie nic...

— Tak pan myśli?... Ja mam właśnie nadzieję znaleźć tam cośkolwiek — odrzekł Rouletabille. — Po śniadaniu weźmiemy się znów do pracy. Napiszę mój artykuł, a ty bądź łaskaw oddać go w redakcji...

— A ty?... Ty nie wracasz ze mną?

— Nie, ja tu nocuję...

Spojrzałem na Rouletabille’a. Mówił poważnie, a Robert Darzac nie wydał się bynajmniej tym zdumiony.

Przechodząc koło wieży, posłyszeliśmy szlochanie.

— Czemu uwięziono tych ludzi? — zapytał Rouletabille.

— To trochę z mojej winy — powiedział pan Darzac. — Zrobiłem uwagę wczoraj sędziemu śledczemu, że jest niewyjaśnione, jak odźwierni mieli czas, posłyszawszy strzały rewolwerowe, ubrać się i przebiec przestrzeń dość znaczną, która dzieli ich mieszkanie od pawilonu i wszystko to w ciągu dwóch minut; bo nie upłynęło więcej jak dwie minuty między strzałami a chwilą, w której spotkał ich ojciec Jakub.

— Oczywiście, to podejrzane — przyznał Rouletabille — i byli ubrani?

— Otóż to, co jest nie do uwierzenia... byli ubrani całkowicie: dokładnie i ciepło... Nie brakowało nic w ich odzieniu. Kobieta była w sabotach, ale on miał obuwie sznurowane. Przy tym utrzymują, że pokładli się, jak co dzień o dziewiątej wieczór. Przybyły dziś z rana sędzia śledczy, który zaopatrzył się w Paryżu w rewolwer tego samego kalibru, co użyty w zbrodni (bo nie chce dotykać rewolweru, który ma być zachowany na dowód w sprawie) polecił swemu pisarzowi strzelić zeń dwa razy w żółtym pokoju, gdy okno i drzwi były zamknięte. Byliśmy z nim w mieszkaniu odźwiernych; nie słyszeliśmy nic... nic słyszeć niepodobna. Odźwierni przeto kłamali, to nie pozostawia żadnej wątpliwości... Oni byli gotowi, byli już na dworze niedaleko pawilonu, czekali na coś... Z pewnością, nie oskarża się ich, że są wykonawcami czynu, ale ich współdziałanie jest nieprawdopodobne. Pan de Marquet kazał ich uwięzić niezwłocznie.

— Gdyby oni byli współwinni — mówił powoli Rouletabille — przybyliby nieubrani, albo raczej nie przybyliby wcale. Kiedy się ktoś rzuca w ręce sprawiedliwości z tyłoma świadectwami współwiny, to znaczy, że nie jest współwinnym. Nie wierzę we współwinników w tej sprawie.

— A więc czemu byli na dworze o północy? Niech powiedzą!

— Widocznie mają przyczynę milczenia. Trzeba się dowiedzieć jaką... Nawet jeśli nie są

współwinni, to mieć może pewne znaczenie. Wszystko jest ważne, co się zdarzy w czasie podobnej nocy.

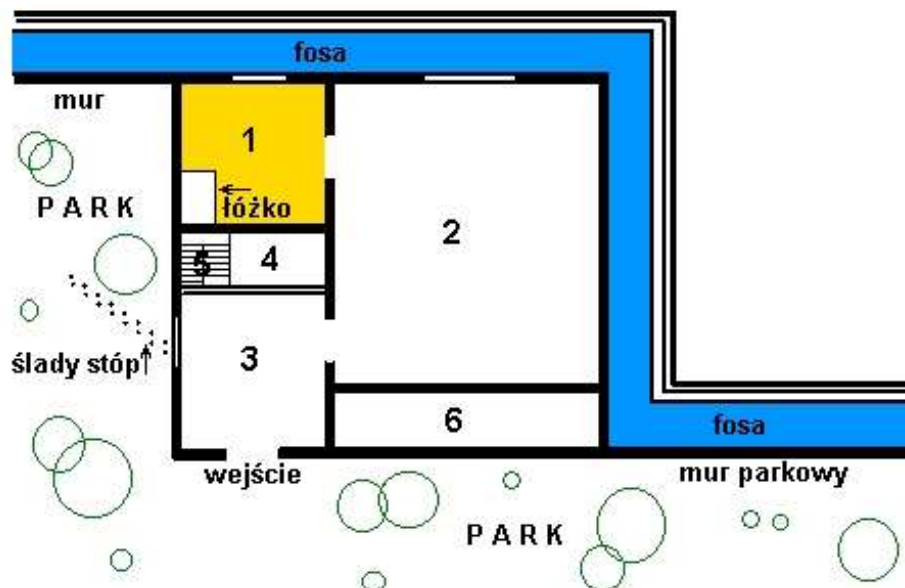
Przeszliśmy właśnie stary most, rzucony przez rzekę i weszliśmy w część parku, zwaną Dąbrową.

Były tam dęby stuletnie. Jesień już pokurczyła pożółkłe liście, a wysokie konary czarne i wężowate, wydawały się strasznymi grzywami, węzłami olbrzymich powikłanych gadów, jakie rzeźbiarz starożytny poskręcał na głowie swej Meduzy. Ta miejscowość, którą panna Stangerson zamieszkiwała latem, znajdując ją wesołą, wydała się nam smutna i żałobna. Grunt był czarny, grząski od niedawnych deszczów i gnijących martwych liści; pnie drzew były czarne; nawet niebo ponad naszymi głowami było w żałobnej osłonie ogromnych ciężkich obłoków. I w tym ustroniu ponurym i opuszczonym ujrzelśmy białe mury pawilonu. Dziwna budowa! Bez jednego okna dostrzegalnego od strony, z której się nam ukazywała. Jedyne małe drzwiczki oznaczały wejście. Powiedziałabyś grobowiec, obszerne mauzoleum w głębi opuszczonego lasu...

W miarę jak się zbliżaliśmy, odgadliśmy jego rozkład. Budynek ten otrzymywał wszystko światło, jakiego potrzebował, od południa, to znaczy, z przeciwnej strony posiadłości, od strony pola.

Kiedy zamknięto małe drzwiczki od strony parku, pan i panna Stangerson znajdowali tu idealne więzienie, aby w nim żyć dla swych prac i marzeń.

Zresztą podam zaraz plan tego pawilonu. Obejmował on parter tylko, do którego wchodziło się po kilku stopniach i strych dość wysoki, który nas zajmować nie będzie. Więc tylko plan parteru w całej jego prostocie przedstawiam czytelnikowi.



1. Żółty pokój z jednym oknem zakratowanym i jedynymi drzwiami do laboratorium.
2. Laboratorium o dwu wielkich oknach zakratowanych; w laboratorium dwoje drzwi: jedno do żółtego pokoju, drugie do przedsiönka.
3. Przedsiönek, w nim okno nieokrätowane wychodzi na park i drzwi wchodowe z parku.
4. Umywalnia.
5. Schody na strych.
6. Obszerny i jedyny kominek w pawilonie, służący do doświadczeń laboratoryjnych.

Plan był naszkicowany przez samego Rouletabille'a a ja sprawdziłem, że nie brakowało w nim ani jednej linii, ani jednej wskazówki, mogącej przyjść z pomocą rozwiązaniu zagadki nasuwającej się sędziom. Posiadając tę opowieść i plan, czytelnicy wiedzieć będą tyleż, aby odnaleźć prawdę, ile wiedział Rouletabille, kiedy wchodził po raz pierwszy do pawilonu z zapytaniem, jak każdy z nas: *Którędy zbrodniarz mógł uciec z żółtego pokoju?*

Wstępując na stopnie u wniścicia do pawilonu, Rouletabille zatrzymał nagle nas i zagadnął pana Darzaca:

— Dobrze, a motyw zbrodni?

— Dla mnie, panie, nie ma najmniejszej wątpliwości w tym względzie — rzekł narzeczony panny Stangerson z wielkim smutkiem. — Ślady palców, głębokie zadraśnięcia na piersi i szyi panny Stangerson potwierdzają, że nędznik, który tu był, zamierzał straszną zbrodnię. Lekarze specjaliści, którzy badali wczoraj te znaki, przyznają, że były one zadane tą samą ręką, której zakrwawione odbicie pozostało na ścianie; dłoń ogromna, panie, która nie zmieściłaby się w mojej rękawicze — dodał z gorzkim, nieokreślonym uśmiechem.

— Czy ta ręka czerwona — przerwałem — nie mogłaby być śladem zakrwawionych palców panny Stangerson, która w chwili padania trafiła na ścianę i osuwając się, pozostawiła na niej rozszerzony obraz swej dłoni pełnej krwi?

— Nie było ani kropli krwi na rękach panny Stangerson, kiedy ją podnoszono — odrzekł

pan Darzac.

— Więc teraz jest pewne — rzekłem — że panna Stangerson uzbroiła się w rewolwer ojca Jakuba, bo to ona zraniła w rękę zbrodniarza. A więc ona obawiała się czegoś, czy kogoś?

— To możliwe.

— Pan nie podejrzewa nikogo?

— Nie — odpowiedział pan Darzac, spoglądając na Rouletabille'a.

Wówczas Rouletabille począł mi objaśniać:

— Trzeba, byś wiedział, mój przyjacielu, że śledztwo jest nieco dalej posunięte, niż raczył nam powiedzieć ten konspirator de Marquet. Nie tylko śledztwo wie teraz, że rewolwer był bronią, którą posłużyła się dla swej obrony panna Stangerson, ale też poznano zaraz broń, która posłużyła do napaści, do uderzenia panny Stangerson. Jest to, jak mi powiedział pan Darzac — kość barania. Czemu pan de Marquet otacza tę kość baranią taką tajemnicą? Czy w celu ułatwienia poszukiwań agentom policji? Bez wątpienia. On myśli może, że pomiędzy tymi, co są dobrze znani w szumowinach Paryża, odnajdzie jej właściciela, który się nią posłużył jako narzędziem zbrodni.

— A zresztą cóż wiedzieć można, co się odbywa w mózgu sędziego śledczego? — dodał Rouletabille z ironią pogardliwą.

— Więc znaleziono kość baranią w żółtym pokoju? — zapytałem.

— Tak, panie — rzekł Robert Darzac — u nóg łóżka; ale proszę pana nie mówić o tym zupełnie. Pan de Marquet prosił nas o tajemnicę. (Zrobiłem ruch protestu). To ogromna kość barania, której zespojenie było jeszcze czerwone od krwi ze strasznej rany, jaką zadano pannie Stangerson. To stara kość barania, która musiała służyć już w paru zbrodniach, sądząc ze śladów. Tak sądzi pan de Marquet, który ją powiózł do Paryża, do laboratorium miejskiego dla analizy. Jemu się zdaje, że odnalazł na tej kości nie tylko świeżą krew ostatniej ofiary, ale jeszcze rudawe ślady, które są pewnie plamami zaschłej krwi, świadectwem zbrodni przeszłych.

— Kość barania w rękę wprawnego zbrodniarza, to broń okropna — rzekł Rouletabille — broń bardziej skuteczna i pewna niż ciężki młot.

— Zresztą nikczemnik dowiódł tego — rzekł boleśnie pan Robert Darzac. — Kość barania silnie uderzyła pannę Stangerson w skroń. Zakończenie kości zgadza się doskonale z zagłębieniem rany. Według mnie ta rana byłaby śmiertelna, gdyby zbrodniarz w połowie ciosu, który zadawał, nie był powstrzymywany strzałem panny Stangerson. Zraniony w dłoń, porzucił swą kość baranią i uciekał. Niestety, cios był już wymierzony i zadany... i panna Stangerson, uniknąwszy wcześniej uduszenia, została niemal śmiertelnie raniona. Gdyby panna Stangerson zdołała zranić człowieka pierwszym wystrzałem rewolweru, z pewnością nie otrzymałaby ciosu kości baraniej... Ale ona pochwyciła widać rewolwer za późno; zresztą pierwszy strzał w walce chybił i kula utkwiała w suficie, dopiero drugi strzał trafił...

To mówiąc, pan Darzac zastukał do drzwi pawilonu.

Czy mam wyznać moją niecierpliwość zobaczenia miejsca zbrodni? Drżałem z niepokoju i mimo ogromnego zainteresowania, które wzbudzało opowiadanie o kości baraniej, wrzałem wewnętrznie, widząc że nasza rozmowa się przedłuża, a drzwi pawilonu się nie otwierają.

Wreszcie się otworzyły.

Człowiek jakiś, w którym domyśliłem się ojca Jakuba stał na progu.

Zdawał się mieć dobrze lat sześćdziesiąt. Długa biała broda, włosy białe, na nich beret baskijski, ubranie z aksamitu brązowego, nieco wytarte, saboty, wyraz starego zrędy o fizjonomii dość odpychającej, która się jednak rozjaśniła z chwilą, gdy spostrzegł pana Roberta Darzaca.

— Dobrzy znajomi — rzekł z prostotą nasz przewodnik. — Czy nie ma nikogo w

pawilonie, ojciec Jakubie?

— Nie powinienem wpuszczać nikogo, panie Robercie. Ale z pewnością zakaz nie jest dla pana. I po co? Widzieli już wszystko, co było do widzenia, ci panowie z sądu... Zrobili z tego już dosyć rysunków i protokołów...

— Przepraszam, panie Jakóbie, jedno pytanie przede wszystkim — rzekł Rouletabille.

— Słucham panie, a jeśli będę mógł odpowiedzieć...

— Czy wasza pani miała tamtego wieczora włosy nisko zaczesane? Wiecie jak – włosy zaczesane na czoło?

— Nie, mój młody panie. Moja pani nigdy nie nosiła włosów tak zaczesanych, jak pan mówi, ani tego wieczora, ani innych dni. Miała, jak zawsze, włosy wzniesione w ten sposób, że można było widzieć jej piękne czoło, jasne, jak czoło dziecka.

Rouletabille zamruczał i zaraz zaczął badać drzwi. Zdał sobie sprawę z automatycznego zamku. Sprawdził, że te drzwi nigdy nie mogły zostawać otwarte i że trzeba było klucza, aby je otworzyć. Potem weszliśmy do przedsionka, niewielkiego pokoiku i dość jasnego z posadzką w płyty czerwone,

— A! Oto okno — zawołał Rouletabille — przez które zbrodniarz uszedł!

— Niech i tak będzie, panie. Niech i tak będzie! Ale gdyby tędy uciekał, widzielibyśmy go z pewnością! Nie jesteśmy ślepi! Ani pan Stangerson, ani ja, ani odźwierni, których uwieczono! Czemuż to mnie me wezmą do więzienia? I mnie także, za mój rewolwer!

Tymczasem Rouletabille otworzył już okno i oglądał okiennice.

— Były zamknięte w chwili zbrodni?

— Na zasuwkę żelazną od wewnątrz — rzekł ojciec Jakub.

— A ja jestem pewien, że zbrodniarz przeszedł przez nie...

— Czy są ślady krwi?

— Tak, patrz, tam na kamieniu na zewnątrz... Ale krwi czyjej?

— Ach! — zawołał Rouletabille — widać kroki. Tam na ścieżce... grunt był bardzo rozmokły... Zaraz to zbadamy...

— Głupstwo! — przerwał ojciec Jakub. — Zbrodniarz tędy nie przeszedł.

— A więc którądy?

— A czy ja wiem?

Rouletabille widział wszystko, wszystko węszył. Ukląkł i przejrzał szybko poplamione tafle przedsionka.

Ojciec Jakub ciągnął dalej:

— Ach! Pan nic nie znajdzie, mój dobry panie. Nic tu nie znaleźli... A poza tym, teraz to za brudne. Za wiele ludzi tędy chodziło! Oni nie pozwalają mi umyć posadzki... ale w dzień wypadku myłem to wszystko, nie szczędząc wody, ja sam, ojciec Jakub. I gdyby zbrodniarz przeszedł tędy w swych chodakach, widziałyby się... Dosyć śladów swoich nóg zostawił w pokoju panienki!

Rouletabille podniósł się i zapytał:

— Kiedy myliście te płyty po raz ostatni?

I patrzył na ojca Jakuba okiem, któremu nic nie ujdzie.

— Ależ, w sam dzień zbrodni, powiedziałem panu, koło wpół do szóstej, podczas kiedy pani z panem przechadzali się przed samym obiadem, bo jedli obiad tu, w laboratorium. Na drugi dzień, jak przyszedł sędzia, mógł widzieć wszystkie ślady kroków na podłodze, powiedziałbyś, jakby atrament na białym papierze... Dobrze!... lecz ani w laboratorium, ani w przedsionku nie znaleziono kroków... tego człowieka!... Ponieważ je widać koło okna z zewnątrz, musiał chyba przebić sufit żółtego pokoju, przejść przez strych, przebić dach, i spuścić się właśnie koło okna

przedsionka, upadając tutaj... Ale nie ma dziury w suficie żółtego pokoju, ani na moim strychu z pewnością!... A więc, widzą panowie, że nic się nie wie... ale to nic a nic!... i że nie będzie wiadomo, dalibóg nigdy nic! To tajemnica diabelska.

Nagle Rouletabille rzucił się na kolana prawie naprzeciw drzwi małej umywalni, która się znajdowała w głębi przedsionka. Pozostał w tej pozycji przynajmniej minutę.

— I cóż? — zapytałem, kiedy powstał.

— O! nic ważnego, kropla krwi.

Młody człowiek zwrócił się do ojca Jakuba:

— Kiedy zaczynaliście myć laboratorium i przedsionek, czy okno przedsionka było otwarte?

— Otworzyłem je, bo rozżarzyłem węgiel drzewny dla pana w kominku laboratoryjnym; a że go podpaliłem gazetami więc był dym, dlatego otworzyłem okno w laboratorium i w przedsionku, aby był przeciąg; potem zamknąłem okno w laboratorium, a zostawiłem otwarte w przedsionku, i poszedłem do zamku szukać ścierki. Powróciwszy, jak to panom powiedziałem, koło wpół do szóstej, wziąłem się do mycia posadzki. Po skończeniu tego znów wyszedłem, zostawiając ciągle okno otwarte. Wreszcie, kiedy ostatni raz powracałem do pawilonu, okno było zamknięte, a pan i pani pracowali już w laboratorium.

— Pan i panna Stangerson zamknęli pewnie okno wchodząc?

— Z pewnością...

— Nie pytaliście ich?

— Nie!...

Po dokładnym obejrzeniu umywalni i klatki schodowej, która prowadziła na strych, Rouletabille, dla którego my zdawaliśmy się nie istnieć zupełnie, przeszedł do laboratorium. Wyznam, że z silnym wzruszeniem podążyłem za nim. Robert Darzac nie tracił jednego ruchu mego przyjaciela... Co do mnie, moje oczy pobiegły zaraz w kierunku żółtego pokoju. Drzwi były zamknięte lub raczej przyknięte, bo sprawdziłem zaraz, że były na wpół wyważone i niezdatne do użytku... Wysiłki tych, którzy się na nie rzucili w chwili dramatu, uszkodziły je. Mój młody przyjaciel, który prowadził swe dzieło z pewną metodą, milcząc badał pokój, w którym się znajdowaliśmy się. Był obszerny i dobrze oświetlony. Dwa wielkie okna zaopatrzone w kraty wychodziły na otwarte pole. Widok był cudowny na całą dolinę, aż po wielkie miasto, które zapewne widać stąd było na krańcu horyzontu w dni pogodne. Ale dziś – tylko błoto na ziemi, sadza na niebie... i krew w tym pokoju...

Cała jedna strona laboratorium była zajęta przez obszerny kominek, tygle, piecyki do wszelkich doświadczeń chemicznych. Wszędzie rozstawione retorty, instrumenty fizyczne, na stołach flaszki, papiery, rękopisy, maszyna elektryczna... Aparat — powiada mi pan Robert Darzac — używany przez profesora Stangersona dla doświadczeń rozkładu materii pod działaniem światła słonecznego etc. A wzdłuż ścian szafy zasłonięte albo szafy oszklone, w których widać mikroskopy, specjalne aparaty fotograficzne, niezliczoną ilość kryształów.

Rouletabille wetknął nos w kominek, końcem palca grzebał w tygielkach... Naraz wyprostował się, trzymając maleńki kawałek papieru na wpół przepalony... Zbliżył się do nas rozmawiających pod oknem i powiedział:

— Zachowaj to pan dla nas, panie Darzac.

Schyliłem się nad kawałkiem żółtego papieru, który pan Darzac wziął z rąk Rouletabille'a i przeczytałem wyraźnie te jedyne słowa, które pozostały czytelne:

Plebania nie... straciła uroku, ani ogr... swego blasku

A pod tym data: 23 paździer.

Po raz drugi owego ranka spotykałem te same słowa pozbawione sensu i po raz drugi widziałem, jakie piorunujące wrażenie wywoływały one na profesorze Sorbony,

Pierwszym ruchem pana Darzaca było spojrzenie w stronę Jakuba, Ale ten nie patrzył na nas, zajęty czymś w drugim oknie... Wówczas narzeczony panny Stangerson otworzył swój portfel, drżącą ręką schował w nim papier i westchnął: — Mój Boże!

Tymczasem Rouletabille wszedł w kominek, to znaczy, że stanąwszy na wystających cegłach kominka, przyglądał się bacznie jego wnętrzu. Kominek zwęzał się w górę, a na pięćdziesiąt centymetrów nad jego głową zamykał się blachą żelazną wprawioną w cegły. Blacha przepuszczała zaledwie trzy rury, z których każda miała po piętnaście centymetrów średnicy,

— Niepodobna przejść tędy — wygłosił młody człowiek, zeskakując. — Zresztą gdyby nawet próbował, wszystko to żelazo byłoby na podłodze. Nie! nie! to nie z tej strony trzeba szukać...

Rouletabille zbadał następnie meble i otwierał drzwi szaf. Potem przyszła kolej na okna. Uznał, że są niemożliwe do przejścia, i że nikt tędy nie przeszedł. W drugim oknie spotkał ojca Jakuba pogrążonego w zadumie.

— Cóż to, ojcze Jakubie, na co tak patrzycie?

— Patrzę na człowieka z policji, który nie przestaje krążyć koło stawu... Jeszcze jeden, który niewiele więcej od nas zobaczy!

— Nie znacie Fryderyka Larsana, ojcze Jakubie — powiedział Rouletabille, wstrząsając głową melancholijnie — inaczej nie mówilibyście tak... Jeśli będzie taki, co znajdzie zbrodniarza, to on z pewnością. Trzeba wierzyć! — I Rouletabille westchnął.

— Zanim się go odnajdzie, trzeba najprzód wiedzieć, jakeśmy go zgubili... — odrzekł uparcie ojciec Jakub.

Wreszcie doszliśmy do drzwi żółtego pokoju.

Rozdział VII

Rouletabille wchodzi pod łóżko

Rouletabille, otwierając drzwi żółtego pokoju, zatrzymał się na progu, mówiąc z pewnym wzruszeniem, które miałem później dopiero zrozumieć: — *Oo! perfumy czarnej damy!* Pokój był ciemny; ojciec Jakub chciał otworzyć okiennice, ale Rouletabille zatrzymał go.

— Czy zbrodnia odbyła się w zupełnej ciemności? — zapytał.

— Nie, mój panie, nie myślę. Pani zawsze bardzo lubiła mieć lampkę nocną na swym stoliku, i ja to ją stale zapalałem wieczorem, zanim pani udawała na spoczynek... Byłem prawie jej pokojową, kiedy wieczór nadchodził. Prawdziwa pokojowa przychodziła dopiero rankiem. Pani pracuje tak długo w nocy.

— Gdzie stał stół, na którym była lampka nocna? Czy daleko od łóżka?

— Z dala od łóżka.

— Czy moglibyście teraz zapalić lampkę?

— Lampka jest rozbita i oliwa się z niej wylała, kiedy stół upadał. Zresztą wszystko zostało w tym samym stanie. Otworzę okiennice, to pan zobaczy...

— Czekajcie!

Rouletabille wrócił do laboratorium i zamknął okiennice obu okien i drzwi przedsiionka, a kiedyśmy się znaleźli w zupełnej ciemności, zapalił stoczek woskowy i wręczając go ojcu Jakubowi, polecił mu stanąć pośrodku żółtego pokoju, tam gdzie owej nocy paliła się lampka.

Ojciec Jakub, który był w miękkich trzewikach (zostawiał zazwyczaj swe saboty w przedsiionku) wszedł do żółtego pokoju ze stoczkiem w ręku, wtenczas zobaczyliśmy niewyraźnie, słabo oświetlone małym płomieniem przedmioty, powywracane na posadzkę, łóżko w rogu i naprzeciw nas na lewo refleks lustra zawieszzonego przy łóżku na ścianie.

Trwało to jedno mgnienie.

— To dosyć — rzekł Rouletabille. Możecie otworzyć okiennice.

— Nade wszystko nie wchodźcie, panowie — prosił ojciec Jakub. — Moglibyście zostawić ślady waszego obuwia... a nie trzeba nic zmieniać... To życzenie sędziego śledczego, takie ot sobie życzenie... bo jego robota już skończona... — I pchnął okiennice. Błady dzień z zewnątrz wszedł, oświetlając złowrogi bezład wśród szafranowych ścian. Podłoga była zasłana żółtą matą w jednej sztuce, która ją niemal całkowicie pokrywała, sięgając pod łóżko i pod toaletę, jedyne meble, które stały jeszcze na nogach. Stół okrągły na środku, stolik nocny i dwa krzesła były wywrócone. Na macie widać było szeroką krwawą plamę która pochodziła, wedle objaśnień ojca Jakuba, z rany na czole panny Stangerson, Prócz tego kropelki krwi były rozsiane po trosze wszędzie i dążyły do pewnego stopnia za śladem bardzo wyraźnym kroków szerokich, czarnych stóp zbrodniarza. Wszystko zdawało się mówić, że te krople krwi są z rany człowieka, który odcisnął swą czerwoną rękę na ścianie. Jeszcze inne ślady tejże ręki były na ścianie, ale daleko mniej wyraźne. Był więc tu ślad grubej okrwawionej dłoni męskiej.

Nie mogłem się powstrzymać od wykrzyknika:

— Patrzcie!... Widzicie tę krew na ścianie? Człowiek, który oparł tak silnie rękę, był wówczas w ciemności i pewnie myślał, że trzyma drzwi. Zamierzał je pchnąć! Dlatego tak

mocno się oparł, zostawiając na żółtym obiciu rysunek niezmiernie oskarżający, bo nie wiem, czy znajdzie się wiele rąk na świecie, podobnych do tej. Jest ona wielka i silna a palce ma prawie jednakowo długie! Co do wielkiego – nie ma go tu! Mamy tylko znak dłoni. A jeśli podążymy za śladem tej ręki — ciągnąłem — widzi się, jak oparta na murze, maca go, szuka drzwi, znajduje je, szuka zamka...

— Bez wątpienia — przerwał Rouletabille — ale nie ma śladu krwi ani na zamku, ani na zatrzasku!...

— A cóż to może szkodzić? — odparłem z pewnością siebie, z której byłem zadowolony. — On mógł otworzyć zamek i zatrzask lewą ręką, co jest zupełnie naturalne, bo ręka prawa była skaleczona...

— On nic zupełnie nie otwierał! — wykrzyknął na to ojciec Jakub. — My nie jesteśmy wariaci jeszcze! A było nas czworo, kiedyśmy wyważyli drzwi!

Znów zacząłem:

— Co za dziwna ręka! Patrzcie, co to za ręka!

— Bardzo naturalna ręka — odparł Rouletabille — której rysunek został tylko zmieniony przez pociągnięcie po ścianie. Człowiek ten wytarł swą rękę zranioną o mur. Powinien on mieć metr osiemdziesiąt centymetrów wysokości.

— Z czegoż to widzisz?

— Z wysokości ręki na murze...

Mój przyjaciel zajął się potem śladem kuli w ścianie. Był to okrągły otwór.

— Kula padła wprost — rzekł Rouletabille — to jest ani z góry, ani z dołu...

I zwrócił naszą uwagę, że była ona o kilka centymetrów poniżej śladu ręki na ścianie.

Znów powracając do drzwi, Rouletabille zbliżył teraz nos do zamku i zatrzasku.

Skonstatował, że silnie wyparto drzwi z zewnątrz, zamek i zatrzask tkwiły jeszcze w tych drzwiach: jeden zamknięty, drugi spuszczone, a na ścianie dwa skoble były prawie wyrwane, ale wisiały jeszcze, trzymając się na jednej śrubie.

Młody reporter *Epoki* patrzył na nie z uwagą, ujął drzwi, obejrzał je z dwóch stron, upewnił się, że nie było żadnej możliwości zamknięcia lub otwarcia zatrzasku z zewnątrz. Upewnił się jeszcze, że gdy klucz tkwił w zamku, nie można go było otworzyć z przeciwnej strony żadnym innym kluczem. Wreszcie, sprawdzwszy, że nie było w tych drzwiach żadnego zamknięcia automatycznego, czyli krótko, że były to najzwyczajniejsze drzwi bardzo silne, zaopatrzone w jeden zamek i jeden zatrzask, które też pozostały zamknięte – Rouletabille wymówił te słowa: — To idzie lepiej! — Potem, siadając na podłodze, zdjął szybko obuwie.

I w skarpetkach wszedł w głąb pokoju. Pierwszą jego czynnością było zbadanie powywracanych sprzętów z nadzwyczajną dokładnością. Patrzyliśmy nań w milczeniu, zaś ojciec Jakub mówił do niego coraz bardziej ironicznie:

— O mój mały! O mój mały! Zadaje pan sobie wiele trudu!

Ale Rouletabille podniósł głowę nagle:

— Mówiliście zupełną prawdę, ojciec Jakubie, wasza panienska nie miała włosów spuszczonech na czoło tego wieczora, to ja byłem głupi, myśląc coś podobnego!

I zwinny jak wąż wcisnął się pod łóżko.

Postyszeliśmy głos Rouletabille'a spod łóżka.

— O której godzinie, panie Jakubie, pan i panna Stangerson przyszli do laboratorium, aby z niego już nie wychodzić?

— O szóstej.

Głos Rouletabille'a ciągnął dalej:

— Tak, on wszedł tutaj, to jest pewne... Zresztą tylko tu mógłby się ukryć... Kiedyście

weszli we czworo, patrzyliście pod łóżko?

— Natychmiast. Myśmy nawet zupełnie odsunęli łóżko, a potem postawiliśmy je na swoim miejscu.

— A między materacami?

— Na łóżku był tylko jeden materac, na którym złożono pannę Matyldę. I odźwierny z panem Stangersonem przenieśli ten materac zaraz do laboratorium. Pod materacem był tylko materac sprężynowy, który nie mógłby nic ukryć, ani nikogo. Wreszcie panie, proszę pomyśleć, że było nas czworo i że nic nie mogło ujść naszym oczom, bo pokój jest tak mały, pozbawiony mebli, a wszystko za nami w pawilonie było zamknięte.

Zdobyłem się na przypuszczenie:

— Może on wyszedł z materacem! może z materacem!... Wszystko jest możliwe wobec podobnej tajemnicy! W swym przerażeniu profesor Stangerson i odźwierny nie spostrzegli się, że wynoszą podwójny ciężar... A ponadto, jeśli odźwierny jest współwinnym... Rzucam wam to przypuszczenie bez względu, ile ono warte, ale to mogłoby wyjaśnić wiele rzeczy... a w szczególności to, że laboratorium i przedsionek są wolne od śladów kroków, których tak wiele w pokoju. Kiedy przenoszono panią z pawilonu do zamku, materac zatrzymany na chwilę przy oknie, dał człowiekowi możliwość ucieczki...

— A potem, cóż jeszcze? Cóż jeszcze? Cóż Jeszcze? — rzucił mi Rouletabille, śmiejąc się zuchwale pod łóżkiem.

Uczułem się zmieszany:

— Naprawdę, nie wiadomo co?... wszystko zdaje się możliwe...

— Tę samą myśl miał sędzia śledczy, panie — zauważył ojciec Jakub — dlatego starannie zbadał materac. Potem musiał śmiać się ze swego pomysłu, panie, jak pański przyjaciel śmieje się w tej chwili, bo przecież nie był to materac o podwójnym spodzie!... A nadto, jakże!... gdyby człowiek był w materacu, widziano by go!..

Musiałem też się śmiać, bo w istocie miałem dowód, że powiedział coś, co było absurdem. Ale gdzie się zaczynał, gdzie kończył absurd w podobnej sprawie?... Jeden mój przyjaciel był zdolny to powiedzieć.

— Powiedźcie więc! — zawołał reporter zawsze pod łóżkiem — więc ten pokój był dobrze przetrząśnięty?

— Przez nas, panie — objaśniał ojciec Jakub. — Kiedyśmy nie znaleźli zbrodniarza, zapytywaliśmy się, czy nie ma otworu w podłodze?...

— Nie ma — odrzekł Rouletabille. — A czy nie ma tu piwnicy?

— Nie, nie ma piwnicy... Ale to nie powstrzymało naszych poszukiwań i nie przeszkodziło panu sędziemu śledczemu, a nade wszystko jego pisarzowi zbadać podłogę, deskę po desce, jak gdyby była jaka piwnica pod spodem...

Reporter wreszcie się ukazał. Jego oczy błyszczały, nozdrza drżały, rzekłbyś, młode zwierzę w powrocie ze szczęśliwej wyprawy... Pozostał na czworakach. W istocie nie mogłem trafniej go porównać jak do pięknego psa myśliwskiego na tropie jakiejś rzadkiej zwierzyny... Węszył ślady człowieka, człowieka, którego poprzysiągł sobie przynieść swemu panu, redaktorowi *Epoki*, bo nie trzeba zapominać, że nasz Józef Rouletabille był dziennikarzem!

I tak na czworakach był w czterech kątach pokoju, węszył wszystko, okrążając wszystko, wszystko cośmy widzieli, co było drobnostką, i wszystko, czegośmy nie widzieli, a co było może wielkie.

Toaleta, był to zwykły stolik na czterech nogach, niepodobna było użyć jej jako skrytki chwilowej... Ani jednej szafy... Panna Stangerson miała swą garderobę w zamku.

Nos, oczy, ręce Rouletabille'a śledziły wzdłuż murów, które wszędzie były z mocnej

cegły. Badając ściany, przeszedł swymi zręcznymi palcami całą powierzchnię żółtego obicia, dosięgnął w ten sposób nawet sufitu, wchodząc na krzesło umieszczone na toalecie i posuwając wokoło pokoju tę pomyslową podstawę; kiedy skończył z sufitem, w którym zbadał starannie ślad drugiej kuli, zbliżył się do okna. Teraz przyszła kolej na kraty i okiennice, bardzo mocne i nienaruszone. Wreszcie Rouletabille sapnął zadowolony: — Uf — i oznajmił, że teraz jest spokojny!

— A więc, teraz wierzy pan, jak była zamknięta biedna, droga panienska, kiedy ją mordowano, i kiedy wołała nas na pomoc!... — jęknął ojciec Jakub.

— Tak — rzekł reporter — ocierając czoło. Żółty pokój był zamknięty, jak kasa ogniotrwała.

— Faktycznie — zauważyłem — oto dlaczego ta tajemnica jest najbardziej zdumiewająca, jaką znam, nawet w dziedzinie wyobraźni.

— W istocie! W istocie! — przyznał Rouletabille, który wciąż ocierał sobie czoło, zdając się pocić nie tyle z niedawnego wysiłku fizycznego, ile wskutek naprężenia myśli. — W istocie! To wielka, piękna i ciekawa tajemnica!...

— Zwierzątko Boże — zamruczał ojciec Jakub — Zwierzątko Boże nawet, gdyby popełniło zbrodnię, nie zdołałoby uciec... Słuchajcie!... Słyszycie je panowie?... Cicho!... Ojciec Jakub dał znak, żebyśmy umilkli, i z ręką wyciągniętą ku ścianie, w stronę pobliskiego lasu nasłuchiwał czegoś, czego myśmy nie słyszeli zupełnie...

Już uciekło — zakończył. — Zabić je muszę... Zanadto złowrogie jest to stworzenie... ale to Zwierzątko Boże modli się co nocy na grobie świętej Genowefy i nikt nie śmie go dotknąć z bojaźni, że matka Agnieszka urok rzuci!

— Czy duże jest Zwierzątko Boże?

— Prawie jak dobry jamnik... To potwór mówię panom. Ach, tyle razy zapytywałem sam siebie, czy to nie on pochwycił w swoje pazury naszą biedną panienskę... Ale Zwierzątko Boże nie nosi butów, nie strzela z rewolweru, nie ma takiej ręki... wykrzyknął ojciec Jakub, wskazując nam jeszcze krwawą rękę na ścianie. A nadto, widziano by je tak samo dobrze, jak człowieka; byłoby zamknięte w pokoju i w pawilonie tak samo dobrze jak człowiek!...

— Z pewnością — rzekłem. — Z daleka, nie znając jeszcze żółtego pokoju, też zapytywałem w myśli, czy to nie kot matki Agnieszki?...

— I ty też! — zawołał Rouletabille,

— A ty? — zapytałem.

— Ja nie, ani jednej chwili... Od chwili, gdy przeczytałem artykuł *Matina*, wiem, że chodzi tu nie o zwierzę... Teraz ja przysięgam, że odbyła się tu straszna tragedia... Ale nie mówicie o berecie odnalezionym ani o chustce, ojciec Jakubie?

— Sędziowie je zabrali, rozumie się — wyrzekł z pewnym wahaniem.

— Ja nie widziałem — powiedział mu reporter bardzo poważnie — ani chustki, ani beretu, ale mogę wam powiedzieć, jakie one są.

— Aa! Pan jest bardzo złośliwy! — i ojciec Jakub zakaszlał zakłopotany.

— Jest to wielka chustka niebieska w czerwone cętki, a beret — jest to stary beret baskijski jak oto ten — dodał Rouletabille, wskazując na głowę Jakuba.

— To jednak prawda... Pan jest jasnowidzący...

I ojciec Jakub usiłował się roześmiać, ale mu się nie powiodło.

— Skąd pan wie, że chustka jest niebieska w czerwone cętki?

— Bo jeśli by ona nie była niebieska w czerwone cętki, zupełnie by jej nie znaleziono!

Nie zajmując się więcej ojcem Jakubem, mój przyjaciel wyjął z kieszeni kawałek białego papieru, otworzył nożyczki, pochylił się nad śladami kroków, przyłożył swój papier do jednego

ze śladów i zaczął wycinać. Otrzymał w ten sposób stopę z papieru o konturze bardzo wyraźnym i dał mi ją, prosząc, abym nie zgubił.

Podszedł następnie ku oknu i, wskazując ojcu Jakubowi Fryderyka Larsana, który nie opuszczał brzegów stawu, wyraził obawę, czy agent policji nie był także w żółtym pokoju dla swoich poszukiwań.

— Nie! — odrzekł Robert Darzac, który od chwili, gdy Rouletabille wręczył mu kawałek przepalonego papieru, nie wymówił ani jednego słowa. — Utrzymuje, że nie trzeba widzieć zupełnie żółtego pokoju, że zbrodniarz wyszedł z pokoju w sposób bardzo naturalny i że to wyjaśni jeszcze tego wieczora!

Rouletabille, słysząc, co mówi pan Robert Darzac – rzecz dziwna – zbladł.

— Czyżby Fryderyk Larsan już posiadał prawdę, którą ja dopiero przeczuwam!... — wyszeptał. — Fryderyk Larsan jest bardzo silny... bardzo silny... Ja go podziwiam!... Ale dziś idzie o coś więcej jak o robotę agenta policji... o coś więcej, niż to, czego uczy doświadczenie! Należy być logicznym, zrozumieście to – logicznym, jak Bóg był logiczny, gdy rzekł: dwa razy dwa to cztery. Idzie o to, aby ująć rzecz z właściwej strony.

I reporter wybiegł na dwór, strwożony myślą, że wielki, sławny Fryd może wcześniej od niego przynieść rozwiązanie zagadki żółtego pokoju.

Zdołałem go dopędzić za progiem pawilonu.

— Ależ zatrzymaj się! — rzekłem. — Uspokój się! Czyż nie jesteś zadowolony?

— Tak — powiedział z głębokim westchnieniem — jestem bardzo zadowolony...

Odkryłem wiele rzeczy...

— W dziedzinie moralnej czy materialnej?

— Niektóre z dziedziny moralnej, a jedno z materialnej. Trzymaj to na przykład.

I nagle wyjął z kieszeni swej kamizelki kartkę papieru, którą tam chyba schował w czasie swej wyprawy pod łóżko, a w kartce ukryty jeden jasny włos kobiety.

Rozdział VIII

Sędzia śledczy bada pannę Stangerson

W pięć minut potem Józef Rouletabille pochylał się nad śladami stóp, odnalezionymi w parku pod oknem przedsionka, gdy naraz człowiek jakiś, widać należący do służby miejscowej, idąc szybko, zawołał na pana Roberta Darzaca, który właśnie wychodził z pawilonu:

— Wie pan, panie Robercie, że sędzia śledczy bada właśnie panią?

Pan Robert Darzac przeprosił nas pośpiesznie paroma niewyraźnymi słowami i począł biec w kierunku zamku; człowiek biegł za nim.

— Skoro trup mówi rzekłem to musi być ciekawe.

— Trzeba się dowiedzieć powiedział mój przyjaciel.

— Chodźmy do zamku.

I pociągnął mnie za sobą. Ale w zamku żandarm umieszczony w sieni wzbronił nam wejścia na schody pierwszego piętra. Musieliśmy czekać.

Tymczasem oto, co się działo w pokoju ofiary:

Lekarz domowy, znajdując, że panna Stangerson czuje się znacznie lepiej, i obawiając się nowego pogorszenia, które nie pozwoliłoby jej badać, czuł się w obowiązku uprzedzić o tym sędziego śledczego, a ten postanowił przeprowadzić niezwłocznie krótkie śledztwo.

Towarzyszili temu pan de Marquet, pisarz sądowy, pan Stangerson i lekarz. Dostałem później, już w czasie procesu tekst tego badania. Oto ono w całej swej oschłości prawnej:

Pytanie. — Czy jest pani zdolna bez nadto wielkiego utrudzenia dać nam kilka szczegółów koniecznych o strasznym zdarzeniu, którego padła pani ofiarą?

Odpowiedź. — Czuję się o wiele lepiej, panie, i mogę panu powiedzieć to, co wiem. Kiedy weszłam do mego pokoju, nie spostrzegłam w nim nic niezwykłego.

P. — Przepraszam panią, jeśli pani pozwoli, będę podawał pytania, a pani na nie odpowie. To daleko mniej panią utrudzi niż długie opowiadanie.

O. — Pytaj pan, proszę.

P. — Jak spędziła pani czas w ciągu całego tego dnia? Chcę to wiedzieć tak dokładnie, tak drobiazgowo o ile to możliwe. Chciałbym w tym dniu śledzić wszystkie pani ruchy, o ile przez to za wiele nie wymagam.

O. — Wstałam późno, o dziesiątej. Poprzedniego dnia wróciliśmy z ojcem do domu późno w nocy, bo byliśmy na obiedzie i przyjęciu wydanym przez prezydenta Republiki na cześć delegowanych Akademii Nauk z Filadelfii. Kiedy wyszłam z mego pokoju o wpół do jedenastej, ojciec mój już był przy pracy w laboratorium. Pracowaliśmy wspólnie do południa; później spacerowaliśmy przez pół godziny w parku; jedliśmy śniadanie w zamku. Potem znów pół

godziny przechadzki do wpół do drugiej, jak co dzień. Potem ojciec i ja wróciliśmy do laboratorium. Tu zastaliśmy pokojową, która sprzątała mój pokój. Weszłam do żółtego pokoju, aby wydać parę mało znaczących zleceń pokojowej, która zaraz opuściła pawilon, a ja wróciłam do pracy z ojcem. O piątej opuściliśmy znów pawilon dla krótkiej przechadzki i herbaty.

P. — Przed wyjściem o godzinie piątej, czy pani wchodziła do swego pokoju?

O. — Nie, panie, ojciec tam wchodził. Prosiłam go, aby wziął mój kapelusz,

P. — I nic tam nie zauważył podejrzanego?

Pan Stangerson. — Oczywiście, że nie, panie.

P. — Zresztą to prawie pewne, że zbrodniarz nie był jeszcze w tej chwili pod łóżkiem. Kiedy pani wychodziła, drzwi pokoju nie były zamknięte na klucz?

Panna Stangerson. — Nie. Nie mieliśmy żadnej po temu przyczyny...

P. — Na jak długo opuściliście państwo pawilon tym razem, pan Stangerson i pani?

O. — Blisko na godzinę,

P. — W czasie tej godziny, bez wątpienia, zbrodniarz wszedł do pawilonu. Ale jak? Tego nie wiemy. Znajdujemy wprawdzie w parku ślady kroków, które odchodzą od okna przedsionka, ale nie znajdujemy zupełnie tych, które do niego przychodzą. Zauważyła pani, czy okno przedsionka było otwarte kiedy pani wychodziła z ojcem?

O. — Nie przypominam sobie.

Pan Stangerson. — Było zamknięte.

P. — A kiedy państwo wracali?

Panna Stangerson. — Nie zwróciłam uwagi.

Pan Stangerson. — Jeszcze było zamknięte, pamiętam doskonale, bo wchodząc powiedziałem głośno: Doprawdy w czasie naszej nieobecności ojciec Jakub mógł być otworzyć!

P. — Dziwne! Dziwne! Niech pan pamięta, panie Stangerson, że ojciec Jakub w czasie pańskiej nieobecności, wchodząc, otworzył je. Więc państwo wrócili o szóstej do laboratorium i znów wzięli się państwo do pracy.

Panna Stangerson. — Tak, panie.

P. — I nie opuszczali państwo więcej laboratorium aż do chwili, gdy pani wchodziła do swego pokoju?

Pan Stangerson. — Ani moja córka, ani ja, panie. Mieliśmy robotę tak pilną, że nie traciliśmy ani chwili. W podobnym razie zaniedbujemy wszelką inną sprawę.

P. — Obiad jedli państwo w laboratorium?

O. — Tak, dla tej samej przyczyny.

P. — Czy państwo mają zwyczaj spożywać obiad zawsze w laboratorium?

O. — Nie, jadamy tu niekiedy tylko.

P. — Czyżby zbrodniarz mógł wiedzieć, że tego wieczora państwo jeść będą obiad w laboratorium?

Pan Stangerson. — Mój Boże! nie myślę... panie. W chwili dopiero, kiedyśmy wracali koło szóstej do pawilonu, postanowiłem zjeść obiad w laboratorium. W tej chwili bowiem spotkaliśmy gajowego, który mnie zatrzymał nieco, prosząc, abym z nim poszedł obejrzeć tę część lasu, w której nakazałem właśnie wyręb. Na to nie miałem czasu, odłożyłem więc do jutra tę sprawę i prosiłem gajowego, który miał przechodzić koło zamku, aby uprzedził służącego, że obiad jeść będziemy w laboratorium. Gajowy mnie opuścił, idąc spełnić zlecenie, a ja poszedłem do córki, której wręczyłem poprzednio klucz od pawilonu, a która go zostawiła we drzwiach z zewnątrz. Moja córka już była przy pracy.

P. — O której godzinie weszła pani do swego pokoju, podczas gdy ojciec pani pracował dalej?

Panna Stangerson. — O północy.

P. — Czy ojciec Jakub wchodził do żółtego pokoju w ciągu wieczora?

O. — Tak, aby zamknąć okiennice i zapalić lampkę nocną, jak zwykle wieczorem...

P. — Nie zauważył więc nic podejrzanego?

O. — Byłby o tym powiedział. Ojciec Jakub jest dobrym człowiekiem i kocha mnie bardzo.

P. — Pan Stangerson przyznaje, że ojciec Jakub potem nie wychodził z laboratorium? Że pozostał cały czas z panem?

Pan Stangerson. — Jestem tego pewien. Nie mam najmniejszego podejrzenia co do tego.

P. — Czy wchodząc do swego pokoju, zamknęła Pani niezwłocznie drzwi na klucz i zatrzaśk? To już za wiele ostrożności, wiedząc, że pani ojciec i służący są obok. Czy się pani lękała czego?

O. — Mój ojciec niezadługo miał odejść do zamku, a ojciec Jakub poszedłby spać na górkę. A poza tym w istocie czegoś się obawiałam.

P. — Pani tak bardzo obawiała się czegoś, że wzięła rewolwer ojca Jakuba, nic nie mówiąc mu o tym?

O. — To prawda, nie chciałam przerażać nikogo, tym bardziej, że moje obawy być mogły zupełnie płonne.

P. — Czegóż się więc pani obawiała?

O. — Nie potrafię dokładnie temu panu powiedzieć; od kilku nocy zdawało mi się, że słyszę w parku i poza parkiem, dokoła pawilonu niezwykle szmery, niekiedy kroki, chrzęst gałęzi. Nocy poprzedzającej, w której położyłam się dopiero o trzeciej nad ranem, po naszym powrocie z pałacu Elizejskiego, stałam chwilę w mym oknie i wydało mi się, że jakieś cienie...

P. — Ile cieni?

O. — Dwa cienie, przesuwające się dokoła stawu... potem księżyc się ukrył i nic nie mogłam zobaczyć. O tej porze w innych latach przenosiłam się już do mego mieszkania w zamku, gdzie wracam do zwykłego trybu życia zimą; ale w tym roku powiedziałam sobie, że nie opuszczę pawilonu, dopóki mój ojciec nie wykończy dla Akademii Nauk referatu o swych pracach nad rozproszeniem materii. Nie chciałam, aby to ważne dzieło, które miało być wykończone w ciągu kilku dni, doznało zakłócenia wskutek jakiegokolwiek zmiany w naszych bezpośrednich zwyczajach. Pan rozumie, czemu nie chciałam mówić ojcu o mych dziecinnych obawach i czemu i czemu je przemilczałam wobec Jakuba, który nie potrafiłby utrzymać języka. Ponieważ wiedziałam, że ojciec Jakub miał rewolwer w szufladzie swego stolika, skorzystałam w ciągu dnia, gdy poczciwiec był nieobecny, szybko wbiegłam na górkę i wyniosłam jego broń, którą wsunęłam do szufladki nocnego stolika.

P. — Czy nie ma pani jakich wrogów?

O. — Żadnego.

P. — Pani rozumie, że te wyjątkowe ostrożności są bardzo zastanawiające.

O. — Nie; mówię panu, że od dwóch nocy byłam niespokojna i to bardzo niespokojna.

Pan Stangerson. — Powinnaś była powiedzieć mi o tym. To nie do przebaczenia. Uniknęlibyśmy nieszczęścia!

P. — Po zamknięciu drzwi żółtego pokoju pani się położyła.

O. — Tak, i będąc bardzo znużona, zasnąłam zaraz.

P. — Czy lampka nocna była zapalona?

O. — Tak, ale ona daje bardzo słabe światło...

P. — A więc, zechce pani opowiedzieć, co zaszło?

O. — Nie wiem, czy długo spałam, ale nagle budzę się... Wydaję głośny krzyk...

Pan Stangerson. — Tak, krzyk okropny... Morderca!... Jeszcze go mam w uszach.

P. — Pani wydała głośny krzyk?

O. — Człowiek jakiś był w moim pokoju. Rzucił się na mnie, chwycił mnie za gardło, usiłując udusić. Już się dusiłam; naraz moja ręka trafiła do otwartej szufladki nocnego stolika, gdzie złożyłam rewolwer gotów do strzału. W tej chwili człowiek stoczył mnie z łóżka i wstrząsnął nad mą głową czymś wielkim. Ale strzeliłam... Jednocześnie uczułam silne uderzenie, straszne uderzenie w głowę. Wszystko to, panie sędzio, było szybsze, niż potrafiłabym powiedzieć, i nic więcej nie wiem.

P. — Nic więcej!... Czy pani nie ma pojęcia o sposobie, w jaki zbrodniarz mógł ujsć z pani pokoju?

O. — Żadnego pojęcia... Więcej nic nie wiem. Nie wie się, co się dzieje dookoła, kiedy się jest nieżywą!

P. — Czy ten człowiek był wielki czy mały?

O. — Widziałam tylko cień, który mi się wydał ogromny.

P. — Czy pan nie może nam udzielić więcej żadnej wskazówki?

O. — Nie, panie, nic więcej nie wiem. Człowiek jakiś rzucił się na mnie, ja strzeliłam. Więcej nic nie wiem.

Tu kończy się badanie panny Stangerson. Józef Rouletabille oczekiwał cierpliwie pana Roberta Darzaca. Ten się wkrótce zjawił.

W pokoju sąsiadującym z pokojem panny Stangerson przysłuchiwał się badaniu i powtórzył je memu przyjacielowi z ogromną dokładnością, pamięcią i uległością, która mnie jeszcze raz zastanowiła. Dzięki pospiesznym notatkom, które robił ołówkiem, mógł nam przytoczyć prawie dosłownie pytania i odpowiedzi.

Rzeczywiście, pan Darzac, zdawał się, jak gdyby sekretarzem mego młodego przyjaciela i postępował we wszystkim, jak ktoś, kto byłby niezdolny nic mu odmówić, więcej jeszcze – jak ktoś, kto **gotów by pracować dla niego**.

Epizod z zamkniętym oknem zastanowił bardzo reportera, jak poprzednio zastanowił sędziego śledczego. Prócz tego Rouletabille prosił pana Darzaca, aby mu raz jeszcze powtórzył przebieg zajęć pana i panny Stangerson w dniu dramatu tak, jak to oni wyznali wobec sędziego śledczego. Okoliczność obiadu w laboratorium, zdawało się, zaciekała go w najwyższym stopniu i dwa razy kazał sobie powtórzyć, aby być tym bardziej pewnym, iż jeden tylko gajowy wiedział, że profesor i jego córka jedzą obiad w laboratorium i jakim sposobem gajowy

dowiedział się o tym.

Kiedy pan Darzac umilkł, rzekłem:

— Otóż to badanie nie posuwa zupełnie naprzód zagadki.

— Ono ją cofa uznał pan Darzac.

— Ono ją oświeśla rzekł zamyślony Rouletabille.

Rozdział IX

Reporter i agent policji

Zwróciliśmy się wszyscy trzej w stronę pawilonu. W odległości jakich stu metrów od tego budynku reporter zatrzymał nas i, wskazując niewielkie krzewy po prawej stronie, rzekł:

— Oto, skąd wyszedł zbrodniarz, aby wejść do pawilonu.

Ponieważ było wiele innych krzewów w tym rodzaju pomiędzy starymi dębami, zapytałem, czemu by właśnie zbrodniarz obrał te krzaki a nie inne. Rouletabille odrzekł, wskazując mi ścieżkę, która idąc tuż obok tego krzewu, wiodła do drzwi pawilonu:

— Ta ścieżka jest wysypana żwirem, jak widzisz. Człowiek musiał przejść tędy, idąc do pawilonu, ponieważ nie znajdujemy śladów jego kroków **w tamtą stronę** na mokrej ziemi. Ten człowiek nie ma przecież skrzydeł. On szedł, ale szedł po żwirze, który, tocząc się pod obuwie, nie zachował jego śladów; ten żwir w istocie był deptany przez wiele innych stóp, bo ta ścieżka jest najprostszą z tych, które wiodą z pawilonu do zamku. Co do krzaków, są one z takich roślin, które nie giną w chłodnej porze, zapewniły więc zbrodniarzowi dostateczną kryjówkę w oczekiwaniu pierwszej chwili, aby się udać do pawilonu. Tak ukryty w nich zbrodniarz widział wychodzących, pana i pannę Stangerson, potem ojca Jakuba. Rozsypano żwir prawie aż do okna w przedsionku. Odcisk stopy człowieka równoległej do muru, odcisk, który tylko co zauważyliśmy na miękkiej ziemi, a który ja już pierwiej widziałem, świadczy, że wystarczył mu jeden tylko skok, aby znaleźć się naprzeciw okna przedsionka, które ojciec Jakub zostawił otwarte. Wtenczas człowiek wznosił się na palce i wszedł do pawilonu.

Teraz już wiemy, jak człowiek wszedł przez okno i wiemy też w jakiej chwili wszedł. Wszedł tam w czasie przechadzki o godzinie piątej. Fakt obecności w laboratorium pokojowej, która sprzątnęła żółty pokój, w chwili powrotu profesora i jego córki o wpół do drugiej, pozwala nam twierdzić, że o tej godzinie zbrodniarz nie był jeszcze w pokoju pod łóżkiem, przynajmniej jeśli nie ma w tym współudziału pokojowej. Co pan o tym mówi panie Robercie?

Pan Darzac wstrząsnął głową i oznajmił, że był pewny wierności pokojowej panny Stangerson, i że jest to bardzo uczciwa i przywiązana służąca.

— A potem, o piątej pan Stangerson wchodził do pokoju, aby wziąć kapelusz córki — dodał.

— Jest jeszcze i to — rzekł Rouletabille.

— Człowiek więc wszedł w chwili, o której mówisz, przez to okno, to uznaję, ale czemu zamknął okno? to stanowczo mogło zwrócić uwagę tych, którzy je otworzyli?

— Być może, że okno nie było natychmiast zamknięte — odrzekł mi reporter. — Ale jeśli on zamknął okno, to zamknął je z powodu zakrętu, który robi ścieżka usypana żwirem w odległości dwudziestu pięciu metrów od pawilonu, i z powodu trzech dębów, które się wznoszą w tym miejscu.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał pan Robert Darzac, który nadszedł za nami i słuchał Rouletabille'a z natężoną uwagą.

— Wytlumaczę to panu później, w stosownej chwili; ale myślę, że nie wypowiedziałem słów bardziej doniosłych, jak te: **jeśli moja hipoteza się sprawdzi.**

— A jakaż jest pańska hipoteza?

— Nie pozna jej pan nigdy, o ile nie sprawdzi się, że jest ona prawdą. Nadto jest poważna, widzi pan, abym ją odsłaniał póki jest hipotezą.

— Czy pan ma przynajmniej pojęcie jakie o zbrodniarzu?

— Nie, panie, nie wiem nic, kto jest zbrodniarzem; ale nie obawiaj się pan, panie Robercie Darzac, będę to wiedział.

Zauważyłem, że Robert Darzac był bardzo wzruszony i podejrzewałem, że upewnienie Rouletabille'a bynajmniej mu się nie podoba. A więc czemu? Jeśli istotnie obawiał się, żeby nie wykryto zbrodniarza (zapytywałem sam siebie) czemu pomagał reporterowi w jego poszukiwaniach? Zdawało się, że mój przyjaciel odebrał to samo wrażenie, bo nagle zapytał brutalnie:

— Czy się to nie podoba panu, panie Robercie, że odkryję zbrodniarza?

— Ach! zabiłbym go własną ręką! — zawołał narzeczony panny Stangerson z porywem, który mnie zdumiał.

— Wierzę panu! — rzekł poważnie Rouletabille — ale pan nie odpowiedział na moje pytanie.

Przechodziliśmy koło krzaków, o których młody reporter mówił nam przed chwilą, wszedłem tam i wskazałem mu widoczne ślady przejścia jakiegoś człowieka, który się tu schronił. Raz jeszcze okazało się, że Rouletabille miał słuszność.

— Ależ tak! — rzekł — ależ tak!... Mamy do czynienia z osobnikiem złożonym z ciała i kości, który nie rozporządza innymi środkami niż nasze, i wszystko to musi się wyjaśnić!

To mówiąc, zażądał ode mnie stopy papierowej, którą mi powierzył i przyłożył ją na jeden ze śladów, bardzo wyraźny, poza krzakami. Potem powstał ze słowami: — Do licha!

Myślałem, że Rouletabille pójdzie teraz tropić ślady uciekających kroków zbrodniarza, od okna przedsiönka, ale on odciągnął nas wtedy na lewo, mówiąc, że nie ma potrzeby wodzić nosem po błocie, bo teraz jest pewny, jaką drogą uciekał zbrodniarz.

— Poszedł aż do końca muru o pięćdziesiąt metrów stąd, a potem przeskoczył płot i fosę.

— Patrzcie, właśnie naprzeciw tej małej ścieżki, prowadzącej do stawu. To jest droga najkrótsza, aby wyjść z posiadłości i dostać się nad staw,

— Skąd wiesz, że poszedł nad staw?

— Bo Fryderyk Larsan nie opuszcza jego brzegów od samego rana. Musiał tam znaleźć bardzo ciekawe wskazówki.

W kilka minut potem byliśmy nad stawem. Była to niewielka tafla wody błotnistej porośnięta dokoła trzciną, kilka biednych, martwych liści nenufaru kołysało się na niej jeszcze. Wielki Fryd może nas widział zbliżających się, ale prawdopodobnie niewiele interesowaliśmy go, bo nie zwrócił wcale uwagi na nas i w dalszym ciągu poruszał końcem swej laski coś, czegośmy nie widzieli.

— Patrzcie — rzekł Rouletabille — oto znów ślady ucieczki człowieka. Tu one okrążają staw, powracają i giną wreszcie koło stawu, właśnie naprzeciw ścieżki, która prowadzi do gościńca do Epinay. Człowiek skierował swą ucieczkę do Paryża...

— Co ci nasuwa to przypuszczenie — przerwałem — bo przecież nie ma śladów człowieka na tej ścieżce?

— Co mi to nasuwa? Ależ te kroki właśnie tutaj, te kroki, których oczekiwałem — zawołał, wskazując ślad bardzo wyraźny eleganckiego obuwia.

— Patrzcie!

I zwrócił się do Fryderyka Larsana:

— Panie Frydzie — zawołał — te „eleganckie kroki” na drodze są tu zaledwie od chwili odkrycia zbrodni?

— Tak młodzieńcze, tak. Były z trudem odnalezione — odpowiedział Fryd, nie podnosząc głowy, — Widzi pan, są kroki, które się zbliżają i które się oddalają.

— Ten człowiek miał i rower! — zawołał reporter.

Tu, przyjrząwszy się śladom roweru, które towarzyszyły w tę i tamtą stronę eleganckim stopom, uznałem, że mogę się wmieszać:

— Rower wyjaśnia zniknięcia grubych stóp zbrodniarza — rzekłem. — Zbrodniarz o „ordynarnych stopach” siadł na rower... Jego współnik, człowiek o „eleganckich stopach” czekał go nad stawem z rowerem. Można przypuścić, że zbrodniarz działał w myśl człowieka o „eleganckich stopach”?

— Nie! nie! — zaprzeczył Rouletabille z dziwnym uśmiechem. — Oczekiwałem tych kroków od początku sprawy. Mam je, nie odstąpię ich nikomu. To są kroki zbrodniarza!

— A inne kroki... kroki szerokie? Z nimi co zrobisz?

— I to są jeszcze kroki zbrodniarza.

— A więc było ich dwóch?

— Nie! Był tylko jeden i nie miał współnika.

— Bravo! Bravo! — zawołał ze swego miejsca Fryderyk Larsan.

— Patrzcie! — ciągnął młody reporter, pokazując nam ziemię podeptaną grubymi podeszwami — człowiek tu siadł, zdjął swe chodaki, które obuł, aby oszukać śledztwo, a potem zabrał je pewnie ze sobą, Pozostał już w swoim własnym obuwiu i spokojnym krokiem wyostał się na gościniec, prowadząc przy sobie rower. Nie mógł zaryzykować jazdy rowerem Po tej nierównej ścieżce. Zresztą przekonywa o tym, mimo miękkiego gruntu, lekki, wahający się ślad koła na ścieżce. Gdyby człowiek siedział na rowerze, jego koła zagłębiłyby się bardziej w ziemię... Nie, nie, tu jeden tylko człowiek: zbrodniarz!

— Bravo! Bravo! — zawołał jeszcze raz wielki Fryd. I nagle zbliżył się do nas, a stając przed panem Robertem Darzakiem, rzekł:

— Gdybyśmy tu mieli rower... moglibyśmy wykazać racjonalność rozumowań młodego człowieka. Pan nie wie, panie Darzac, czy nie ma roweru w zamku?

— Nie — odrzekł pan Darzac — nie ma. Mój rower odprowadziłem do Paryża przed czterema dniami, gdy byłem w zamku po raz ostatni przed zbrodnią.

— To szkoda! — odparł Fryd tonem dziwnej obojętności i zwrócił się do Rouletabille’a. — Jeśli tak dalej pójdzie — rzekł — zobaczy pan, że dojdziemy do jednakowych wniosków. Czy pan ma jakie pojęcie o sposobie, w jaki zbrodniarz wyszedł z żółtego pokoju?

— Tak — rzekł mój przyjaciel — mam pewną myśl...

— Ja też — ciągnął Fryd — i powinna to być ta sama. Nie ma dwóch sposobów rozumowania w tej sprawie. Wyjaśnię ją sędziemu śledczemu, skoro przybędzie mój szef...

— Ach! to szef policji tu przybędzie?

— Tak... Dziś po południu celem konfrontacji w laboratorium wobec sędziego śledczego wszystkich tych, którzy grali, albo mogli grać jaką rolę w dramacie. To będzie bardzo zajmujące. Szkoda, że pan nie będzie mógł być przy tym obecny!

— Będę obecny — rzekł Rouletabille.

— Naprawdę, pan jest nadzwyczajny... na swój wiek! - rzekł agent policji tonem nie pozbawionym pewnej ironii. — Pan byłby cudownym agentem policji, gdyby pan miał więcej trochę metody, gdyby pan mniej był posłuszny instynktowi i guzom swego czoła... To rzecz, którą zauważyłem już nieraz, panie Rouletabille, pan rozumuje za wiele. Pan za mało powoduje się swoją obserwacją. Co pan mówi na przykład o chustce całej zakrwawionej i o ręce czerwonej na ścianie? Pan widział rękę czerwoną na ścianie? Ja widziałem tylko chustkę... Powiedz pan.

— Ha! — zawołał Rouletabille trochę zaskoczony — zbrodniarz był zraniony w rękę rewolwerem panny Stangerson!

— O! Gruba, prymitywna obserwacja!... Proszę się strzec, pan nadto bezpośrednio logiczny, panie Rouletabille. Logika urządzi jeszcze kiedy panu dobrą niespodziankę, jeśli ją pan będzie traktował tak prymitywnie. Bywają liczne okoliczności, kiedy ją trzeba traktować łagodnie, „brać ją z pewnej odległości”... Panie Rouletabille, pan ma słuszość, mówiąc o rewolwerze panny Stangerson. To pewne, że ofiara strzelała. Ale nie ma pan słuszości, mówiąc, że zraniła zbrodniarza w rękę.

— Jestem tego pewny! — zawołał Rouletabille.

Fryd najspokojniej przerwał:

— Błąd obserwacji!... błąd obserwacji!... Badanie chustki, niezliczone małe plamki okrągłe, szkarłatne, ślady kropel, które odnajduję na śladach kroków, niemal w każdej chwili stawiania kroku na ziemi, dowożą mi, że zbrodniarz nie był raniony. Zbrodniarzowi, panie Rouletabille, ciekła krew nosem!

Wielki Fryd był poważny, nie mogłem jednak powstrzymać wykrzyknika.

Rouletabille patrzył na Fryda, który poważnie zmierzył wzrokiem reportera, po czym zakończył na stępującym wnioskiem:

— Człowiek, któremu krew ciekła z nosa w dłoń i w chustkę, wytarł dłoń o ścianę. Rzecz jest bardzo ważna – dodał – bo zbrodniarz nie musi mieć zranionej ręki, aby być zbrodniarzem. Rouletabille zdawał się głęboko rozmyślać, wreszcie rzekł:

— Jest coś, panie Fryderyku Larsan, co jest daleko ważniejsze niż fakt prymitywnego obchodzenia się z logiką – to owo usposobienie umysłu właściwe pewnym agentom policji, które pozwala im w najlepszej wierze naginać z łagodnością tę logikę do wymagań swych własnych koncepcji. Pan ma już swą myśl o zbrodniarzu, panie Frydzie. Nie zaprzeczaj pan temu. Nie trzeba, aby pański zbrodniarz był raniony w rękę, inaczej bowiem pański pomysł upadłby sam przez się. Pan szukał czego innego i co innego pan znalazł. To system bardzo niebezpieczny... System, który za punkt wyjścia obiera sobie pomysł zbrodniarza, a potem odnajduje dowody, których mu potrzeba... To może pana zaprowadzić za daleko... Strzeż się pan pomyłki, panie Frydzie! Ona pana spotka!

I śmiejąc się, z rękami w kieszeniach, lekko szyderczy Rouletabille zmierzył swymi złośliwymi oczami wielkiego Fryda.

Fryderyk Larsan w milczeniu przypatrywał się temu malcowi, który pragnął być większym od niego; wzruszył ramionami, skłonił się nam i odszedł wielkimi krokami, uderzając po drodze swoją wielką laską.

Rouletabille patrzył za oddalającym się; potem zwrócił do nas swą twarz radosną, niemal tryumfującą:

— Ja go powalę! — wykrzyknął. — Powalę wielkiego Fryda, choć tak potężny!... Powalę ich wszystkich!... I wielki Fryd, znakomity, sławny, olbrzymi Fryd... jedyny Fryd... rozumuje jak stary pantofel!... jak stary pantofel!... jak pantofel!...

I zakreślił nogami jakiś ruch w powietrzu; ale wnet zatrzymał się w swej sztuce baletniczej... Moje oczy podążyły za jego oczami, a jego wzrok był utkwiony w pana Roberta Darzaca, który z twarzą zmienioną patrzył na ścieżkę, gdzie obok jego kroków widniały ślady stóp „eleganckich”. Między nimi nie było różnicy!

Myśleliśmy, że zemdleje. Jego oczy rozszerzone przerażeniem unikały nas przez chwilę, podczas gdy jego prawa ręka pociągała ruchem kurczowym brodę, która otaczała jego twarz szlachetną, łagodną i pełną rozpaczony w tej chwili. Wreszcie się opanował, ukłonił się nam, głosem zmienionym oznajmił, że musi być w zamku i oddalił się szybko,

— Do diabła! — zaklął Rouletabille.

Twarz reportera wyrażała też zmieszanie. Wydobył ze swego portfela kawałek białego papieru, jak to robił już poprzednio i wyciął swoimi nożyczkami kontur „eleganckich” stóp zbrodniarza, których ślad był tu na ziemi. A potem przeniósł tę nową stopę papierową na odcisk kamaszy pana Darzaca. Zgodność ich była zupełna i Rouletabille powstał, Powtarzając:

— Do diabła!

Nie śmiałem wyrzec ani słowa, wystawiając sobie, że to, co się odbywa w guzach Rouletabille’a, być musi poważne.

On zaś rzekł:

— Myślę jednak, że pan Robert Darzac jest szlachetnym człowiekiem...

I powiódł mnie do oberży *Pod wieżą*, którąśmy widzieli w odległości kilometra, obok kępy drzew, przy trakcie.

Rozdział X

Teraz trzeba będzie zjeść coś krwawiącego

Oberża *Pod wieżą* nie miała świetnej powierzchowności, ale lubię te stare rudery o belkach poczerniałych przez czas i przez dym komina, te oberże z czasów dyliżansów, budowy chwiejące się, które wkrótce zostaną tylko wspomnieniem. One należą do przeszłości, coś z niej przechowują i zniewalają myśleć o starych dziejach drogi, kiedy w drodze bywały przygody.

Oberża *Pod wieżą* musiała mieć ze dwa wieki, a może więcej nawet. Tynk tu i owdzie poodpadał z silnej budowy drewnianej, której konstrukcje X i V podtrzymywały jeszcze dzielnie postarzały dach. Ten opuścił się lekko z krokwi, jak opuszcza się czapka na czoło pijaka. Ponad drzwiami wchodowymi blaszany szyld skrzypiał od wiatru jesiennego. Wioskowy artysta namalował na nim coś w rodzaju wieży, zakończonej szpiczastym dachem, a ponad tym wieżycę na wzór tej, którąśmy widzieli w Glandier.

Pod tym zamkiem, na progu drzwi stał człowiek jakiś o wyrazie twarzy dość odpychającym, zdawał się zatopiony w myślach ponurych, jeśli mamy wnosić ze zmarszczek jego czoła i gniewnie ściągniętych gęstych brwi. Kiedyśmy się znaleźli tuż przy nim, raczył nas spostrzec i zapytał nas w sposób mało ujmujący, czego potrzebujemy. Był to niezawodnie mało przyjemny gospodarz tego uroczonego domostwa. Kiedyśmy wypowiedzieli nadzieję, że pewnie zechce nam dać śniadanie, oznajmił nam, że nie ma żadnych zapasów i będzie bardzo zakłopotany, nie mogąc nas zadowolić. Mówiąc to mierzył nas wzrokiem.

Tego nieufnego wyrazu nie mogłem sobie uzasadnić.

— Może nas pan przyjąć, my nie należymy do policji — rzekł Rouletabille.

Już dawałem do zrozumienia znakiem memu przyjacielowi, że najlepiej zrobimy, nie napraszając się dłużej, ale mój towarzysz, któremu widać bardzo zależało na wizycie w oberży, przesunął się pod ramieniem człowieka i był już w izbie.

— Chodź! — powiedział — tu bardzo dobrze.

Rzeczywiście, wielkim płomieniem paliło się drzewo na kominku. Zbliżyliśmy się doń i wyciągnęli ręce do ciepłego ogniska, bo tego ranka czuć już było zbliżającą się zimę.

— Oto doskonały kominek, można w nim upiec kurczątka! — zawołał Rouletabille.

— Nie mamy zupełnie kurcząt — rzekł gospodarz — nawet marnego królika,

— Wiem — odparł mój przyjaciel tonem żartobliwym, który mnie zadziwił. — Wiem, że teraz trzeba będzie zjeść coś krwawiącego.

Wyznaję, że nie rozumiałem wyrażenia Rouletabille'a. Czemu mówił temu człowiekowi: *Teraz trzeba będzie zjeść coś krwawiącego?* I dlaczego... Oberżysta, posłyszawszy to zdanie, zaklął, wnet jednak przycichł i oddał się na nasze usługi tak powolnie jak Robert Darzac, kiedy posłyszał te wyroczne słowa: *Plebania nie straciła nic ze swego uroku, ani ogród ze swego blasku?*... Oczywiście, mój przyjaciel posiadał dar porozumiewania się z ludźmi za pomocą zdań zupełnie niezrozumiałych. Zrobiłem mu tę uwagę, z której się uśmiechnął. Wolałbym, gdyby mi zechciał dać jakieś wyjaśnienie, ale on położył palce na ustach, co oznaczało widocznie, że nie tylko zabraniał sobie mówić, ale i mnie zalecał milczenie.

Tymczasem gospodarz pchnął małe drzwiczki, wołając przez nie, aby mu podano pół tuzina jaj i

kawałek polędwicy. Zlecenie było wkrótce wykonane przez młodą kobietę, bardzo szykowną, o prześlicznych jasnych włosach i cudnych, wielkich, łagodnych oczach, które patrzyły na nas z ciekawością.

— Wynoś się stąd! — zawołał nagle oberżysta szorstkim głosem. — A jeśli zielony człowiek przyjdzie, żebym cię tu nie widział!

Kobieta znikła. Rouletabille zabrał się do jaj, które mu przyniesiono na miseczkę, i do mięsa podanego na talerzyku, umieścił je z uszanowaniem obok siebie, zdjął patelnię i ruszt, zawieszony nad ogniskiem i począł bić omlet, oczekując aż się upiecze befsztyk. Zażądał jeszcze dwóch butelek dobrego jableczniku i zdawał się o tyle mało zwracać uwagi na gospodarza, o ile tenże nie spuszczał zeń oka. Oberżysta chwilami przeszywał go wzrokiem, to znów patrzył na mnie z wyrazem niepokoju, który na próżno starał się ukryć. Pozwalał nam kucharyć spokojnie i położył nam nakrycie koło okna.

Naraz posłyszałem go, jak mruknął:

— Ach, otóż i oni

I twarz zmienioną, wyrażającą dziką nienawiść, przysunął do okna, patrząc na drogę. Nie musiałem o tym powiadamiać Rouletabille'a. Młody człowiek już porzucił swój omlet i zbliżył się do gospodarza, do okna. Podążyłem za nim.

Człowiek jakiś ubrany w aksamitny ubiór, z czapką okrągłą na głowie tegoż samego koloru, szedł krokiem spokojnym drogą, paląc fajkę. Niósł fuzję na pasie skórzanym przez ramię i okazywał w swych ruchach pewną swobodę, niemal arystokratyczną. Mógł liczyć czterdzieści pięć lat. Włosy i wąsy miał ciemne. Piękność jego zwracała uwagę. Nosił binokle. Przechodząc koło oberży, zdawał się wahać, jakby zapytując sam siebie, czy wejść – rzucił spojrzenie w naszą stronę, puścił parę kłębow dymu ze swej fajki i tym samym niedbałym krokiem poszedł dalej.

Rouletabille i ja spojrzeliśmy na gospodarza. Jego oczy błyszczały, zaciśnięte pięści i usta drgające wskazywały na niezwykle wzburzenie wewnętrzne.

— Dobrze zrobił, nie wchodząc tu dzisiaj. — zasyczał.

— Kim jest ten człowiek? — zapytał Rouletabille, obracając swój omlet.

— Człowiek zielony — zaburczał oberżysta. — Czy pan go nie zna? Tym lepiej dla pana. To nic nie warta znajomość... To gajowy pana Stangersona...

— Zdaje się, że go pan nie bardzo lubi? — pytał reporter, obracając omlet na patelni.

Nikt go we wsi nie lubi, panie, a on jest pyszny, bo miał mieć kiedyś podobno majątek i nie przebacza nikomu, że sam jest zmuszony dla chleba pójść do służby. Bo gajowy to taki sam sługa jak każdy inny! Nieprawdaż? Słowo honoru! A powiedziała by kto, że on jest panem Glandier, że wszystkie ziemie i lasy do niego należą. Nie pozwoli biednemu posilić się kawałkiem chleba na trawie... na jego trawie!

— Czy on tu przychodzi?

— Aż za często. Ale ja go nauczę, że mam już dosyć jego widoku! Jeszcze przed miesiącem oberża *Pod wieżą* nie istniała dla niego!... Nie miał czasu!.. Bo on chodził w konkury do gospodyni *Trzech Lili* w Saint Michel. Teraz, kiedy się czułości popsuly, szuka jakby gdzie indziej czas spędzić... Nie ma porządnego człowieka, co by go znosił... Widzicie, panowie, i odźwierni z zamku nie mogli znosić jego widoku... zielonego człowieka!

— Więc odźwierni z zamku, to uczciwi ludzie, panie gospodarzu?

— Nazywajcie mnie, panie, ojcem Mathieu, to moje nazwisko... Ale tak! prawdziwie, jakem Mathieu, panie, porządni ludzie.

— Jednak ich uwięziono?

— Czegóż to dowodzi?... Ale nie chcę się mieszać w sprawę bliźniego...

— A co pan myśli o zbrodni?

— O zabójstwie tej biednej pani? Dobra pani... i kochano ją we wsi. Co myślę o tym?...

— Tak, co pan o tym myśli?

— Nic i dużo rzeczy... Ale to nikogo nie obchodzi.

— Nawet mnie? — nastawał Rouletabille.

Oberżysta popatrzył nań z boku, zamruczał coś i rzekł:

— Nawet pana.

Omlet był gotów. Siedliśmy do stołu i jedliśmy w milczeniu. Naraz drzwi wchodowe się otworzyły i na progu ukazała się stara kobieta odziana w łachmany, wsparta na kij, z głową trzęsącą się, włosami białymi, które w rozwianych kosmykach wisiały nad jej poradlonym czołem.

— Ach, jesteście matko Agnieszko! Już dawno was nie oglądaliśmy — witał ją gospodarz.

— Byłam bardzo chora, bliska śmierci — rzekła stara. — Może czasem ma pan jakie resztki dla Zwierzątka Bożego?

I weszła do gospody, a za nią kot tak wielki, że nie wyobrażałem sobie, aby taki mógł istnieć. Zwierzę popatrzyło na nas i wydało miauczenie tak rozpaczliwe, że uczułem dreszcze. Nigdy nie słyszałem tak złowrogiego głosu. Jakby przywołany tym wrzaskiem, człowiek jakiś wszedł poza starą. Był to człowiek zielony. Ukłonił się nam podniesieniem ręki do czapki i siadł przy stole nieopodal naszego.

— Ojcie Mathieu, proszę o szklankę jabłeczniku...

Kiedy człowiek zielony wszedł, ojciec Mathieu wykonał ruch gwałtowny całym swym ciałem w kierunku wchodzącego, ale widocznie się opanował i odrzekł:

— Nie ma jabłeczniku; dałem ostatnią butelkę tym panom.

— To niech pan da szklankę białego wina — powiedział zielony człowiek nie okazując najmniejszego zdziwienia.

— Nie ma wina białego, nie ma już nic!

I ojciec Mathieu powtórzył raz jeszcze głosem głuchym:

— Nie ma już nic!

— Jak się miewa pani Mathieu?

Na to pytanie zielonego człowieka, oberżysta zacisnął pięści, zwrócił się ku niemu twarzą tak złą, że myślałem, że go uderzy, a potem powiedział:

— Ma się lepiej, dziękuję.

Więc młoda kobieta o wielkich łagodnych oczach była żoną tego wstrętnego gbura, którego wszystkie wady fizyczne zdawały się opanowane przez tę jedną wadę moralną: zazdrość.

Trzaskając drzwiami oberżysta opuścił stancję.

Matka Agnieszka stała ciągle oparta na swym kiju, a kot u jej spódnicy,

Człowiek zielony zapytał ją:

— Czy byliście chora, matko Agnieszko, że was nie widziano przeszło od tygodnia?

— Tak, panie gajowy. Tylko trzy razy wstawałam iść pomodlić się do świętej Genowefy, naszej dobrej patronki, a resztę czasu leżałam na moim barłogu. Nie było komu doglądać... jeno Zwierzątko Boże.

— Nie opuszczało was?

— Ani dniem ani nocą...

— Jesteście pewna?

— Jak raju, panie.

— A więc jakże się stało, matko Agnieszko, że słyszałem głos Zwierzątka Bożego w noc zbrodni?

Matka Agnieszka stanęła naprzeciw gajowego i stuknęła kijem w podłogę.

— Nic a nic nie wiem. Ale chcecie panie, żebym powiedziała?... Nie ma dwóch stworzeń na świecie, co by taki głos miały... Więc i ja też w noc zbrodni słyszałam na dworze głos Zwierzątka Bożego. A jednak ono leżało na moich kolanach, panie gajowy, i nie zamiauczało ani jednego razu, przysięgam panu. Przeżegnałam się, kiedym posłyszała, jakbym posłyszała diabła.

Patrzyłem na gajowego, kiedy zadawał to ostatnie pytanie i myślę się bardzo, jeśli istotnie nie pochwyliłem na jego ustach lekkiego szyderczego uśmiechu.

W tej chwili doszedł nas hałas głośniejszej kłótni. Wydało się nam, że słyszymy nawet głuche uderzenia, jakby kogoś bito. Człowiek zielony się zerwał i pobiegł śmiało do drzwi z boku kominka, ale te się właśnie otwarły i oberżysta, ukazując się w ich progu, rzekł do gajowego:

— Nie lękaj się pan, panie gajowy. To moją żonę zęby bołą. — I zaśmiał się głośno.

— Macie! Matko Agnieszko, oto wątróbka dla waszego kota!

I podał staruszce zawiniątko; stara pochwyliła je skwapliwie i wyszła, za nią podążył kot.

Człowiek zielony spytał:

— Czy pan mi nic podać nie chce?

Ojciec Mathieu dłużej nie panował nad swą wściekłością:

— Nie ma nic dla pana! Nic dla pana! Niech się pan wynosi!

Człowiek zielony spokojnie napełnił swą fajkę, zapalił, uklonił się nam i wyszedł.

Zaledwie przestąpił próg, Mathieu zatrzasnął drzwi za nim i zwracając się ku nam z oczyma krwią nabiegłymi, z ustami pełnymi piany, zasyczał, pięścią wskazując ku drzwiom, które co tylko zatrzasnął za znienawidzonym człowiekiem:

— Nie wiem, kto są panowie, panowie, co powiedzieli: *Teraz trzeba będzie zjeść coś krwawiącego*. Ale, jeśli pan ciekaw sprawy – oto jest zabójca!

To rzekłszy, ojciec Mathieu nas opuścił, Rouletabille powrócił do kominka i oznajmił:

— Teraz nasz befszyk gotów. Jak ci smakuje jabłecznik? Trochę twardy ten befszyk.

Tym razem już nie widzieliśmy więcej ojca Mathieu. Wielka cisza panowała w oberży, kiedyśmy ją opuszczali, pozostawiając pięciofrankową monetę na stole w zamian za naszą ucztę.

Towarzysząc Rouletabille'owi, musiałem odbyć blisko milę drogi naokoło posiadłości pana Stangersona. Zatrzymał się z dziesięć minut na skrócie dróżki całej czarnej od sadzy, niedaleko od chat węglarzy znajdujących się w lesie świętej Genowefy, który dotyka do drogi wiodącej z Epinay do Corbeil. Rouletabille powiedział mi, że zbrodniarz z pewnością przeszedł tędy, a to sądząc po stanie jego ordynarnego obuwia, zanim przedostał się do posiadłości i ukrył w znajomych krzakach.

— Czy nie myślisz, że gajowy był w tej sprawie? — przerwałem.

— To zobaczymy później — odrzekł mi. — W tej chwili to, co mówił oberżysta o tym człowieku, jest mi obojętne. Mówił o nim z nienawiścią. Nie dla zielonego człowieka zaprowadziłem cię na śniadanie do oberży *Pod wieżą*.

To mówiąc Rouletabille z wielką ostrożnością prześlizgnął się, a ja prześliznąłem się za nim, aż do budowli przy furcie, która służyła za mieszkanie dla odźwiernych uwięzionych tegoż ranka.

Ze zręcznością, która obudziła mój podziw, dostał się do domku przez okienko z tyłu pozostawione otwarte i wyszedł stamtąd po dziesięciu minutach ze słowem, co w jego ustach wyrażało tak wiele:

— Do kroćset!

W chwili kiedyśmy schodzili na drogę do zamku, ruch ogromny panował koło furty. Powóz zajechał i z zamku szli naprzeciw niemu. Rouletabille wskazał mi człowieka, który z niego wychodził:

— Oto szef policji. Zobaczymy, co Fryderyk Larsan ma na wątrobie, czy jest niebezpieczniejszy, niż który inny...

Za powozem szefa policji dążyły trzy inne powozy napelnione reporterami, którzy chcieli się też dostać do parku. Ale u furty stali dwaj żandarmi z rozkazem nie przepuszczania nikogo. Szef policji uspakajał zmartwionych dziennikarzy, przyrzekając tegoż samego wieczora jeszcze udzielić prasie tyle informacji, ile będzie mógł, nie krępując przebiegu śledztwa.

Rozdział XI

Fryderyk Larsan objaśnia, jak zbrodniarz wyszedł z żółtego pokoju

Śród stosu papierów, dokumentów, notatek, wyjątków z dzienników, którymi rozporządzam odnośnie do sprawy *Tajemnicy żółtego pokoju*, znajduje się jeden z najciekawszych ustępów. Jest to sprawozdanie ze sławnego badania świadków, jakie się odbyło tego popołudnia w laboratorium profesora Stangersona wobec szefa policji. To opowiadanie zawdzięczamy panu de Maleine, pisarzowi sądowemu, który za przykładem sędziego śledczego w wolnych chwilach bawił się literaturą.

Nie jest to suche sprawozdanie pytań i odpowiedzi, pisarz wypowiada tu często swoje osobiste wrażenia.

Opowiadanie pisarza sądowego

Od godziny — opowiada pisarz — sędzia śledczy i ja, znajdowaliśmy się w żółtym pokoju z przedsiębiorcą, który według planu profesora Stangersona wybudował pawilon. Przedsiębiorca przy był z robotnikiem. Pan de Marquet polecił oczyścić starannie ściany, to znaczy, że kazał robotnikowi zdjąć tapety, którymi były przybrane. Uderzenia młotów i motyk tu i ówdzie wykazały nieobecność jakiegokolwiek otworu. Podłoga i sufit były długo badane. Nie odkryliśmy nic. Nie było nic do odkrycia. Pan de Marquet wydawał się zachwycony i nie przestawał powtarzać:

— Co za sprawa, panie budowniczy, co za sprawa! Zobaczysz pan, że nigdy nie dowiemy się, jak zbrodniarz wyszedł z tego pokoju!

Naraz pan de Marquet, zadowolony z siebie, choć nic nie rozumiał, raczył przypomnieć sobie, że obowiązkiem jego jednak jest — wiedzieć, zawołał więc brygadiera żandarmerii.

— Brygadierze! — rzekł — idźcie do pałacu i proście pana Stangersona i pana Roberta Darzaca, aby przyszli do mnie do laboratorium, niech przyjdzie również ojciec Jakub i przyprowadźcie przez waszych ludzi oboje odźwiernych.

W pięć minut potem wszyscy byli zebrani w laboratorium. Szef policji, który przybył do Glandier, przyszedł do nas także w owej chwili. Siedziałem przy biurku pana Stangersona gotów do pracy, kiedy pan de Marquet zwrócił się do nas z przemową, równie oryginalną jak nieoczekiwaną:

— Jeśli państwo pozwolicie — rzekł — ponieważ śledztwo nic nam nie daje, porzucimy tym razem stary system badania. Nie będę państwa wzywał przed siebie kolejno, nie! Pozostaniemy tu wszyscy razem: pan Stangerson, pan Robert Darzac, ojciec Jakub, odźwierni, pan szef policji, pan pisarz i ja! I będziemy tu wszyscy w jednej roli. Odźwierni zechcą zapomnieć na chwilę, że są uwięzieni. Będziemy rozmawiać. Jesteśmy na miejscu zbrodni, o czymże więc mówić będziemy, jeśli nie o zbrodni? Mówmy więc! Mówmy o niej! Mówmy obszernie, inteligentnie lub głupio. Zwracam gorące wezwanie do Boga Przypadku, przypadku naszych pomysłów! Zaczynamy!

Po czym, przechodząc koło mnie, szepnął mi z cicha:

— Hm! pomyślał pan o takiej kiedy scenie! Wymyśliłby pan coś takiego? Zrobię z tego obrazek do wodewilu. I zacierał ręce z zadowoleniem.

Podniosłem wzrok na pana Stangersona. Nadzieja, jaką w nim rozbudziły ostatnie orzeczenia lekarzy, że panna Stangerson może przeżyć rany jej zadane, nie starła jeszcze z tej szlachetnej twarzy wyrazu głębokiego cierpienia.

Ten człowiek uważał swą córkę za umarłą i był tym złamany. Jego niebieskie oczy, tak łagodne i jasne, wyrażały nieskończony smutek. Miałem kilkakrotnie sposobność przy uroczystościach publicznych widzieć pana Stangersona. Uderzało mnie już wówczas jego wejrzenie tak czyste jak wejrzenie dziecka: wejrzenie marzycielskie, podniosłe i przeduchowione, wejrzenie wynalazcy czy obłąkańca.

W tych uroczystościach poza nim czy obok niego widywaliśmy zawsze jego córkę, bo jak mówiono nie rozłączali się oni nigdy, prowadząc od lat kilku te same prace. Panna Stangerson, która liczyła wtedy lat trzydzieści pięć, a wyglądała na trzydzieści zaledwie, oddana całkowicie nauce, podnosiła jeszcze powszechne dla siebie uwielbienie swą królewską pięknnością niczym niezamąconą, bez jednej zmarszczki, zwycięską ponad czas i miłość. Któżby mi wtedy powiedział, że pewnego dnia znajdę się u jej wezgłowia z plikiem mych papierów, że ją zobaczę prawie umierającą, gdy opowiadać nam będzie z wysiłkiem – najbardziej potworny i tajemniczy wypadek, jaki słyszałem w czasie mego urzędowania? Któżby mi powiedział, że znajdę się, tak jak tego oto popołudnia, wobec zrozpaczonego ojca usiłującego daremnie wytłumaczyć sobie, jakim sposobem morderca jego córki zdołał mu się wymknąć? Na cóż więc cicha praca w głębi ciemnej, leśnej samotni, jeśli i ona nie ubezpiecza od tych wielkich katastrof i śmierci, będących zazwyczaj udziałem tych, którzy żyją wśród wielkich namiętności miasta?

— Proszę pana, panie Stangerson — rzekł pan de Marquet z powagą — niech pan zechce dokładnie zająć to samo miejsce, w którym pan był, gdy panna Stangerson opuszczała pana, udając się do swego pokoju.

Pan Stangerson powstał i umieszczając się o jakie pięćdziesiąt centymetrów od drzwi żółtego pokoju, wyrzekł głosem bez akcentu, bez barwy, głosem, który mi się wydał martwy:

— Znajdowałem się tu. Koło jedenastej, po ukończeniu pewnego doświadczenia chemicznego w piecykach laboratoryjnych, przesunąłem me biurko aż dotąd, bo ojciec Jakub, który spędził cały wieczór na czyszczeniu niektórych przyrządów, potrzebował wszystkiego miejsca poza mną. Moja córka pracowała przy tym samym biurku. Kiedy powstała, by mnie uścisnąć i życzyć dobrej nocy Jakubowi, musiała, przechodząc do swego pokoju, przecisnąć się dość trudno między moim biurkiem i drzwiami. To panu wskazuje, że byłem bardzo blisko miejsca, gdzie miała się odbyć zbrodnia.

— A z tym biurkiem... — przerwałem, mieszając się do rozmowy, stosownie do życzenia wyrażonego przez mego zwierzchnika — a z tym biurkiem, panie Stangerson, jak tylko posłyszał pan wołanie: *Morderca!*, co się z tym biurkiem stało?

— Odepchnęliśmy je pod ścianę — powiedział na to ojciec Jakub — prawie tam, gdzie ono teraz stoi, ażeby mieć swobodny dostęp do drzwi, panie pisarzu.

Ciągnąłem dalej moje rozumowanie, do którego zresztą przywiązywałem znaczenie zaledwie słabej hipotezy:

— Biurko stało tak blisko pokoju, że człowiek, wychodząc chyłkiem z tego pokoju i ukrywając się pod biurkiem, mógł przejść niepostrzeżenie?

— Pan ciągle zapomina — przerwał pan Stangerson z pewnym znużeniem — że moja córka zamknęła swoje drzwi na klucz i zatrzaśk, że drzwi pozostały zamknięte, że myśmy dobijali się do tych drzwi od pierwszej chwili rozpoczęcia się zbrodni, że byliśmy przy drzwiach,

kiedy trwała walka zbrodniarza z moim biednym dzieckiem, że odgłosy tej walki dochodziły nas jeszcze, i że słyszeliśmy duszącą się moją nieszczęśliwą córkę pod uściskiem rąk, których krwawe ślady zachowała jej szyja. Choć tak nagły był napad, byliśmy równie nagli i znaleźliśmy się natychmiast pod tymi drzwiami, które nas dzieliły od zbrodni.

Wstałem i podchodząc ku drzwiom, badałem je ponownie z wielką uwagą, po czym odszedłem od nich zniechęcony.

— Przedstawcie sobie państwo, że dolna kwatery tych drzwi mogła być otwarta bez konieczności otwierania drzwi – i zagadka będzie rozwiązana! Ale niestety, to ostatnie przypuszczenie jest niedopuszczalne po zbadaniu drzwi. Są to mocne i grube drzwi dębowe, zbudowane w ten sposób, że tworzą jedną nierozdzieloną całość... To jest oczywiście mimo uszkodzeń, które sprawiono, wyważając je...

— O! — zawołał ojciec Jakub — to stare i mocne drzwi, z zamku tu sprowadzone... drzwi takie, jakich nie robią już teraz... Trzeba nam było użyć aż tej sztaby żelaznej, żeby im dać radę, we czworo... bo odźwierna też się do tego zabrała. To dzielna kobieta, panie sędzio! Aż przykro widzieć, że teraz są w więzieniu!

Zaledwie ojciec Jakub wymówił te słowa współczucia i protestu, płacz i skargi obojga odźwiernych na nowo się rozpoczęły. Nie widziałem nigdy oskarżonych tak płaczliwych.

— Eh! — zawołał pan de Marquet — dość tych płaczów! powiedzcie lepiej we własnym interesie, coście robili pod oknami pawilonu w chwili, gdy mordowano waszą panią? Bo byliście tuż pod pawilonem, kiedy ojciec Jakub was spotkał...

— My szliśmy na pomoc — zajęczeli.

A kobieta wśród łkań zapiszczała:

— Ach! gdybyśmy go schwycili, miałby za swoje!

I nie mogliśmy i tym razem wydobyć z nich dwóch zdań rozsądnych. Wypierali się wciąż zawzięcie, wzywali Boga i wszystkich świętych na świadków, że byli w łóżkach wówczas, gdy posłyszeli strzał rewolweru.

— Nie jeden, a dwa były strzały. Widzicie więc, że kłamiecie. Jeśliście słyszeli jeden, musieliście słyszeć i drugi!

— Mój Boże! Panie sędzio, myśmy słyszeli drugi tylko, Pewnieśmy spali jeszcze, kiedy strzelano po raz pierwszy...

— Jednak wystrzelono dwa razy! — rzekł ojciec Jakub. Jestem pewny, że wszystkie naboje mego rewolweru były nietknięte; odnaleźliśmy dwa kapiszony spalone, dwie kule i słyszeliśmy dwa strzały za drzwiami. Prawda, panie Stangerson?

— Tak — potwierdził profesor — dwa strzały rewolweru: jeden głuchy naprzód, potem drugi donośny.

— Czemuż więc kłamiecie ciągle? — zawołał pan de Marquet, zwracając się do odźwiernych. — Myślicie, że policja tak samo głupia jak wy! Wszystko potwierdza, że byliście na dworze blisko pawilonu w chwili zbrodni. Coście tam robili? Nie chcecie tego powiedzieć? Wasze milczenie potwierdza wasz współdział. I co do mnie — rzekł, zwracając się do pana Stangersona — co do mnie, nie mogę sobie wytłumaczyć ucieczki zbrodniarza jak tylko z pomocą tych dwojga współników. Jak tylko drzwi zostały wyważone, podczas gdy pan, panie Stangerson zajął się swym nieszczęśliwym dzieckiem, odźwierny z żoną ułatwił ucieczkę nędznikowi, który prześlizgnął się poza nimi, doszedł do okna w westybulu i wyskoczył do parku. Odźwierny zamknął okno i okiennice za nim. **Bo ostatecznie te okiennice nie zamknęły się same!** Oto, co ja myślę... Jeśli kto przypuszcza co innego, proszę, niech mówi...

— To niemożliwe! — powiedział pan Stangerson. — Nie wierzę we współwinę ani współdział moich odźwiernych, jakkolwiek i ja nie rozumiem, co by robili o tej późnej porze w

parku. Powiedziałem: to niemożliwe, bo odźwierna trzymała lampkę i nie ruszyła się z progu pokoju; bo ja, jak tylko drzwi zostały wyważone, ukląknęłam przy ciele mojego dziecka, i było niemożliwe, żeby ktoś wszedł lub wyszedł z tego pokoju przez te drzwi, nie przestępując przez ciało mej córki i nie potykając się o mnie! To niemożliwe, bo ojcu Jakubowi i odźwiernemu dość było rzucić jedno spojrzenie na pokój i pod łóżko, jak i ja to zrobiłem, wchodząc, aby zobaczyć, że nie było nikogo w pokoju prócz mej córki w agonii.

— A co pan o tym myśli, pan, który nic jeszcze nie powiedział, panie Darzac? — zapytał sędzia śledczy.

Pan Darzac odpowiedział, że nic nie myśli,

— A pan, panie szefie policji?

Pan Dax, szef policji aż dotąd słuchał wyłącznie i badał miejscowość. Wreszcie raczył otworzyć usta:

— Trzeba by zanim odnajdziemy zbrodniarza, odnaleźć motyw zbrodni. To nas posunie trochę naprzód — rzekł.

— Panie szefie, zbrodnia zdaje się być inspirowana przez pobudki niskich namiętności — odrzekł pan de Marquet. — Ślady zostawione przez zbrodniarza, ordynarna chustka, beret wyniszczony, dają do myślenia, że zbrodniarz nie należy do wyższej klasy społecznej. Odźwierni mogliby nas może objaśnić w tym względzie?

Szef policji ciągnął dalej, zwracając się do pana Stangersona, tym chłodnym tonem, który według mnie jest znamieniem silnych inteligencji i doświadczonych charakterów:

— Czy panna Stangerson nie miała zamiaru wkrótce wyjść za mąż?

Profesor spojrział ze smutkiem na pana Roberta Darzaca

— Za mego przyjaciela, którego czułbym się szczęśliwy nazwać mym synem... za pana Roberta Darzaca.

— Panna Stangerson czuje się o wiele lepiej i wyzdrowieje wprędce po swoich ranach. Więc to małżeństwo będzie tylko opóźnione, wszak prawda, panie? — badał szef policji.

— Mam nadzieję.

— Jak to! Pan nie jest tego pewny?

Pan Stangerson umilkł.

Pan Robert Darzac wydał się zmieszany. Zauważyłem to po drżeniu ręki na łańcuszku zegarka, bo nic nie uchodzi mojej uwagi.

Pan Dax zakaszłał, jak to zwykł czynić pan de Marquet, kiedy bywa zakłopotany.

— Pan rozumie, panie Stangerson, że w sprawie tak zawikłanej nie możemy niczego zaniedbać; że powinniśmy wszystko wiedzieć, nawet najdrobniejszą, najbłahszą rzecz, dotyczącą ofiary... Wskazówki na pozór najmniej znaczące. Cóż więc daje panu do myślenia przy niemal zupełnej pewności, jaką dziś mamy, że panna Stangerson żyć będzie, że to małżeństwo może nie dojść do skutku?... Pan powiedział: *Mam nadzieję*. Ta nadzieja wydaje mi się jakby powątpiewaniem. Czemuz więc pan wątpi?

Pan Stangerson z widocznym wysiłkiem rzekł wreszcie:

— Tak, panie, pan ma słuszność. Lepiej, żeby pan wiedział to, co mogłoby się zdawać, że ma pewną doniosłość, gdybym to ukrywał. Zresztą pan Robert Darzac będzie tego samego zdania.

Pan Darzac, którego bladość w tej chwili wydała mi się zupełnie anormalna, dał znak, że podziela zdanie profesora. Według mnie, jeśli pan Darzac odpowiadał skinieniem jedynie, to dlatego, że nie był zdolny wymówić ani jednego słowa.

— Otóż zechce pan wiedzieć, panie szefie policji — ciągnął pan Stangerson — że moja córka postanowiła nigdy mnie nie opuszczać i dotrzymywała swej przysięgi, pomimo mych

próśb, bo kilkakrotnie usiłowałem ją namówić do małżeństwa, uważając to za swój obowiązek. Pana Roberta Darzaca znaliśmy od dawna. Pan Robert Darzac kocha moją córkę. Mogłem myśleć przez pewien czas, że jest przez nią również kochany, bo niedawno miałem szczęście posłyszeć z ust mej córki, że w końcu zgadza się na to małżeństwo tak przeze mnie upragnione. Jestem już starcem, panie, i szczęśliwą nazywam godzinę, w której się dowiedziałem, że po mnie córka moja mieć będzie przy sobie człowieka, którego kocham i szanuję za jego wielkie serce i wiedzę, i który będzie ją kochał i prowadził dalej naszą wspólną pracę. Tymczasem, panie szefie, na dwa dni przed zbrodnią, nie wiem dla jakiej zmiany woli, córka oznajmiła mi, że nie wyjdzie za pana Roberta Darzaca.

Nastąpiła chwila ciężkiego milczenia.

Moment był ważny. Pan Dax rozpoczął znów:

— I panna Stangerson nie dała panu żadnego wyjaśnienia, nie powiedziała zupełnie dla jakiej przyczyny?

— Powiedziała mi, że jest dziś za stara, aby wychodzić za mąż... Że nadto długo czekała... że dobrze się zastanawiała... że szanuje i kocha pana Roberta Darzaca... ale lepiej, żeby tak pozostało, jak dotąd... że czuć się będzie nawet szczęśliwa, gdyby związek czystej przyjaźni, który nas dotąd łączył z panem Robertem Darzakiem, zacieśnił się jeszcze bardziej, ale zrozumiałem, że odtąd nie chce nawet słyszeć o małżeństwie.

— To dziwne! — szepnął pan Dax.

— Dziwne! — powtórzył sędzia.

Pan Stangerson zaś z bólem i zimnym uśmiechem powiedział:

— Nie z tej strony, panowie, szukajcie motywu zbrodni.

Pan Dax:

— W każdym razie motywem zbrodni nie jest kradzież!

— O, jesteśmy tego pewni — potwierdził sędzia śledczy.

W tej chwili otworzyły się drzwi do laboratorium i brygadier żandarmerii podał bilet sędziemu śledczemu.

Pan de Marquet przeczytał i wydał głuchy okrzyk:

— A! to już za wiele!

— Co takiego? — zapytał szef policji.

— Bilet od reportera *Epoki*, pana Józefa Rouletabille'a, i te słowa: *Jednym z motywów zbrodni była kradzież.*

Szef się uśmiechnął.

— Ach! młody Rouletabille. Już o nim słyszałem... uchodzi za genialnego... Niech mu pan pozwoli wejść, panie sędzio śledczy.

Wpuszczono więc pana Józefa Rouletabille'a.

— Poznałem się z nim w pociągu, którym przybyliśmy tego ranka do Epinay-sur-Orge. Wszedł do naszego przedziału prawie wbrew mej woli. Lepiej od razu powiem, że jego zachowanie, jego grzeczność, jego pretensja okazywania, że rozumie coś w sprawie, w której śledztwo nic nie rozumie – nie obalamuciły mnie wcale. Nie lubię dziennikarzy. Ten wydał mi się wiekiem nie więcej nad lat dwadzieścia, a czelność, z jaką nas wypytywał i dyskutował z nami, uczyniła mi go wyjątkowo wstrętnym. Zresztą miał sposób wyrażania się, świadczący, że naśmiewa się z nas ubliżająco. Wiem, że dziennik *Epoka* jest wpływowym organem i że trzeba z nim być w zgodzie, ale i ten dziennik lepiej by zrobił, nie przyjmując takich żółtodzióbich współpracowników.

Pan Józef Rouletabille wszedł więc do laboratorium, ukłonił się nam i czekał, aż pan de Marquet zażąda jego wyjaśnienia.

— Pan utrzymuje — rzekł tenże — że pan zna motyw zbrodni i że tym motywem według wszelkiego prawdopodobieństwa jest — kradzież?

— Nie, panie sędzio śledczy, bynajmniej tego nie utrzymywałem. Nie powiedziałem, że motywem zbrodni była kradzież, i **w to nie wierzę**.

— A więc cóż znaczy ta kartka?

— Ona znaczy, że **jednym z motywów zbrodni była kradzież**.

— Cóż pana o tym poinformowało?

— To! — jeśli zechcecie mi państwo towarzyszyć.

I młody człowiek prosił, abyśmy za nim poszli do przedsionka, cośmy też zrobili. Tu skierował się w stronę umywalni i prosił pana sędziego śledczego, aby ukląkł obok niego. Ta umywalnia otrzymywała światło przez drzwi oszklone, a kiedy drzwi były otwarte, światło, które tu wpadało, było dostateczne, aby ją oświetlić całkowicie. Pan de Marquet i Józef Rouletabille uklękli na progu. Młody człowiek wskazywał jedno miejsce na płycie kamiennej.

— Płyty umywalni — mówił — nie były myte przez ojca Jakuba od pewnego czasu, to widać po powłoce kurzu, która je pokrywa. Teraz, niech pan patrzy, w tym miejscu, ślady dwóch szerokich stóp i tego czarnego popiołu, który wszędzie towarzyszy krokom zbrodniarza. Ten popiół jest miałem węglowym, pokrywającym ścieżkę, którą trzeba przejść, aby dojść, prosto przez las, z Epinay do Glandier. Pan wie, że w tym miejscu jest szalas węglarzy i że wyrabiają tam węgiel drzewny w wielkiej ilości. Otóż, co musiał zrobić zbrodniarz: zakradł się tu popołudniu, jak nikogo w pawilonie nie było i załatwił się z kradzieżą.

— Ależ, jaka kradzież? Gdzie pan widzi kradzież? Co pana przekonywa o kradzieży? — wołaliśmy wszyscy jednocześnie.

— Co mnie wprowadziło na ślad kradzieży... — mówił dziennikarz.

— To to! — wykrzyknął pan de Marquet jeszcze na kolanach.

— Oczywiście — rzekł Rouletabille.

I pan de Marquet wyjaśnił, że rzeczywiście na warstwie kurzu powlekającej płyty posadzki, obok śladu dwóch stóp był świeży odcisk ciężkiego prostokątnego pakietu i że jeszcze łatwo było odróżnić ślady sznurków go owijających.

— Ale to pan był tu, panie Rouletabille? Ja jednak zakazałem ojcu Jakubowi wpuszczać kogokolwiek. On strzegł pawilonu.

— Niech pan nie gniewa się na ojca Jakuba, byłem tu z panem Robertem Darzakiem.

— Ach! tak... — zawołał pan de Marquet niezadowolony, rzucając z ukosa spojrzenie na pana Darzaka, który ciągle milczał.

— Spostrzegłszy ślady pakietu obok śladów stóp, nie wątpiłem już o kradzieży — rzekł Rouletabille.

— Złodziej nie przyszedłby tu z pakietem... Zrobił tutaj tę paczkę z przedmiotów bez wątpienia skradzionych i złożył ją tu w tym kącie, celem zabrania później w chwili ucieczki; **złożył też obok paczki swoje ciężkie obuwie**, bo patrzcie panowie: żaden ślad kroków nie prowadzi do tych znaków stóp, które są obok siebie jakby znakami obuwia w spoczynku, a nie na nogach. W ten sposób zrozumiemy, że zbrodniarz, uciekając z żółtego pokoju, nie zostawił żadnych śladów kroków ani w laboratorium, ani w przedsionku. Dostawszy się w tym obuwie do żółtego pokoju, tam je zdjął pewnie dlatego, że go krępowały, albo że chciał jak najmniej robić hałasu. Ślady jego przejścia w tę stronę przez przedsionek i laboratorium były starte w czasie mycia przez ojca Jakuba, a to naprowadza na myśl, że zbrodniarz wszedł do pawilon przez okno otwarte w przedsionku w czasie pierwszej nieobecności ojca Jakuba przed myciem, które miało miejsce o godzinie wpół do szóstej. Zbrodniarz zdjąwszy swe obuwie, które go krępowało, niósł je w rękę do umywalni i tu złożył je u progu, bo na kurzu nie ma śladów nóg bosych ani nóg w

skarpetkach albo choćby w innym obuwiu, więc on złożył swe ubranie obok paczki. Kradzież była już w tej chwili dokonana. Potem człowiek wraca do żółtego pokoju, wciska się pod łóżko, gdzie ślad jego ciała jest dokładnie widoczny na podłodze i nawet na macie, która była lekko sfałdowana w tym miejscu. Żdźbła słomy świeżo wyrwane świadczą również o przejściu zbrodniarza pod łóżko.

— Tak! tak! to my wiemy — potwierdził pan de Marquet.

— Ten powrót pod łóżko — ciągnął dalej zadziwiająco sprytny młody dziennikarz — świadczy, że kradzież nie była jedynym motywem wizyty tego człowieka. Nie mówcie panowie, że on się tam schronił, spostrzegając przez okno przedsionka ojca Jakuba czy pana Stangersona, czy też pannę Stangerson, idących do pawilonu. Byłoby daleko łatwiej dla niego wejść na strych i w ukryciu oczekiwać sposobności ucieczki, gdyby jego celem była tylko ucieczka. Nie! Nie! Zbrodniarzowi trzeba było być w żółtym pokoju...

Tu wmieszał się szef policji.

— To zupełnie nieźle, młody człowieku! Moje powinszowanie... I jeśli jeszcze nie wiemy, jak uciekł zbrodniarz, to już śledzimy krok za krokiem jego wejście tutaj i widzimy, co zrobił: — ukradł. Ale cóż on ukradł?

— Rzeczy nadzwyczaj drogocenne — odpowiedział reporter.

W tej chwili posłyszeliśmy krzyk w głębi laboratorium.

Wbiegając tam, znaleźliśmy Pana Stangersona, który z oczyma błędnymi, miotając rękami, pokazywał nam sprzęt jakiś w rodzaju małej biblioteczki. Otworzył ją — była pusta. Profesor dał się odprowadzić do wielkiego fotela, który stał przed biurkiem i jęknął:

— Jeszcze raz jestem okradziony!

A potem łza — ciężka łza stoczyła się po jego twarzy.

— Nade wszystko nie mówić ani słowa o tym mej córce... Będzie jeszcze więcej zmartwiona niż ja.

Westchnął głęboko i tonem przebolesnym, którego nie zapomnę nigdy, dodał:

— Co warte zresztą... byle ona żyła?

— Ona będzie żyła! — rzekł głosem niewypowiedzianie wzruszającym Robert Darzac.

— I odnajdziemy pana skradzione przedmioty, ale cóż to było w tej szafce? — zapytał pan Dax.

— Dwadzieścia lat mego życia — odrzekł głucho znakomity profesor — albo raczej naszego życia: mojej córki i mego. Tak, panie najdrogocenniejsze dokumenty, sprawozdania najtajniejsze naszych doświadczeń i naszych prac od lat dwudziestu były tam zamknięte. Prawdziwy wybór spośród wszystkich dokumentów w tej szafce był złożony. To strata niepowetowana dla nas i śmiem mówić, że i dla nauki. Wszystkie stadia, które przejść musiałem, aby dojść do ostatecznego twierdzenia o zniszczalności materii były przez nas starannie sformułowane, popisywane, zanotowane, ilustrowane fotografiami i rysunkami. Wszystko to było tu złożone. Plany trzech nowych aparatów: jeden dla badania utraty materii przez ciała, poprzednio naelektryzowane, pod działaniem promieni świetlnych pozafioletowych; drugi który miał uczynić widoczną utratę elektryczności pod działaniem cząsteczek materii rozłożonej, zawartej w gazach płomienia; trzeci bardzo złożony nowy elektroskop-kondensator różniczkowy; cały zbiór naszych krzywych ilustrujących własności zasadnicze substancji pośredniej między ważką materią i nieważkim eterem; dwadzieścia lat doświadczeń nad chemią i nad nieznanymi równoważnikami materii, manuskrypt, który miałem wydać pod tytułem: *Wrażliwość metali*. Czy ja wiem?... Czy ja wiem?... Człowiek, który tu był, zabrał mi wszystko... moją córkę i moje dzieło... moje serce i moją duszę...

I wielki Stangerson zapłakał jak dziecko.

Otoczyliśmy go w milczeniu, wzruszeni tym wielkim cierpieniem. Pan Robert Darzac oparty o fotel, na który osunął się profesor, na próżno usiłował ukryć łzy; to mi go na chwilę uczyniło sympatycznym mimo instynktownej odrazy, którą jego dziwne zachowanie, jego niepojęte czasami wzruszenie – obudzały we mnie dla tej zagadkowej osobistości.

Jeden Józef Rouletabille, jak gdyby jego czas drogocenny i jego posłannictwo na ziemi nie pozwalały mu się zatrzymywać nad nędzą ludzką, najzupełniej spokojny zbliżył się do opróżnionej szafy i wskazując ją szefowi policji, przerwał wkrótce uroczyste milczenie, którym uczciliśmy rozpacz wielkiego Stangersona. Udzielił nam kilka wyjaśnień, z którymi nie wiedzieliśmy co robić, o sposobie, jakim wpadł na domysł kradzieży przez jednoczesne odkrycie śladów w umywalni, o których wyżej wspomniałem, i opróżnionej szafki w laboratorium. Pan Rouletabille – jak mówił – tylko przeszedł przez laboratorium, ale pierwszą rzeczą, która zwróciła jego uwagę, była dziwna forma tej szafki, jej mocna konstrukcja z żelaza, co ją chroniło od wszelkiego wypadku z ogniem, i fakt, że w żelaznych drzwiczkach tego sprzętu, przeznaczonego widać do przechowywania przedmiotów nade wszystko cennych – spostrzegł tkwiący klucz. **Nikt nie trzyma szkatuły po to, aby była otwarta...** Wreszcie ten mały kluczyk o główce miedzianej, jeden z najbardziej skomplikowanych, zdaje się, nade wszystko zwrócił uwagę Rouletabille'a wówczas, gdy uśpił zupełnie naszą. Dla nas, którzy nie jesteśmy dziećmi, obecność klucza, tkwiącego w jakimś sprzęcie, nasuwa raczej myśl bezpieczeństwa, ale dla Rouletabille'a, który jest widać geniuszem – obecność klucza w zamku rodzi myśl o kradzieży.

Wkrótce pokazało się, że miał słusność.

Pan de Marquet, mimo że nie w smak mu było odkrycie przez kogo innego uczynione, uznał jednak za stosowne dołączyć swe pochwały do pochwał pana Daxa, który rzeczywiście nie szczędził ich Rouletabille'owi. Nicpoń wzruszył ramionami, mówiąc: — Jest za co! — Byłbym z zadowoleniem wymierzył mu policzek, nade wszystko, gdy dodał:

— Dobrze by pan zrobił, zapytując pana Stangersona, kto zwykle chował ten kluczyk?

— Moja córka — odrzekł pan Stangerson — z tym kluczykiem nigdy się nie rozłączała.

— A! Otóż to zmienia postać rzeczy i nie zgadza się już z przypuszczeniem pana Rouletabille'a — zawołał pan de Marquet. Jeśli ten klucz nigdy panny Stangerson nie opuszczał, zbrodniarz więc czekałby tej nocy na pannę Stangerson w jej pokoju, aby jej wydrzeć ten klucz i kradzież miałyby miejsce dopiero **po morderstwie**. Ale po morderstwie w laboratorium były cztery osoby!... Stanowczo, nic tu już nie pojmuję!

I pan Marquet powtórzył ze wściekłością rozpacz, która dla niego być musiała szczytem upojenia, bo nie pamiętam, czy nadmieniałem o tym, że nie czuł się nigdy bardziej szczęśliwy, jak wówczas, gdy nic nie rozumiał:

— Nic już!...

— Kradzież mogła mieć miejsce tylko **przed morderstwem** — odrzekł reporter. — To niewątpliwe dla przyczyny, o której panowie myślicie i dla innych, o których ja myślę. I kiedy zbrodniarz wszedł do pawilonu, już był w posiadaniu klucza o miedzianej główce.

— To niemożliwe! — zauważył łagodnie pan Stangerson.

— To tak bardzo możliwe, panie, — że oto dowód.

I ten diabeł, nie człowiek, wyjął wtenczas z kieszeni numer *Epoki*, datowany z 21 października (przypominam, że zbrodnia miała miejsce w nocy z 24 na 25 października) i wskazując nam jedno ogłoszenie, czytał.

Wczoraj zgubiono woreczek z czarnego atlasu w wielkich magazynach Louvre. Ten woreczek zawierał różne przedmioty, wśród nich małe kluczyk o główce miedzianej. Będzie udzielona wysoka nagroda osobie, która go odnajdzie. Osoba ta zechce napisać poste-restante,

biuro 40, adres: M. A. T. H. S. N.

— Czyż te litery nie oznaczają — mówił dalej reporter — panny Stangerson? Czyż ten kluczyk o główce miedzianej nie jest właśnie tym kluczykiem?... Zawsze czytuję ogłoszenia. W moim zawodzie, tak jak i w pańskim, panie sędzio śledczy, trzeba zawsze czytać drobne ogłoszenia osobiste... W nich się odnajdują intrygi... i klucze intryg... które nie zawsze bywają o główkach miedzianych, niemniej jednak są ciekawe. To ogłoszenie zastanowiło mnie szczególnie tajemniczością, jaką otaczała się kobieta, która zgubiła kluczyk, przedmiot zupełnie niewinny. Jak jej zależało na tym kluczyku! Jak obiecywała sowitą nagrodę! Więc myślałem nad tymi kilku literami: M. A. T. H. S. N. Cztery pierwsze wskazywały mi od razu imię własne. Z pewnością, myślałem, Math, Mathilde... Osoba, która zgubiła kluczyk o główce miedzianej w małym woreczku, ma imię Matylda. Ale nic nie mogłem zrobić z dwiema ostatnimi literami. Więc, odrzucając dziennik, zająłem się inną sprawą.

Kiedy w cztery dni później dzienniki wieczorne oznajmiły wielkimi zgłoskami: *MordersTwo panny Matyldy Stangerson*, to imię Matylda przypomniało mi bez wielkiego wysiłku z mej strony, prawie machinalnie, litery ogłoszenia. Zaciekawiony nieco, zażądałem numeru z owego dnia w administracji. Zapomniałem już dwie ostatnie litery S. N. Spostrzegłszy je znów, nie mogłem powstrzymać podziwu: *Stangerson!* Skoczyłem do fiakra i popędziłem do biura numer 40. Tam zapytałem: — Czy mają państwo list z tym adresem: M. A. T. H. S. N.? — Nie! — odpowiedział urzędnik — a że nastawałem, prosząc go, by jeszcze poszukał, rzekł mi: — Ach, panie, to żarty. Tak, miałem list z literami: M. A. T. H. S. N., ale oddałem go przed trzema dniami pewnej pani, która go zażądała. Z kolei pan przychodzi, żądając tego listu. Nadto przedwczoraj jakiś pan z tą samą natarczywością żądał go ode mnie. Mam dość tej zabawy! Chciałem zapytać urzędnika o dwie osoby, które już zgłaszały się po list, ale czy chciał się uchylić pod pozorem obowiązującej dyskrecji — może uważał, że ze swej strony za wiele już powiedział — czy też rzeczywiście był już wyprowadzony z cierpliwości przypuszczalnym żartem, dość, że mi nie dał odpowiedzi.

Rouletabille umilkł. Milczeliśmy też wszyscy. Każdy, jak mógł, wyciągał wnioski z tej dziwnej historii listu poste restante. Istotnie, wydawało się, że teraz posiadamy mocną nić, przy pomocy której będzie można śledzić całą „nieuchwytną” sprawę.

Pan Stangerson powiedział:

— Jest więc prawie pewne, że moja córka zgubiła ten klucz, że nie chciała mi tego mówić, aby mi oszczędzić wszelkiego niepokoju i że prosiła osobę, która go znajdzie o zawiadomienie poste restante. Obawiała się widocznie, że podanie naszego adresu mogłoby spowodować pewne kroki, które by mnie powiadomiły o utracie klucza. To bardzo logiczne i bardzo naturalne, panie. Bo byłem już okradziony.

— Gdzież to? I kiedy? — zapytał dyrektor policji.

— O! Wiele lat temu w Ameryce, w Filadelfii. Skradziono mi z mego laboratorium tajemnice dwóch odkryć, które mogłyby stworzyć majątek całego narodu... Nie tylko nie dowiedziałem się nigdy, kto był złodziejem, ale nigdy też nie posłyszałem o przedmiocie kradzieży. Być może dlatego, że chcąc zniweczyć plany tego, który mnie tak ograbił, sam rzuciłem w dziedzinę użytku publicznego moje dwa odkrycia, czyniąc w ten sposób kradzież bezcelową. Od tego czasu jestem tak podejrzliwy, zamykam się hermetycznie, gdy pracuję. Wszystkie te kraty w oknach, odosobnienie pawilonu, szafka, którą sam kazałem sporządzić, ten zamek specjalny, ten jedyny klucz — wszystko to jest rezultatem mych obaw zbudzonych przez smutne doświadczenie.

Pan Dax oświadczył:

— Bardzo zajmujące.

A pan Józef Rouletabille prosił o szczegóły o woreczku.

Lecz ani pan Stangerson, ani ojciec Jakub nie widzieli od kilku dni woreczka panny Stangerson. W kilka godzin później dowiedzieliśmy się z ust samej panny Stangerson, że ten woreczek został jej skradziony lub sama go zgubiła, i że było tak istotnie, jak nam objaśniał jej ojciec, że dnia 23 października ona była w biurze pocztowym numer 40, gdzie jej doręczono list, ale przyznała, że zawierał tylko niewłaściwy żart. Dlatego spaliła go niezwłocznie.

Wracając do naszego badania lub raczej „rozmowy”, muszę podkreślić, że wskutek zapytania pana Stangersona przez szefa policji, w jakich okolicznościach jego córka jeździła do Paryża 20 października, kiedy zgubiła woreczek, dowiedzieliśmy się, że udała się do stolicy w towarzystwie pana Roberta Darzaca, który odtąd nie był w zamku, dopiero nazajutrz po zbrodni. Fakt, że pan Robert Darzac był obok panny Stangerson w wielkich magazynach Louvre, kiedy zniknął woreczek, nie mógłby przejść niespostrzeżenie i muszę przyznać, że zwróciliśmy nań dość silną uwagę.

Ta rozmowa między urzędnikami sądu, oskarżonymi, świadkami i dziennikarzem miała się już ku końcowi, gdy nastąpił prawdziwie teatralny zwrot, co zawsze podobać się może panu de Marquet. Brygadier żandarmerii wszedł, oświadczając nam, że pan Fryderyk Larsan prosi o pozwolenie wejścia, czego mu też niezwłocznie udzielono.

Fryderyk Larsan ukazał się, trzymając w ręku parę grubych, zabłoconych butów, które cisnął w laboratorium.

— Oto — rzekł — trzewiki, w które był obuty zbrodniarz.

— Czy poznajecie je, ojciec Jakubie?

Ojciec Jakub pochylił się nad cuchnącą skórą i oniemiały z przerażenia rozpoznał swoje stare trzewiki, które przed pewnym czasem rzucił na śmieci, w jakiś kąt na strychu; był tak strwożony, że musiał parę razy wytrzeć nos, aby pokryć wzruszenie.

Natenczas wskazując chustkę, którą się posługiwał ojciec Jakub, Fryderyk Larsan rzekł:

— Otóż i chustka, która zadziwiająco podobna jest do tej, jaką znaleziono w żółtym pokoju.

— Ach! ja wiem dobrze — wyjąkał ojciec Jakub — one są prawie jednakowe...

— Wreszcie — ciągnął Fryderyk Larsan — stary beret baskijski, odnaleziony również w żółtym pokoju, może należał kiedyś do ojca Jakuba. Wszystko to, panie dyrektorze policji i panie sędzio śledczy, dowodzi według mnie... — trzymajcie się mocno ojcie! — zawołał do ojca Jakuba, który się ślaniał — wszystko to dowodzi, według mnie, że zbrodniarz chciał ukryć swoją osobistość. Zrobił to w sposób dość prostacki, lub przynajmniej nam się takim wydaje, ponieważ wiemy, że zbrodniarzem nie jest ojciec Jakub, który nie odstępował pana Stangersona. Lecz wystawcie sobie państwo, że profesor nie pracował dłużej tego wieczora, że pożegnał swoją córkę, odszedł do zamku, że panna Stangerson była zamordowana wtedy, gdy nie było nikogo w laboratorium, a ojciec Jakub spał na swojej górze: wówczas nie byłoby wątpliwości dla nikogo, że ojciec Jakub popełnił zbrodnię. Ojciec Jakub zawdzięcza swe zbawienie temu tylko, że dramat nastąpił za wcześnie. Zbrodniarz myślał widocznie, z powodu ciszy panującej obok, że laboratorium zostało opuszczone, zatem — chwila działania nadeszła. Człowiek, który mógł wejść tak tajemniczo tutaj i użyć takich ostrożności przeciw ojcu Jakubowi był bezwątpienia zaufanym tego domu. O której godzinie ściśle tu wszedł? Po południu? Wieczorem?... Nie umiem tego powiedzieć... **Osobistość tak żyta z rzeczami i ludźmi tego pawilonu, weszła do żółtego pokoju o swojej godzinie.**

— Jednak on nie mógł tam wejść, kiedy w laboratorium pracowano? — zawołał pan de

Marquet.

— Cóż my o tym wiedzieć możemy, proszę pana! — odrzekł Larsan. — Był obiad w laboratorium, przychodziła i wychodziła służba... Było doświadczenie chemiczne, które między godziną dziesiątą i jedenastą mogło zatrzymać pana Stangersona, jego córkę i Jakuba koło piecyków... w tym kącie wysokiego komina... Któż mi zaręczy, że zbrodniarz... zaufany!... zaufany!... nie skorzystał z tej chwili, aby się prześlizgnąć do żółtego pokoju, zdjawszy przedtem swe obuwie w umywalni?

— To zupełnie nieprawdopodobne! — rzekł pan Stangerson.

— Bez wątpienia, ale to nie jest niemożliwe... Toteż niczego nie twierdę. Co do jego wyjścia, to rzecz inna! Jak mógł uciec? — Najnaturalniej w świecie!

Fryderyk Larsan umilkł na chwilę. Ta chwila wydała się nam nieskończoną.

Oczekiwaliśmy jego mowy z gorączką łatwo zrozumiałą.

— Nie byłem w żółtym pokoju — mówił dalej Fryderyk Larsan — ale myślę, że panowie upewnili się, że wyjść z niego inaczej nie można jak przez drzwi. Przez drzwi też zbrodniarz wyszedł. Ponieważ niemożliwe jest, aby było inaczej, przeto tak być musi! Popelniał zbrodnię i wyszedł przez drzwi! W jakiej chwili? W chwili, kiedy się to staje najbardziej zrozumiałe, tak zrozumiałe, że nie potrzeba na to innego tłumaczenia. Zbadajmy więc jakie wypadki nastąpiły po zbrodni. Była pierwsza chwila, kiedy znajdowali się przed drzwiami, gotowi zastąpić drogę zbrodniarzowi, pan Stangerson i ojciec Jakub. Była druga chwila, gdy ojciec Jakub był nieobecny, pan Stangerson pozostał sam przed drzwiami. Była trzecia chwila, gdy do pana Stangersona przybywa odźwierny. Była czwarta chwila, gdy przed drzwiami znajdują się: pan Stangerson, odźwierny, jego żona i ojciec Jakub. Była piąta chwila, gdy drzwi żółtego pokoju zostały wyważone i żółty pokój zajęty. Chwilą w której ucieczka była najmożliwsza, jest ta chwila, kiedy przed drzwiami znajduje się najmniej osób. Była chwila, w której tam znajdowała się tylko jedna osoba: Wtedy gdy pan Stangerson zostaje sam przed drzwiami. A może przypuścić współudział ojca Jakuba?... Temu nie wierzę, bo ojciec Jakub nie wychodziłby oglądać okien żółtego pokoju, gdyby widział otwierające się drzwi i wychodzącego z nich zbrodniarza. Więc drzwi otworzyły się tylko wtedy, gdy pan Stangerson był sam, i człowiek wyszedł. Tu musimy przypuścić, że pan Stangerson miał poważne przyczyny, dla których nie chciał lub nie kazał chwytać zbrodniarza, pozwolił mu bowiem przejść przez okno w przedsionku i zamknął za nim okno!... Kiedy to było zrobione, ponieważ ojciec Jakub musiał wrócić i powinien był zastać rzeczy w tym samym stanie, panna Stangerson, choć okrutnie zraniona, znalazła jednak siłę, zapewne na zakłęcie ojca, że zamknęła drzwi żółtego pokoju na klucz i zatrask, po czym dopiero padła zemdlona na podłogę... Nie wiemy, kto popelniał zbrodnię; nie wiemy, jakiego nikczemnika pan i panna Stangerson stali się ofiarami, lecz nie ma żadnej wątpliwości, że oni to wiedzą! Ta tajemnica musi być straszna, skoro ojciec nie zawahał się zostawić córki w agonii za drzwiami, które ona sama jeszcze zamykała, straszna, skoro dozwolił zbiec zbrodniarzowi... Ale nie ma innego sposobu wytłumaczenia ucieczki zbrodniarza z żółtego pokoju!

Cisza, jaka nastąpiła po tym rozświetlającym i dramatycznym wyjaśnieniu, miała w sobie coś niewysłowionego.

Cierpieliśmy wszyscy ze znakomitym profesorem, zmuszonym przez bezlitosną logikę Fryderyka Larsana wyznać prawdę swej męki lub milczeć — zadanie jeszcze straszniejsze. Widzieliśmy, jak wstawał ten człowiek, prawdziwy posąg bólu, i wyciągając rękę ruchem tak uroczystym, że mimo woli pochyliliśmy głowy, jak wobec widoku czegoś świętego — wymówił wówczas te słowa głosem doniosłym, który, zdawało się, że wyczerpuje wszystkie jego siły:

— Przysięgam na głowę mej córki w agonii, że nie odstępowalem od tych drzwi od

chwili, gdy posłyszałem krzyk rozpaczliwy mego dziecka; że te drzwi nie otwierały się podczas gdy zostałem sam w laboratorium, i wreszcie, że wchodząc do żółtego pokoju z trojgiem mej służby, zbrodniarza tam nie zastaliśmy! Przysięgam, że nie znam zbrodniarza!

Czy mam wyznać, że mimo całej uroczystości tej przysięgi, nie wierzyliśmy słowom pana Stangersona?

Fryderyk Larsan odsłaniał nam prawdę; nie mogliśmy tracić jej tak szybko.

Ponieważ pan de Marquet oznajmił nam, że pogadanka skończona, zabieraliśmy się przeto do wyjścia z laboratorium – kiedy młody reporter, ten malec, Józef Rouletabille, zbliżył się do pana Stangersona i ujmując go za rękę z najgłębszym szacunkiem wymówił te słowa, które posłyszałem:

— Ja panu wierzę, panie!

Przerywam ten cytat, który czułem się w obowiązku przytoczyć z opowiadania pana Maleine, pisarza sądowego z Corbeil. Nie mam potrzeby mówić czytelnikowi, że wszystko co się działo w laboratorium, było mi natychmiast i wiernie powtórzone przez samego Rouletabille'a.

Rozdział XII

Laska Fryderyka Larsana

Miałem opuścić zamek dopiero około szóstej wieczorem, zabierając zarazem artykuł, który przyjaciel mój skreślił naprędce w saloniku, oddanym do naszej dyspozycji przez pana Roberta Darzaca. Reporter miał nocować w zamku, korzystając z tej niepojętej gościnności, okazywanej mu przez pana Roberta Darzaca, na którego w tych smutnych chwilach pan Stangerson złożył wszystkie kłopoty domowe. Chciał jednak towarzyszyć mi do stacji w Epinay. Przechodząc przez park, rzekł mi:

— Fryderyk Larsan istotnie jest silny, zasłużył na swoją sławę. Czy wiesz jak doszedł do odnalezienia butów ojca Jakuba? W pobliżu miejsca, gdzie oglądaliśmy ślady „kroków eleganckich” i zniknięcie śladów grubych trzewików, w świeżej ziemi prostokątne zagłębienie wskazywało, że leżał tu niedawno kamień. Larsan zaraz zaczął go szukać i nie znajdując, wyobraził sobie, że musiał on posłużyć zbrodniarzowi do przytrzymania butów w głębi stawu, których chciał się pozbyć. Kombinacja Fryda była doskonała i potwierdził ją rezultat poszukiwań. To uszło mej uwagi; ale trzeba przyznać, że mój pomysł już podążał nierównie dalej, bo przez **nadto wielką liczbę fałszywych świadectw pozostawionych przez zbrodniarza**, poza miarę czarnych kroków zgodnych z miarą ojca Jakuba, o czym się upewniłem bez jego wiedzy już na podłodze żółtego pokoju, w moich oczach dowód był pewny, że zbrodniarz chciał zwrócić podejrzenie na ojca Jakuba. To mi pozwoliło powiedzieć do niego, o ile pamiętasz, że ponieważ znaleziono beret w tym nieszczęsnym pokoju, musi on być podobny do jego beretu i opisałem mu chustkę zupełnie podobną do tej, jakiej używał. Larsan i ja jesteśmy w zgodzie aż dotąd, ale od tego punktu – nie. I to będzie straszne, bo on z całą dobrą wiarą idzie w błąd, który ja będę musiał zwalczyć **niczym!**

Byłem zdumiony tonem głębokiej powagi, z jakim mój młody przyjaciel wymówił te słowa.

I znowu powtórzył:

— Tak, straszne, straszne!... Ale czyż naprawdę znaczy to walczyć **niczym** gdy się walczy **myślą!** W tej chwili szliśmy poza zamkiem. Noc już była. Na pierwszym piętrze okno było otwarte. Słabe światło padało stamtąd i szmer jakiś, który zwrócił naszą uwagę. Zbliżyliśmy się aż do wgłębienia drzwi, które znajdowały się pod oknem. Rouletabille oznajmił mi szeptem, że to okno wychodzi z pokoju panny Stangerson. Głosy, które nas zatrzymały ucichły na chwilę, po czym znów się odezwały. Jakieś jęki tłumione... Zdołaliśmy pochwycić zaledwie trzy słowa, które doszły nas wyraźniej: *Mój biedny Robert*. Rouletabille, położył mi rękę na ramieniu i pochylając się rzekł cicho do mego ucha:

— Gdybyśmy mogli wiedzieć, co mówią w tym pokoju, moje poszukiwania byłyby wkrótce skończone...

Obejrzał się wokoło; zmierzch jesienno-wieczornego nieba otaczał; nie widzieliśmy nic poza trawnikiem otoczonym drzewami, który rozciągał się za zamkiem. Jęki znów ustały.

— Ponieważ nie można słyszeć, trzeba przynajmniej spróbować widzieć... — rzekł Rouletabille.

I dając znak, aby cicho stąpać, pociągnął mnie za sobą na trawnik, do bladego pnia silnej brzozy, której linia rysowała się w ciemności. Ta brzoza wznosiła się właśnie wprost okna, które nas zajęło i jej pierwsze gałęzie były prawie na wysokości pierwszego piętra zamku. Z tych gałęzi z pewnością można było widzieć, co się działo w pokoju panny Stangerson; taka też była myśl Rouletabille'a, bo nakazując mi milczenie, objął pień swymi młodymi, silnymi ramionami i począł się piąć. Wkrótce znikł wśród gałęzi i zapanowała głęboka cisza.

Tam, naprzeciwko mnie, otwarte okno było wciąż oświetlone. Nie widziałem na tym świetle żadnego przesuwającego się cienia. Drzewo, ponad mną, stało milczące; oczekiwałem; naraz moje ucho pochwyciło wśród gałęzi drzewa te słowa:

— Pan pierwszy!

— Po panu, proszę pana!

Rozmawiano tam wysoko, ponad moją głową... Robiono sobie grzeczności i jakież było moje zdumienie, gdy na wysmukłym pniu drzewa spostrzegłem dwa ciała ludzkie, które wkrótce stanęły na ziemi, Rouletabille poszedł tam sam jeden, a schodził **we dwóch!**

— Dobry wieczór, panie Sainclair!

Był to Fryderyk Larsan... Agent policji już zajmował punkt obserwacyjny, gdy mój młody przyjaciel myślał, że będzie sam jeden... Ani jeden, ani drugi, zresztą, nie zauważyli mego zdziwienia. Łatwo zrozumiałem, że z wysokości swego obserwatorium musieli być świadkami jakiejś sceny pełnej tkiwości i rozpachy między panną Stangerson leżącą w swym łóżku i Robertem Darzakiem klęczącym u jej wezgłowia. Już każdy zdawał się sprytnie stąd wyciągać swoje różne wnioski. Łatwo było się domyślić, że ta scena wywołała silne wrażenie w umyśle Larsana, stwierdziła tylko najdoskonalszą hipokryzję zasiloną wyższą sztuką narzeczonego panny Stangerson.

Kiedyśmy się zbliżali do furty parkowej, Larsan nas zatrzymał:

— Moja laska! — zawołał...

— Zapomniał pan swojej laski? zapytał Rouletabille.

— Tak, odrzekł agent policji... Zostawiłem ją tam, pod drzewem...

I opuścił nas, mówiąc, że wkrótce do nas powróci.

— Czyś zauważył laskę Fryderyka Larsana? — zapytał reporter, kiedyśmy zostali sami.
— To zupełnie nowa laska... Nie widziałem jej nigdy... Zdaje się bardzo dla niego cenna... Nie opuszcza jej... Można powiedzieć, że się obawia, aby nie wpadła w obce ręce...

Dotąd, nie widywałem nigdy laski u Fryderyka Larsana. Gdzie ją znalazł? To zupełnie naturalne nie jest, aby człowiek, który dotąd nigdy laski nie używał, nie zrobił jednego kroku bez laski – teraz, nazajutrz po zbrodni w Glandier... W dniu naszego przybycia do zamku, kiedyśmy go zauważyli schował swój zegarek do kieszeni i podniósł z ziemi laskę ruchem, do którego może niesłusznie nie przywiązywałem żadnej wagi!

Byliśmy już może poza parkiem; Rouletabille nic nie mówił... Jego myśl widocznie nie opuszczała laski Fryderyka Larsana. Miałem tego dowód, kiedy schodząc do Epinay, powiedział mi:

— Fryderyk Larsan przybył do Glandier przede mną; rozpoczął swoje poszukiwania przede mną; miał czas dowiedzieć się rzeczy, **których ja nie wiem**. Gdzie on znalazł tę laskę?...

Po czym dodał:

— Możliwe jest, że jego posądzenie – więcej niż posądzenie, jego rozumowanie – które ciąży wprost przeciw Robertowi Darzacowi, jest ugruntowane na czymś dotykającym, niechże się więc on dotyka, a ja się nie będę dotykał. Czyżby to była ta laska?... Gdzie u diabła mógł znaleźć tę laskę?...

W Epinay trzeba było czekać dwadzieścia minut na pociąg; weszliśmy do restauracji.

Prawie zaraz po nas drzwi się otworzyły i ukazał się Fryderyk Larsan, potrząsając swoją laską...

— Znalazłem ją! — zawołał, śmiejąc się.

Wszyscy trzej usiedliśmy za stołem. Rouletabille nie spuszczał z oczu laski; był tak nią pochłonięty, że nie zauważył znaku porozumienia, z którym Fryderyk Larsan zwrócił się do urzędnika kolei żelaznej, młodego człowieka, którego podbródek pokrywał się drobną jasną bródką źle uczesaną. Urzędnik wstał, zapłacił należność, uklonił się i wyszedł. Nie zwróciłbym żadnej uwagi na ten znak, gdyby mi się nie przypomniał w kilka dni później, po poznaniu jasnej bródki w jednej z najtragiczniejszych chwil tego opowiadania. Dowiedziałem się wówczas, że jasna bródka był agentem Larsana zobowiązanym przez niego obserwować przyjazdy i wyjazdy podróżnych ze stacji Epinay-sur-Orge, ponieważ Larsan nie zaniedbał niczego, co mogło mu być użyteczne.

Podniosłem oczy na Rouletabille'a.

— Ach! panie Frydzie — powiedział — odkądże pan ma tę laskę? Zawsze pana widywałem chodzącego z rękami w kieszeniach.

— To w podarunku otrzymałem — odrzekł agent policji.

— Chyba niedawno — badał Rouletabille.

— Nie, ofiarowano mi w Londynie.

— To prawda, pan wraca z Londynu, panie Frydzie... Czy można zobaczyć pańską laskę?

— Czemuż by nie?

Fryd podał laskę Rouletabille'owi. Była to duża, żółta laska z bambusa z dziobem wronim, ozdobiona złotym pierścieniem.

Rouletabille oglądał ją szczegółowo.

— A tak — rzekł, podnosząc głowę zuchowato — ofiarowano panu w Londynie laskę z Francji!

— To możliwe — rzekł Fryd, niezmiuszony...

— Czytaj pan, jest tu napis maleńkimi literami: *Casette, 6 bis, Opera*.

— Wszakże można prać naszą bieliznę w Londynie — odpowiedział Fryd — i Anglicy mogą kupować laski w Paryżu.

Rouletabille oddał laskę. Kiedy umieścił mnie w przedziale, rzekł:

— Zapamiętałeś adres?

— Tak, *Casette, 6 bis, Opera*... Licz na mnie, jutro rano otrzymasz wiadomość.

Tegoż jeszcze wieczora w Paryżu, widziałem właściciela sklepu lasek i parasoli, pana M. Casette, i pisałem do mego przyjaciela:

Jakiś mężczyzna łudząco podobny do pana Roberta Darzaca – teźże figury, lekko pochylony, z taką samą bródką, w brązowym palcie i w meloniku na głowie – przyszedł kupić taką laskę w sam wieczór zbrodni, około godz. 8-ej wieczorem.

Pan Casette nie sprzedał podobnej laski od dwóch lat. Laska Fryda jest nowa. Więc jest to ta sama, którą ma w rękach. To nie on kupował, bo był wtedy w Londynie. Jak ty myślisz, sądzę, że znalazł ją koło Roberta Darzaca... Ale jeśli, wedle twego twierdzenia, zbrodniarz od godziny piątej był w żółtym pokoju, i ponieważ dramat miał miejsce około północy, kupno tej laski stanowi niezawodne alibi dla pana Roberta Darzaca.

Rozdział XIII

Plebania nie straciła nic ze swego uroku, ani ogród ze swego blasku

W osiem dni po powyżej opisanych wypadkach, dnia 2 listopada otrzymałem w mym mieszkaniu w Paryżu depeszę następującej treści:

Przybywaj do Glandier pierwszym pociągiem. Przywieź rewolwery. Pozdrowienie. Rouletabille.

Mówiłem, zdaje mi się, już o tym, że w tym czasie jako nowo rozpoczynający adwokat prawie pozbawiony spraw, bywałem w gmachu sądu raczej, aby się poznać z obowiązkami mego zawodu, niż dla obrony wdowy lub sieroty. Nie mogłem więc dziwić się, że Rouletabille tak rozporządzał moim czasem, wiedział zresztą, jak bardzo mnie zajmowały jego przygody dziennikarskie, a w szczególności sprawa Glandier. Nie miałem innych wiadomości o niej od ośmiu dni prócz niezliczonych plotkarzy gazeciarskich i kilku krótkich notatek Rouletabille'a w *Epoce*. Te notatki omawiały uderzenie kością baranią, i ogłaszały, że analiza śladów zostawionych na kości, wykazała rzeczywiście krew ludzką, były tam świeże ślady krwi panny Stangerson i ślady dawne, pochodzące widać ze zbrodni przed latami popełnionych... Łatwo się domyśleć, jak ta sprawa poruszyła znów prasę całego świata. Żadna głośna zbrodnia nie intrygowała nigdy bardziej umysłów. Zdawało mi się jednak, że śledztwo zupełnie się nie posuwało; bardzo więc byłem zadowolony z otrzymanego zaproszenia, gdyby jednak depesza nie zawierała tych słów: *Przywieź rewolwery*.

Oto co mnie mocno zaniepokoiło. Jeśli Rouletabille telegrafował, aby przywieźć rewolwery, to widocznie przewidywał sposobność użycia ich. Wyznaję bez wstydu: nie jestem bohaterem. Ale cóż! Chodziło o przyjaciela, który pewnie znajduje się w niebezpieczeństwie, wzywał mnie na pomoc; nie wahałem się dłużej i sprawdzwszy, że jedyny rewolwer, który posiadam, był dobrze przygotowany, udałem się na dworzec Orleański. W drodze pomyślałem, że jeden rewolwer stanowi jedną broń, a w depeszy Rouletabille żądał tego w liczbie mnogiej; wstąpiłem więc do magazynu i kupiłem mały, doskonały rewolwer, który z radością mogłem ofiarować memu przyjacielowi.

Spodziewałem się zastać Rouletabille'a na stacji w Epinay, ale go tam nie było. Oczekiwał mnie jednak kabriolet, wkrótce znalazłem się w Glandier. Nikogo przy furcie. Dopiero na progu zamku spostrzegłem młodego człowieka. Kłaniał mi się ruchem przyjacielskim i wnet pochwycił mnie w swoje ramiona, dopytując z serdecznością o zdrowie.

Kiedyśmy się znaleźli w małym starym saloniku, o którym już wspominałem, Rouletabille, posadziwszy mnie, rzekł zaraz:

- Żle idzie!
- Co źle idzie?
- Wszystko!

I zbliżając się do mnie, powierzył mi na ucho:

— Fryderyk Larsan poważnie dąży przeciwko Robertowi Darzacowi.

Mnie to zupełnie nie zdziwiło, bo pamiętałem chwilę, kiedy narzeczony panny Stangerson zbladł na widok śladów swoich kroków.

Jednak zauważyłem zaraz:

— Cóż więc? A laska?

— Laska! Zawsze jest w rękach Fryderyka Larsana, **który jej nie porzuca.**

— Ale... czyż ona nie dostarcza alibi dla pana Roberta Darzaca?!

— Nigdy w świecie. Pan Darzac zapytywany przeze mnie poufnie, zaprzecza, iżby kupował tego wieczora czy któregośkolwiek innego laskę u pana Cassette... Cokolwiek bądź — rzekł Rouletabille — **za nic nie ręczę**, bo pan Darzac miewa tak dziwne chwile milczenia, **że trudno wiedzieć, jak należy myśleć o tym, co on mówi.**

— W przekonaniu Fryderyka Larsana, ta laska musi być bardzo cenna jako przedmiot dowodowy... Ale jakim sposobem? Bo, biorąc pod uwagę porę jej kupna, nie mogła znajdować się w rękach zbrodniarza...

— Godzina nie będzie krępowała Larsana... On nie jest zmuszony uznawać mego systemu, który polega na dostaniu się zbrodniarza do żółtego pokoju między piątą a szóstą; cóż mu przeszkadza określić jego wejście na dziesiątą lub jedenastą wieczorem? W tej chwili istotnie pan Stangerson i panna Stangerson przy pomocy ojca Jakuba zajęci byli bardzo poważnym doświadczeniem chemicznym w tej części laboratorium, która jest zastawiona piecykami. Larsan utrzymuje, że zbrodniarz wślizgnął się poza ich plecami, jakkolwiek nieprawdopodobne to się zdaje... Mówił to już wobec sędziego śledczego... Rozumowanie to rozpatrywane bliżej jest głupie, biorąc pod uwagę, że ktoś zaufany — jeśli jest zaufanym — musiałby wiedzieć, że profesor wkrótce opuści pawilon; i bezpieczeństwo jego wymagałoby, aby odłożył swe czynności aż do wyjścia profesora... Po cóż miałyby się narażać, przechodząc przez laboratorium w chwili, gdy profesor tam był? A poza tym, kiedy mógłby zaufany wejść do pawilonu?... Tyle punktów do wyświetlenia, zanim przyjmimy „kompozycję Larsana”. Co do mnie, nie będę tracił na nią swego czasu, bo **mam mój system nieomylny**, który mi nie pozwala zajmować się tamtą kompozycją! Tylko ponieważ zniewolony jestem chwilowo milczeć, a Larsan nieraz mówi... być może, że wszystko się złoży na szkodę pana Roberta Darzaca... **Gdybym ja tu nie był!** — z dumą dodał młody człowiek. — Bo są przeciwko Darzacowi inne jeszcze „znaki wewnętrzne”, inaczej groźne niż ta historia z laską, która dla mnie jest niepojęta, tym bardziej niepojęta, że Larsan bez ceremonii pokazuje się z tą laską wobec pana Darzaca, do którego miałyby należeć! Rozumiem wiele rzeczy w systemie Larsana, ale nie rozumiem jeszcze laski.

— Czy Fryderyk Larsan jest ciągle w zamku?

— Tak; nie opuszcza go zupełnie! Nocuje tu jak ja na prośbę pana Stangerson. Pan Stangerson robi dla niego tyle co Robert Darzac dla mnie. Posądzonemu przez Fryderyka Larsana, że zna zbrodniarza i że pomagał mu w ucieczce, panu Stangersonowi zależy na ułatwieniu swemu oskarżycielowi wszystkich środków, wiodących do wykrycia prawdy. Tak samo postępuje pan Robert Darzac wobec mnie.

— Ale ty jesteś przekonany o niewinności pana Roberta Darzaca.

— Chwilowo myślałem o możliwości jego współdziałania. To było wtedy, gdyśmy tu po raz pierwszy przybyli. Mogę ci teraz powiedzieć, co zaszło wówczas między mną i panem Darzakiem.

Tu Rouletabille przerwał zapytując, czy broń przywiozłem. Pokazałem mu oba rewolwery. Obejrzał je.

— To doskonale! — rzekł, oddając je mnie.

— Czy będą nam potrzebne? — zapytałem.

— Zapewne dziś wieczór, nocujemy tu dzisiaj, to ci nie przeszkadza?

— Przeciwnie — rzekłem, ale z takim grymasem, że wywołał śmiech Rouletabille'a.

— No! no! — mówił po chwili — nie czas na śmiechy. Mówmy poważnie. Przypominasz sobie to zdanie, które stało się tajemniczym zaklęciem w tym zamku: *Sezamie, otwórz się!*

— Tak — rzekłem — doskonale: *Plebania nie straciła nic ze swego uroku, ani ogród ze swego blasku*. To samo zdanie na skrawku papieru na wpół przepalonego znalazłaś wśród węgla w laboratorium.

— Tak i u dołu tego papieru płomień osmalił datę. *23 października*. Pamiętaj tę datę, jest bardzo ważna. Teraz ci powiem, co jest w tym śmiesznym zdaniu. Nie wiem, czy wiesz, że w przeddzień zbrodni, to jest 23 października, pan i panna Stangerson byli na przyjęciu w Pałacu Elizejskim. Zdaje mi się, że byli nawet na obiedzie. W każdym razie byli na przyjęciu, bo tam ich widziałem. Byłem z obowiązku zawodowego. Miałem zrobić wywiad z jednym z tych uczonych Akademii Filadelfii, którego goszczono tego dnia. Aż do owego dnia, nigdy nie widziałem pana ani panny Stangerson. Siedziałem w salonie, który poprzedza Salon Ambasadorów i zmęczony, potrącany przez tyle znakomitych osobistości, pogrążyłem się w zadumie, gdy naraz poczułem powiew perfum czarnej damy. Zapytasz mnie: *co to są perfumy czarnej damy?* Niech ci to wystarczy, że to są perfumy, które bardzo lubilem, bo używała ich pewna dama, zawsze czarno ubrana, która okazywała mi prawdziwie macierzyńską dobroć w pierwszych latach mego dzieciństwa. Dama, która tego dnia była uperfumowana tym zapachem czarnej damy, miała suknię białą i była cudownie piękna. Nie mogłem się powstrzymać, powstałem i podążyłem za nią i za jej perfumami. Jakiś starzec prowadził pod rękę tę piękność. Każdy się odwracał za nimi, kiedy przechodzili i posłyszałem szept: *To profesor Stangerson i córka jego!* W ten sposób dowiedziałem się za kim dążyłem. Spotkali pana Roberta Darzaca, którego znałem z widzenia. Profesor Stangerson, spotkawszy jednego z uczonych amerykańskich, Artura Wiliama Rance'a, siadł w fotelu w wielkiej galerii, a pan Robert Darzac poprowadził pannę Stangerson do oranżerii. Śledziłem ich ciągle. Powietrze tego wieczoru było łagodne; drzwi na ogród były otwarte. Panna Stangerson zarzuciła na ramiona lekką zarzutkę i widziałem dobrze, że to ona prosiła pana Darzaca, aby się z nią usunął w mniemaną samotność ogrodu. Śledziłem ich jeszcze zaintrygowany silnym wzruszeniem, które okazywał pan Darzac. Szli teraz wolno wzdłuż muru, który się ciągnie z boku alei Marigny. Poszedłem główną aleją. Posuwałem się równolegle z ich dwiema postaciami. A potem podążyłem przez trawnik, aby im drogę przeciąć. Noc była ciemna, trawa tłumiała moje kroki. Zatrzymali się w chwiejnym blasku latarni gazowej, jakby pochyleni oboje nad papierem, który trzymała panna Stangerson i czytając coś z wielkim zaciekawieniem. Zatrzymałem się także. Otaczała mnie ciemność i cisza. Nie spostrzegli mnie zupełnie, wtedy posłyszałem wyraźnie pannę Stangerson, która powtarzała, składając papier: *Plebania nie straciła nic ze swego uroku, ani ogród ze swojego blasku!* Było to wymówione tonem zarazem szyderczym i zrozpaczonym, nastąpił potem wybuch takiego nerwowego śmiechu, że zdaje mi się, pozostanie to zdanie na zawsze w mych uszach. Lecz było wymowne i inne zdanie przez pana Darzaca wypowiedziane: *A więc, aby panią osiąść, trzeba mi popełnić zbrodnię?* Pan Robert Darzac był w nadzwyczajnym podnieceniu, ujął rękę panny Stangerson, podniósł ją do ust i zdawało mi się po ruchu jego ramion, że płacze. Potem się oddalili. Kiedy powróciłem do wielkiej galerii, nie widziałem już pana Roberta Darzaca i nie zobaczyłem go już więcej, aż w Glandier po zbrodni – ale widziałem pannę Stangerson i pana Stangersona, i delegowanych z Filadelfii. Panna Stangerson siedziała obok Artura Rance'a, który mówił coś do niej z ożywieniem a oczy Amerykanina błyszczały dziwnym blaskiem. Myślę, że panna Stangerson nie słuchała nawet tego, co jej opowiadał Artur Rance, bo twarz jej wyrażała najzupełniejszą

obojętność. Artur Wiliam Rance to sangwinik o twarzy krostowatej, który lubi bardzo dżin. Kiedy państwo Stangersonowie odjechali, zbliżył się do bufetu i nie opuścił go już. Zbliżyłem się do niego i oddałem mu parę usług w tym tłoku. Podziękował mi i oznajmił, że wyjeżdża do Ameryki za trzy dni, to jest 26 października (nazajutrz po zbrodni). Mówiłem mu o Filadelfii. Oznajmił, że mieszka tam od dwudziestu pięciu lat i że tam właśnie poznał znakomitego profesora i jego córkę. W tym miejscu zabrał się do szampana i sądząc, że nie przestanie go nigdy pić, opuściłem prawie pijanego. Taki był mój wieczór, drogi przyjacielu. Nie wiem, mocą jakiego przeczucia podwójny obraz pana Roberta Darzaca i panny Stangerson nie opuszczał mnie w nocy i możesz się domyślić, jakie wrażenie wywołała we mnie wiadomość o morderstwie panny Stangerson. Jakże nie pamiętać tych słów: *Czyż mam popełnić zbrodnię, aby panią osiąść?* Ale nie to zdanie powiedziałem panu Robertowi Darzacowi przy spotkaniu w Glandier. Ale to, w którym jest mowa o plebanii i czarującym ogrodzie, które panna Stangerson zdawała się czytać z papieru trzymanego w ręku. To wystarczyło, aby nam otworzono na oścież drzwi zamku. Czy w owej chwili myślałem, że pan Robert Darzac jest mordercą? Nie! Sądzę, że tego nie myślałem. W tej chwili nie myślałem poważnie o niczym. Miałem tak mało danych. Ale potrzebowałem, aby mi dowiódł natychmiast, że nie był raniony w rękę. Kiedyśmy się znaleźli sami, opowiedziałem mu to, co przypadek pozwolił mi pochwycić z jego rozmowy z panną Stangerson w Ogrodzie Elizejskim; a kiedy powiedziałem mu, że słyszałem te słowa: *Czy mam popełnić zbrodnię, aby panią osiąść?* był zupełnie strwożony, ale mniej naturalnie, niż poprzednio zdaniem o plebanii. W największe go jednak wprawiło przerażenie, kiedy z mych ust posłyszał, że w dniu, w którym spotkał się z panną Stangerson w Pałacu Elizejskim, ona popołudniu była w biurze pocztowym 40 po list, który był zapewne tym samym listem, który potem czytali we dwoje w Ogrodzie Elizejskim, i który się kończył słowami: *Plebania nie straciła nic ze swego uroku, ani ogród ze swego blasku!* To przypuszczenie potwierdziło mi zresztą odnalezienie, przypomnij sobie, pomiędzy węglami w laboratorium, kawałka listu tego, z datą 23 października. List był pisany i odebrany z biura tego samego dnia. Nie ma wątpliwości, że, wracając z Pałacu Elizejskiego tej samej nocy, panna Stangerson chciała spalić ten list kompromitujący. Próżno pan Darzac zaprzecza, żeby ten list miał jakikolwiek związek ze zbrodnią. Powiedziałem mu, że w tej sprawie tajemniczej on nie ma prawa ukrywać przed sądem epizodu z listem, że przeciwnie, jestem przekonany, że ma to ogromną doniosłość; że ton zrozpaczony, z jakim panna Stangerson wymówiła owo zdanie; że jego płacz, że ta groźba zbrodni, którą wygłosił po odczytaniu tego listu, nie pozwalają mi o tym wątpić dłużej. Robert Darzac był coraz więcej strwożony. Postanowiłem korzystać z mej przewagi.

— Pan miał się żenić, panie — rzekłem niedbale, nawet nie patrząc na mego interlokutora — i małżeństwo to naraz staje się niemożliwe z powodu autora tego listu, bo bezpośrednio po odczytaniu tego listu pan mówił o zbrodni koniecznej, aby osiąść pannę Stangerson. Jest więc ktoś między panem a panną Stangerson, ktoś kto jej broni wyjścia za mąż, ktoś, kto ją zabija, zanim ona pójdzie do ślubu!

I kończyłem tę przemowę tymi słowy:

— Teraz pozostaje tylko, aby mi pan wyjawiał imię zbrodniarza!

Musiałem, bez wątpienia mówić rzeczy olbrzymiej doniosłości. Gdy podniosłem wzrok na Roberta Darzaca, zobaczyłem twarz zupełnie zmienioną, czoło potem pokryte i oczy pełne przerażenia.

— Panie — rzekł — chcę pana prosić o jedną rzecz, która się może wydać panu nierozumną, ale za którą w zamian gotów jestem oddać życie. Niech pan nie mówi przed sądem tego, co pan widział i słyszał w Ogrodzie Elizejskim... ani wobec sędziów, ani przed nikim w świecie. Przysięgam panu zem niewinny i czuję, i wiem, że pan mi wierzy, ale wolałabym raczej

zostać posądzonym, niż gdyby posądzenia sędziów zwróciły się przeciw temu zdaniu: *Plebania nie straciła nic ze swego uroku, ani ogród ze swego blasku*. Sędziowie nie mogą wiedzieć o tych słowach. Cała ta sprawa do pana należy, oddaję ją panu, ale niech pan zapomni ów wieczór w Pałacu Elizejskim. Będzie pan miał sto innych dróg poza tą, które pana doprowadzą do odkrycia zbrodniarza; otworzę je panu, pomogę panu. Czy chce pan tu zamieszkać? Jadać i sypiać tutaj? Czuwać nad moimi czynami i nad czynami innych? Będzie pan w Glandier, jak gdyby pan był panem, ale zapomnij pan o wieczorze w Pałacu Elizejskim.

Tu zatrzymał się Rouletabille, aby odsapnąć nieco. Teraz dopiero zrozumiałem dziwne zachowanie się pana Roberta Darzaca w stosunku do mego przyjaciela i łatwość, z jaką tenże usadowił się na miejscu zbrodni. Wszystko, czego się dowiedziałem, pobudziło jeszcze bardziej moją ciekawość. Co się stało w Glandier w ciągu tego tygodnia? Mój przyjaciel zaznaczył mi przecież, że znalazły się teraz przeciwko panu Darzacowi dane zewnętrzne inaczej groźne niż laska odnaleziona przez Larsana?

— Wszystko zdaje się obracać przeciw niemu — odrzekł mój przyjaciel, i położenie staje się nad wyraz poważne. Pan Robert Darzac, zdaje się zupełnie nie troszczyć tym; nie ma racji; ale go nic nie obchodzi poza zdrowiem panny Stangerson, które rzeczywiście z każdym dniem się poprawiało, aż do chwili zdarzenia, jeszcze bardziej tajemniczego, niż tajemnica żółtego pokoju!

— To niemożliwe! — zawołałem — a jakież zdarzenie być może bardziej tajemnicze, niż tajemnica żółtego pokoju?

— Powróćmy pierw do pana Roberta Darzaca — rzekł Rouletabille, uspakajając mnie. — Powiedziałem ci, że wszystko zwraca się przeciwko niemu. „Kroki eleganckie” odnalezione przez Fryderyka Larsana, zdają się być krokami narzeczonego panny Stangerson. Ślad roweru może być śladem jego roweru; ta sprawa była zbadana. Odkąd ma ten rower, zostawiał go zawsze w pałacu. Czemuż odprowadził go do Paryża właśnie w takiej chwili? Czy nie miał zamiaru już wrócić do zamku? Czy zerwanie projektowanego małżeństwa miało pociągnąć za sobą zerwanie stosunków ze Stangersonami? Każdy z nich mówi, że te stosunki miały być zachowane. A więc Fryderyk Larsan myśli, że wszystko było zerwane. Od dnia, w którym pan Robert Darzac towarzyszył panie Stangerson do wielkich magazynów Louvre’u, aż do następnego dnia po zbrodni eks-narzeczonego nie był w Glandier. Należy pamiętać, że panna Stangerson zgubiła swój woreczek o miedzianej główce, będąc w towarzystwie pana Roberta Darzaca. Od tego dnia, aż do wieczora w pałacu Elizejskim, panna Stangerson i profesor Sorbony nie widzieli się. Ale może pisywali do siebie. Panna Stangerson jeździła po list poste restante do biura 40, po list, który Fryderyk Larsan uważa za list Roberta Darzaca, bo Larsan, który naturalnie nie wie o tym, co było w Pałacu Elizejskim, myśli, że to sam Robert Darzac skradł woreczek i kluczyczek celem przełamania postanowienia panny Stangerson. Przywłaszcza sobie najdrogocenniejsze papiery jej ojca, aby zwrócić pod warunkiem małżeństwa. Wszystko to byłoby hipotezą wątpliwą i nawet absurdem, gdyby nie było jeszcze rzeczy innej, daleko poważniejszej. Najpierw, rzecz dziwna, której i ja zrozumieć nie mogę; to, że Darzac dwudziestego czwartego we własnej osobie chodził do biura, dopytując o list, który już w przeddzień był odebrany przez pannę Stangerson; opis człowieka, który był w biurze, najzupełniej odpowiada powierzchowności pana Roberta Darzaca. Ten, na pytania stawiane przez sędziego śledczego celem prostego objaśnienia, zaprzecza jakoby był w biurze pocztowym; i ja wierzę panu Robertowi Darzacowi, bo, nawet przypuszczając, że to on pisał list – o co go nie posądzam – on wiedział, że panna Stangerson odebrała go, czytała mu bowiem sama w Ogrodzie Elizejskim. Więc to nie on był dwudziestego czwartego w biurze 40, żądając listu, którego już tam nie było. Według mnie, jest to ktoś dziwnie do niego podobny, jest to właśnie ów złodziej woreczka, który w tym liście żądał czegoś od jego właścicielki, panny

Stangerson – **czegoś, czego nie otrzymał**. Musiał być tym zdziwiony i zapytywał sam siebie, czy ten list, który wysłał z napisem na kopercie: M. A. T. H. S. N. został odebrany. Dlatego udał się do biura pocztowego i tak natarczywie żądał listu. Potem odchodzi wściekły. List był odebrany, a to, czego żądał, nie zostało mu przyznane! Czego on żądał? Nikt tego nie wie, prócz panny Stangerson. W każdym razie, na drugi dzień, dowiadujemy się, że panna Stangerson w nocy została prawie zamordowana, i co nazajutrz wykryłem, że pan profesor został zarazem okradziony za pomocą tego kluczyka, który był przedmiotem owego listu poste restante. Tak więc, mnie się zdaje, że człowiek, który był w biurze pocztowym, musiał być zbrodniarzem; i całe to rozumowanie, najlogiczniejsze w świecie o przyczynach postępowania człowieka w biurze Fryderyk Larsan uznaje, ale, stosuje to do Roberta Darzaca. Domyślisz się, że sędzia śledczy i Larsan, i ja robiliśmy wszystko, aby mieć z biura pocztowego dokładne szczegóły o dziwnej osobistości z dnia 24 października. Ale nie można było się dowiedzieć, ani skąd przychodził, ani dokąd odszedł! Poza tym opisem, upodabniającym go do Roberta Darzaca, nic! Ogłosiłem w największych dziennikach: *Wysoka nagroda będzie przyznana dorożkarzowi, który odwoził pasażera do biura pocztowego 40 rankiem dnia 24 października, koło godziny 10. Zgłaszać się do redakcji Epoki i pytać M. R. i to nic nie dało.* Ostatecznie ten człowiek może pieszo przyszedł; ale ponieważ się spieszył, można się domyślać, że przybył dorożką. W moim ogłoszeniu w dzienniku nie dałem rysopisu człowieka, ażeby wszyscy dorożkarze, którzy mogli w tej godzinie odwozić pasażerów do biura, przyszli do mnie. Ani jeden nie przyszedł. Dniem i nocą zadaję sobie pytanie: Któż jest ten człowiek, tak dziwnie podobny do Roberta Darzaca, który także kupował laskę trzymaną w rękach Fryderyka Larsana? **Najważniejsze ze wszystkiego jest to, że Robert Darzac, miał mieć wykład w Sorbonie o tej samej godzinie, godzinie, kiedy jego sobowtór zjawił się w biurze pocztowym – i tego wykładu nie miał.** Jeden z przyjaciół zastąpił go. A kiedy go zapytują, jak spędził ten czas, odpowiada, że spacerował po Lasku Bulońskim. Cóż myślisz o takim profesorze, który posyła zastępcę na wykład, a sam przechadza się po Lasku Bulońskim? I trzeba ci jeszcze wiedzieć, że jeśli Robert Darzac przyznaje się, że rankiem 24 października przechadzał się po Lasku Bulońskim, nie może powiedzieć, jak spędził czas w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty!... Bardzo spokojnie odpowiedział Fryderykowi Larsanowi, który żądał od niego tej informacji, że to, co robił w tym czasie w Paryżu, do niego należy. Na co Fryderyk Larsan zaprzysiągł zupełnie głośno, że on teraz sam, dowie się, jak ten czas był użyty. Wszystko to, zdaje się, dostarcza pewnego materiału hipotezom wielkiego Fryda; tym więcej, że się zgadza teraz fakt obecności Roberta Darzaca w żółtym pokoju z wyjaśnieniem agenta policji sposobu ucieczki zbrodniarza; pan Stangerson mógł go przepuścić swobodnie, aby uniknąć strasznego skandalu! To jest zresztą hipoteza, którą uważam za fałszywą i tylko sprowadzi na manowce Fryderyka Larsana, a to bynajmniej by mi się nie podobało, gdyby tu nie szło o niewinnego! Teraz, czy ta hipoteza naprawdę mamy Fryderyka Larsana? Otóż to! Otóż to! Otóż to!

— Eh! być może, że Fryderyk Larsan ma rację! — zawołałem przerywając Rouletabille'owi. Czyś pewien, że pan Darzac jest niewinny? Mnie się zdaje, że to za wiele tych dziwnych poszlak...

— Poszlaki — odpowiedział — to najgorsi wrogowie prawdy.

— Cóż o tym myśli dzisiaj sędzia śledczy?

— Pan de Marquet, waha się uznać za winnego Roberta Darzaca bez żadnego pewnego dowodu. Nie tylko miałby przeciwko sobie całą opinię publiczną, nie licząc Sorbony, ale jeszcze i pana Stangersona. Oni uwielbiają Roberta Darzaca. Jakkolwiek ona mało widziała zbrodniarza, trudno byłoby przekonać publiczność, że nie rozpoznała Roberta Darzaca, gdyby to Robert Darzac był przestępcą. Żółty pokój zapewne był ciemny, ale wszakże mała lampka nocna

oświetliła go. Nie zapominajmy o tym. Oto mój przyjacielu, jak to było, kiedy przed trzema dniami, lub raczej trzema nocami, zdarzył się ten niesłychany wypadek, o którym ci zaraz opowiem.

Rozdział XIV

Dziś wieczorem oczekuję zbrodniarza

— Muszę — rzecze Rouletabille — zaprowadzić cię na to samo miejsce, abys mógł zrozumieć, albo raczej przekonać się, że niepodobna jest nie rozumieć. Co do mnie, myślę, że odnalazłem wreszcie to, czego wszyscy poszukują daremnie, to jest sposób, w jaki zbrodniarz wyszedł z żółtego pokoju bez współudziału czyjegokolwiek i bez wplątania w to pana Stangersona. Dopóki jednak nie będę zupełnie pewny osobistości zbrodniarza, nie mogę mówić, jaka jest moja hipoteza, ale myślę, że ta hipoteza jest sprawiedliwa a w każdym razie jest zupełnie naturalna, chcę powiedzieć, zupełnie prosta. Co do tego, co zaszło przed trzema nocami tu, w tym samym zamku, w ciągu dwudziestu czterech godzin wydawało mi się przechodzącym wszelką zdolność imaginacji. Co więcej hipoteza, która teraz powstaje w głębi mojego ja, jest takim absurdem, że chwilami wolę ciemność zupełnej nieświadomości.

Potem młody reporter zaproponował mi spacer i obeszlśmy zamek wokoło. Pod naszymi stopami chrzęściły zeschnięte liście, były to jedyne szmery, jakie słyszałem, zdawało się, że zamek jest zupełnie opuszczony. Te stare mury, ta woda stojąca w fosach otaczających wieżycę, ta ziemia zasępiiona, pokryta całunem ostatniego lata, czarne szkielety drzew, wszystko to jakby się współubiegało, by nadać tej smutnej miejscowości nawiedzonej dziką tajemnicą wygląd najbardziej posępny. Okrążając wieżycę, spotkaliśmy zielonego człowieka, gajowego, który przeszedł koło nas, nie kłaniając się nam wcale, jakbyśmy nie istnieli. Był takim, jak go widziałem po raz pierwszy przez okno oberży ojca Mathieu, jak wtedy miał fuzję, przewieszoną przez ramię, fajkę w ustach i binokle na nosie.

— To ptaszek! — rzekł z cicha Rouletabille.

— Czyś mówił z nim? — zapytałem.

— Tak, ale z niego nic wyciągnąć nie można... Odpowiada mruzeniem, wrusza ramionami i odchodzi. Mieszka w wieży na pierwszym piętrze, ma wielki pokój, który dawniej był oratorium. Siedzi tam jak niedźwiedź, wychodzi tylko z fuzją. Uprzejmy tylko z dziewczętami. Pod pozorem, że ściga kłusowników, wstaje często w nocy; ale podejrzewam go, że miewa wykwinne rendez-vous. Pokojowa panny Stangerson, Sylwia, jest jego kochanką. Obecnie jest mocno zakochany w żonie ojca Mathieu, oberżystce; ale ojciec Mathieu czuwa bardzo nad swoją żoną i myślę, że to wprost niemożliwe, aby zielony człowiek zbliżył się do pani Mathieu, co go czyni bardziej jeszcze ponurym i milczącym. Ładny chłop. Staranny o siebie, prawie elegant... Kobiety na cztery mile wokoło szaleją za nim.

Minąwszy wieżycę, która się znajduje na skraju lewego skrzydła, przeszliśmy w tył pałacu. Rouletabille rzekł, wskazując mi jedno okno, które poznałem jako należące do mieszkania panny Stangerson:

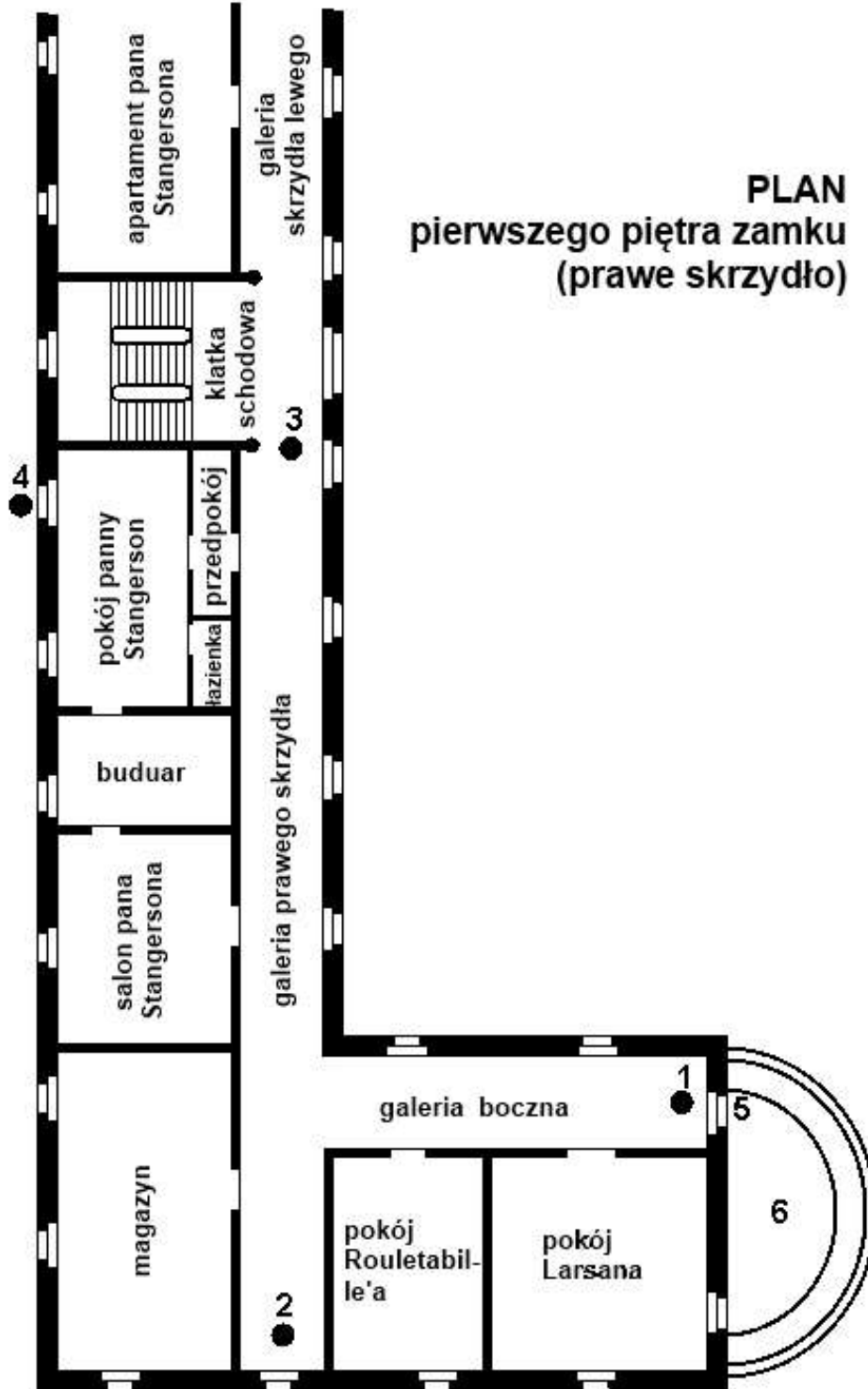
— Gdybyś był przechodził tędy nocy zaprzeszłej, o godzinie pierwszej, widziałbyś swego towarzysza na szczycie drabiny gotowego wejść do pałacu przez to okno!

Kiedy wyraziłem zdziwienie z powodu tej nocnej gimnastyki, prosił mnie, abym zwrócił pilną uwagę na rozkład zewnętrzny zamku, po czym wróciliśmy do wnętrza.

— Teraz muszę cię wprowadzić po pierwszym piętrze prawego skrzydła — rzekł mój

przyjaciel. — Tam właśnie mieszkam.

Dla oszczędzenia miejsca podaję czytelnikom plan pierwszego piętra tego prawego skrzydła, plan, narysowany przez Rouletabille'a nazajutrz po nadzwyczajnym zjawisku, które wkrótce poznają ze wszelkimi szczegółami.



PLAN
pierwszego piętra zamku
(prawe skrzydło)

1. Punkt, w którym Rouletabille umieścił Fryderyka Larsana
2. Punkt, w którym Rouletabille umieścił ojca Jakuba
3. Punkt, w którym Rouletabille umieścił pana Stangersona
4. Okno, przez które wszedł Rouletabille
5. Okno, które Rouletabille, wychodząc ze swego pokoju, zastał otwarte. Zamknął je.

Wszystkie inne okna i drzwi też są zamknięte.

6. Półkolisty taras ponad pokojem parterowym

Rouletabille dał mi znak, abym szedł za nim po wspaniałych schodach na pierwsze piętro. Tu znaleźliśmy się pośrodku długiej galerii. Galeria wysoka i szeroka ciągnęła się przez całą długość gmachu i miała okna w fasadzie zamku od strony północnej. W tej to galerii znajdowały się drzwi, wiodące do pokojów, których okna wychodziły na południe. Profesor Stangerson zamieszkiwał lewe skrzydło zamku. Panna Stangerson miała swój apartament w skrzydle prawym. Poszliśmy galerią prawego skrzydła. Wąski chodnik rozłożony na woskowanej posadzce lśniący jak lustro tłumiał odgłos kroków. Rouletabille przestrzegł mnie przyciszonym głosem, abym szedł ostrożnie, bo przechodziliśmy właśnie koło pokoju panny Stangerson.

Objął mi, że mieszkanie panny Stangerson składa się z jej pokoju, przedpokoju, łazienki, buduaru i salonu. Można było naturalnie przechodzić z jednego z tych pokoi do drugiego, niekoniecznie przechodząc przez galerię. Salon i przedpokój jedynie miały drzwi na galerię. Galeria ciągnęła się prosto aż do wschodniej ściany zamku, gdzie kończyła się na zewnątrz wysokim oknem (okno przy cyfrze 2 na planie) w dwóch trzecich swej długości ta galeria spotykała się pod kątem prostym z inną galerią, która zakręcała się wraz ze skrzydłem prawym zamku.

Dla jasności tego opowiadania będziemy nazywać galerię, która idzie od schodów do okna wschodniego galerią prawą, a koniec galerii, który skręca wraz ze skrzydłem prawym i tworzy z galerią prawą kąt prosty – galerią boczną. U zbiegu tych dwóch galerii był pokój Rouletabille'a przylegający do pokoju Fryderyka Larsana. Drzwi obu tych pokoi wychodziły na galerię boczną podczas, gdy drzwi mieszkania panny Stangerson wychodziły na galerię prawą.

Rouletabille pchnął drzwi swego pokoju, wprowadził mnie i zamknął drzwi za nami na zatrzask. Nie miałem jeszcze czasu rozejrzeć się po jego siedzibie, gdy Rouletabille wydał okrzyk zdziwienia, wskazując mi binokle leżące na stoliczku.

— Cóż to jest? — zapytał. — Co te binokle robią na moim stoliku?

Byłbym w wielkim kłopotcie, gdybym miał odpowiedzieć.

— Chyba, że to... — rzekł — chyba, że to... chyba, że te... binokle, są tym czego szukam... że to są binokle dalekovidza!

Literalnie rzucił się na binokle. Jego palce pieściły wypukłość szkła... i spojrzał na mnie przerażającym wyrazem.

— Och! Och!...

I powtórzył: — och!!! — jak gdyby nagle jego myśl uczyniła go szalonym...

Powstał, położył mi rękę na ramieniu, zaśmiał się jak wariat i rzekł:

— Przez te binokle oszaleję, bo widzisz... matematycznie biorąc, rzecz jest możliwa; ale, po ludzku biorąc, jest niemożliwa, albo może...

Zastukano dwa razy do drzwi pokoju.

Rouletabille otworzył; ktoś wszedł. Poznałem odźwierną, którą już raz widziałem przechodzącą koło mnie, kiedy ją prowadzono do pawilonu na przesłuchanie; byłem zdziwiony, bo myślałem, że wciąż siedzi pod kluczem. Kobieta rzekła cichym głosem.

— W szparze posadzki!...

Rouletabille odrzekł: — Dziękuję! — i postać znikła. Zamknął starannie drzwi i wracając do mnie, wymówił te niezrozumiałe słowa z wyrazem obłąkanym:

— Ponieważ matematycznie rzecz jest możliwa, czemuż by nią nie była po ludzku?... Ale jeśli rzecz jest po ludzku możliwa... Sprawa jest niesłychana!

Przerwałem Rouletabille'owi jego monolog.

— Więc odźwierni są już uwolnieni? — zapytałem.

— Tak — odrzekł — wpłynąłem na to, że ich uwolniono. Potrzebuję ludzi pewnych.

Kobieta jest mi zupełnie oddaną a on dałby się zabić dla mnie. A ponieważ binokle mają szkła dalekovidza, będę potrzebował z pewnością ludzi oddanych, którzy się dadzą zabić dla mnie!

— O! O! — zauważyłem — to nie żarty!... A kiedy trzeba będzie dać się zabić?...

— Ależ jeszcze dziś wieczorem, bo muszę ci powiedzieć, mój drogi, że dziś wieczorem oczekuję zbrodniarza!

— Oooo! oczekujesz zbrodniarza wieczorem... Naprawdę, naprawdę oczekujesz zbrodniarza wieczorem? To ty znasz zbrodniarza?...

— Oo!... Teraz być może, że go znam... Byłbym szalony, utrzymując stanowczo, że go znam, bo *matematyczne* pojęcie, jakie mam o zbrodniarzu, daje rezultaty tak przerażające, potworne, że spodziewam się jeszcze, że mogę się mylić! O, spodziewam się tego ze wszystkich sił!...

— Jeśli przed pięciu minutami jeszcze nie znalazłeś zbrodniarza, jak mogłeś mówić, że go oczekujesz dziś wieczorem?...

— Bo wiem, że musi przyjść.

Rouletabille napełnił powoli fajkę, powoli, i zapalił ją. To mi zapowiadało najciekawsze opowiadanie. W tej chwili ktoś, kto szedł przez korytarz, przeszedł pod naszymi drzwiami. Rouletabille słuchał. Kroki się oddaliły.

— Czy Fryderyk Larsan jest w swym pokoju? — zapytałem, wskazując na ścianę.

— Nie — odrzekł mój przyjaciel — nie ma go. Musiał dziś jechać do Paryża, jest zawsze na tropie Darzaca. Darzac też pojechał dziś rano do Paryża, wszystko to się skończy bardzo źle... Przewiduję uwięzienie pana Darzaca jeszcze w tym tygodniu... Najgorsze, że wszystko zdaje się składać przeciwko nieszczęśliwemu: zdarzenia, rzeczy, ludzie... Nie ma godziny, która by nie przyniosła nowego oskarżenia przeciw Darzacowi... Sędzia śledczy jest tym przybity i oszołomiony! Zresztą rozumiem, że można być oszołomionym!... Można być...

— Fryderyk Larsan nie jest jednak nowicjuszem.

— Tak myślałem — rzekł Rouletabille, z grymasem trochę lekceważącym. — Myślałem, że Fryd jest o wiele silniejszy niż to wszystko. Oczywiście jest nie pierwszy lepszy... Miałem nawet wiele uznania dla niego, póki nie poznałem jego metody pracy. Jest oplakana... Zawdzięcza swą opinię wyłącznie zręczności, ale brak mu umiejętności rozmowiania; matematyczna strona jego pomysłów jest uboga...

Patrzyłem na Rouletabille'a i nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, słuchając tego osiemnastoletniego malca, krytykującego człowieka lat pięćdziesięciu, który już dał się poznać jako najprzebieglejszy agent Europy.

— Uśmiechasz się? — rzekł Rouletabille. — Nie masz racji... Przysięgam ci, że go obalę... i to w sposób rozgłośny... ale muszę się spieszyć, bo on ma szanse kolosalne przede mną, szanse, które mu daje pan Robert Darzac i które Robert Darzac powiększy dziś wieczorem... Pomyśl tylko: za każdym razem, kiedy zbrodniarz przybywa do zamku, pan Robert Darzac przez szczególny zbieg okoliczności usuwa się i nie chce wyjawić, jak spędził ten czas!

— Za każdym razem, gdy zbrodniarz przybywa do zamku? — zawołałem. Więc on powraca.

— Tak w czasie tej pamiętnej nocy, gdy miało miejsce zjawisko...

Miałem więc poznać to sławne zjawisko, do którego Rouletabille od pół godziny już robił aluzje, nie wyjaśniając mi go. Ale nauczyłem się już nie naglić nigdy Rouletabille'a w jego opowiadaniach.

Wreszcie krótkimi, urywanymi zdaniem oznajmił mi rzeczy, które mnie pogrążyły w stan graniczący z kompletnym osłupieniem, bo w istocie zjawisko nawet tak mało znanej nauki jak hipnotyzm, nie są bynajmniej więcej niepojęte, jak **to zniknięcie materii zbrodniarza w chwili,**

gdy było czterech ludzi gotowych go ująć. Ta sprawa wydała mi się niepodobna do wytłumaczenia inaczej jak za pomocą jakiegoś zjawiska spoza sfery znanych praw naturalnych. A tymczasem, gdybym miał rozum Rouletabille'a, miałbym jak on *przezucie naturalnego jej wyjaśnienia* – bo najciekawszym wśród wszystkich tajemnic Glandier był sposób naturalny, jakim je Rouletabille wyjaśnił. Ale któżby mógł i kto będzie mógł kiedy pochwalić się mózgiem jego czoła, jakich nigdy nie widziałem na żadnym innym czole – jedynie może, choć mniej wydatne, o bardziej nikłym zarysie, na czole słynnego Fryderyka Larsana – te guzy Rouletabille'a rzucały się, że tak się wyrażę, w oczy.

Pomiędzy papierami, które po sprawie były mi wręczone przez młodego człowieka, mam notatnik, w którym znajduję dokładne sprawozdanie ze *zjawiska zniknięcia materii zbrodniarza* i refleksje, które to nasunęło memu przyjacielowi. Wolę przeto przytoczyć wam to sprawozdanie, aniżeli powtarzać naszą rozmowę z Rouletabille'em, bo obawiam się w podobnej historii dodać choćby jedno słowo, które nie odpowiadałoby najściślejszej prawdzie.

Rozdział XV

Oblawa

Wyjątek z notatek Józefa Rouletabille'a

Nocy dzisiejszej, to jest z dnia 29 na 30 października — pisze Józef Rouletabille — budzę się koło pierwszej po północy. Co to za hałas na dworze? Wrzask Zwierzątka Bożego rozlega się ponuro w głębi parku. Wstaję, otwieram okno. Zimny wiatr i deszcz, nieprzebite ciemności, cisza. Zamykam okno. Jeszcze raz dziwny wrzask rozdziera ciszę nocną. Szybko nakładam spodnie i marynarkę. Czas straszny, psa wypędzić by trudno, więc ktoś w noc taką naśladuje w pobliżu zamku miauczenie kota matki Agnieszki?... Biorę gruby kij, jedyną broń, jaką rozporządzam, i cicho otwieram drzwi.

Jestem w galerii; jasna lampa z reflektorem oświetla ją doskonale; płomień tej lampy chwieje się jakby skutek przeciągu. Czuję rzeczywiście przeciąg. Odwracam się. Poza mną otwarte jest okno, znajdujące się na końcu galerii, gdzie wychodzą drzwi mego pokoju i Larsana — galerię tę będę nazywał boczną, aby ją odróżnić od prawej, do której przylegają pokoje panny Stangerson. Te dwie galerie przecinają się pod kątem prostym. Któż znów zostawił to okno otwarte, czy też je otworzył?... Idę do okna. Wychylam się. Na metr blisko pod tym oknem jest taras, który stanowi jednocześnie dach niewielkiego pokoiku, znajdującego się w parterze. W razie potrzeby można wyskoczyć z okna na taras, a stamtąd spuścić się na dziedziniec zamkowy. Ten, kto by podobną drogę odbywał, nie miałby oczywiście klucza od drzwi wchodowych. Ale dlaczego wyobrażam sobie tę nocną gimnastykę? Z racji okna otwartego? Może jest w tym jedynie niedbalstwo służącego? Zamykam okno i uśmiecham się nad sobą samym. Nowy krzyk Zwierzątka Bożego wśród nocy. A potem cisza, deszcz przestał ciąć w szyby okna. Wszystko śpi w zamku.

Stąпам z nadzwyczajną ostrożnością po chodniku galerii. Dochodząc do zakrętu prawej galerii, wysuwam głowę i rzucam w nią ostrożne spojrzenie. I w tej galerii lampa z reflektorem oświetla doskonale kilka przedmiotów w niej się znajdujących: trzy fotele, obrazy zawieszane na ścianach. Co ja tu robię?

Nigdy pałac nie był bardziej spokojny. Wszystko spoczywa. Jakiż to instynkt pcha mnie w stronę pokoju panny Stangerson? Skąd ten głos, co woła w głębi mej istoty: *Idź aż do pokoju panny Stangerson!* Spuszczam oczy na chodnik, po którym stąпам i widzę, że moje kroki do pokoju panny Stangerson są wyprzedzone przez inne kroki, które tam już poszły.

Tak, po chodniku czyjeś kroki nanosiły błota ze dworu, a ja śledzę te kroki, które wiodą do pokoju panny Stangerson. Okropność! Są to te same „kroki eleganckie” — rozpoznaję je. **Kroki zbrodniarza!** Wszedł tu ze dworu w tę noc szkaradną. Jeśli można wyjść z galerii oknem na ten taras, można też i wejść tędy.

Zbrodniarz jest tu w pałacu, bo kroki nie powróciły, Wszedł do pałacu przez okno otwarte

na końcu bocznej galerii; przeszedł koło pokoju Fryderyka Larsana, koło mego pokoju, zwrócił się na prawo w galerię prawą i wszedł do pokoju panny Stangerson. Staję przed drzwiami mieszkania panny Stangerson, przed drzwiami przedpokoju: są uchylone – popycham je bez najmniejszego szmeru. Jestem w przedpokoju i tu pod samymi drzwiami pokoju widzę pręgę światła. Nasłuchuję. Nic! Żadnego szmeru, nawet oddechu. Ach! wiedzieć co się dzieje w tej ciszy poza tymi drzwiami! Rzut oka na zamek drzwi upewnia mnie, że ten zamek jest zamknięty na klucz, a klucz z tamtej strony. I pomyśleć, że zbrodniarz jest tam może! On tam być musi! Czy się wymknie jeszcze i tym razem? Wszystko ode mnie zależy. Zimnej krwi a nade wszystko ani jednego fałszywego kroku! Trzeba zajrzeć do tego pokoju. Czy wejść tam przez salon panny Stangerson? Trzeba mi będzie następnie przejść buduar, a zbrodniarz ucieknie tymczasem przez drzwi galerii, przed którymi stoję w tej chwili.

Sądzę, że dzisiejszego wieczoru nie popełniono jeszcze zbrodni, o tym upewnia mnie cisza buduaru! W tym buduarze w czasie choroby panny Stangerson sypiały dwie służące.

Ponieważ jestem prawie pewny, że zbrodniarz jest tu, czemuż bym nie miał ostrzec o tym w tej chwili? Zbrodniarz może ucieknie, ale ja może ocalę życie panny Stangerson? A jeśli przypadkiem zbrodniarz dzisiejszy nie jest zbrodniarzem? Drzwi były otwarte, aby mu dać wstęp: przez kogo? I zamknięte były: przez kogo? On wszedł tej nocy do tego pokoju przez drzwi, które z pewnością były zamknięte na klucz z wewnątrz, bo panna Stangerson co wieczór zamyka się w swoim mieszkaniu ze swymi dozorczyńcami. Któż więc przekręcił ten klucz w pokoju, aby doń wpuścić zbrodniarza? Czy dozorczyńca?... Dwie wierne służące: stara pokojowa i jej córka Sylwia? To zupełnie nieprawdopodobne. Zresztą one śpią w buduarze, a panna Stangerson bardzo niespokojna, bardzo ostrożna, jak mówi Robert Darzac – czuwa sama nad swym bezpieczeństwem, odkąd na tyle czuje się lepiej, że może zrobić kilka kroków po swym pokoju, z którego jeszcze nie widziałem, aby wychodziła. Ten nagły lęk i ostrożność panny Stangerson, które niepokoją, Roberta Darzaca, i mnie dały do myślenia. Nie ma wątpliwości, że przed zbrodnią w żółtym pokoju nieszczęśliwa oczekiwała zbrodniarza. Czyżby oczekiwała go jeszcze i tego wieczora? Więc ostatecznie ktoś przekręcił ten klucz, wpuszczając zbrodniarza? Czyżby to zrobiła panna Stangerson we własnej osobie? Bo wreszcie, ona może się obawiać, ona powinna się obawiać wizyty zbrodniarza, ale może mieć powody, aby mu otworzyć drzwi, być zmuszoną mu otworzyć! Jakaż to więc okrutna schadzka? Schadzka zbrodni?... Z pewnością nie schadzka miłości, bo panna Stangerson uwielbia Roberta Darzaca – wiem o tym.

Wszystkie te myśli przebiegają przez umysł jak błyskawice, co oświetlają tylko ciemności. Ach! wiedzieć!, wiedzieć...

Jeśli cisza taka panuje za tymi drzwiami, to pewnie dlatego, że trzeba ciszy! Moje wmieszanie się może spowodować więcej zła niż dobra?... Czy ja wiem?... Któż mi zaręczy, że wmieszanie się moje w jednej chwili nie zadecyduje o zbrodni? Ach! wiedzieć! wiedzieć... nie naruszając ciszy!

Wychodzę z przedpokoju. Idę do głównych schodów, schodzę nimi, jestem w sieni; biegnę, najciszej jak mogę, do maleńkiego pokoiku na parterze, gdzie sypia ojciec Jakub od czasu wypadku w pawilonie.

Zastaję go ubranego, oczy szeroko otwarte prawie błędne. Nie okazuje zdziwienia, widząc mnie. Powiada mi, że wstał, bo słyszał krzyk Zwierzątka Bożego i słyszał kroki w parku, kroki przechodzące około jego okna. Spojrzał w okno i widział przesuający się czarny cień. Zapytuję, czy ma jaką broń. Nie, broni nie ma żadnej od chwili, jak sędzia śledczy zabrał mu jego rewolwer. Biorę go ze sobą. Wychodzimy do parku przez małe drzwi z tyłu. Przesuwamy się wzdłuż zamku aż do punktu,

który jest właśnie pod oknem panny Stangerson. Tu stawiam ojca Jakuba pod murem,

zabraniam mu się ruszyć, a sam, korzystając z obłoczków, który w tej chwili przesłania księżyc, wysuwam się naprzeciw okna, ale poza kwadratem światła, jakie zeń pada, bo okno jest otwarte. Czy przez ostrożność? – Aby móc wyjść szybciej przez okno, gdyby ktoś wchodził przez drzwi? O, ten kto by chciał skoczyć z takiego okna, miałby dobrą sposobność skręcenia karku! Któż mi zaręczy, że zbrodniarz nie ma sznura? On musiał wszystko przewidzieć... Ach! wiedzieć co się dzieje w tym pokoju!... Poznać jego milczenie....

Wracam do ojca Jakuba i mówię mu na ucho jedno słowo: — Drabinę. — W pierwszej chwili myślałem o drzewie, które przed tygodniem służyło mi za obserwatorium, ale od razu widzę, że tym razem, okno jest tak odchyłone, że nie mógłbym z drzewa nic widzieć, co się dzieje w pokoju. A poza tym chcę nie tylko widzieć, ale móc słyszeć i... działać...

Ojciec Jakub ogromnie przejęty, drżący znika na chwilę i powraca bez drabiny, dając mi z dala znaki rękami, abym natychmiast szedł do niego. Kiedy się znajduję obok niego: — Chodź pan! — szepce.

Okrażamy zamek dookoła wieży. Przechodząc tędy, mówi:

— Poszedłem po moją drabinę do dolnej sali wieży, która służy za skład dla ogrodnika i dla mnie. Drzwi wieży były otwarte a drabiny nie ma! Wychodzę i oto gdzie ją spostrzegam!

I przy blasku księżycy wskazał mi w drugim końcu zamku drabinę opartą o klamry muru podtrzymujące taras, pod tym samym oknem, które przed chwilą zastałem otwarte. Nie widziałem jej z góry, bo taras mi ją stamtąd zasłaniał... Dzięki tej drabinie było bardzo łatwo wejść w galerię boczną pierwszego piętra i nie wątpiłem, że taka właśnie była droga, którą przeszedł nieznajomy.

Biegniemy do drabiny; ale w chwili, gdy mam ją zabrać, ojciec Jakub pokazuje mi uchylone drzwi małej stancyjki w parterze, umieszczonej w półkolistym zakończeniu prawego skrzydła zamku, a której dach stanowi właśnie ów wyżej wspomniany taras.

Ojciec Jakub popycha lekko drzwi i mówi szepcem:

— Nie ma go!

— Kogo?

— Gajowego. — Znów szepcze mi na ucho: — Pan wie, że gajowy tu sypia, odkąd reperuję wieżę!... — I znów znaczącym ruchem wskazuje mi drzwi uchylone, drabinę, taras i okno, które co tylko sam zamknąłem w bocznej galerii.

Jakie były moje myśli wówczas? Czy miałem czas myśleć? Raczej czułem niż myślałem...

Oczywiście, czułem: jeśli gajowy jest tam na górze w pokoju (mówię: jeśli, bo w tej chwili prócz drabiny i pustego pokoju żaden inny dowód nie pozwalał mi posądzać gajowego), musiał wejść przez tę drabinę i przez to okno, bo pokoje znajdujące się za jego nowym mieszkaniem są zajęte przez kuchnię i składy gospodarskie oraz mieszkanie kucharki i kamerdynera, zamykają mu przeto drogę do sieni i na schody wewnątrz zamku... Jeśli to gajowy tędy wczoraj przeszedł, było mu łatwo pod jakimkolwiek pozorem wczoraj wieczór pójść do galerii i czuwać nad tym, by okno zostało tylko przymknięte wewnątrz w ten sposób, by później mógł je sobie bez trudu otworzyć i skoczyć do galerii. Ta konieczność niezamykania okna wewnątrz zacieśnia niezmiernie pole poszukiwań osobistości zbrodniarza. Zbrodniarz musi być domowym; chyba że ma jakiegoś współnika, czego nie myślę... chyba że panna Stangerson czuwała sama nad tym, aby to okno nie zostało zamknięte z wewnątrz... Ale jakaż byłaby ta straszna tajemnica, stawiająca pannę Stangerson w konieczności usuwania przeszkód, które ją dzielą od zbrodniarza?...

Ujmuję drabinę i odchodzimy w tył zamku. Okno pokoju wciąż otwarte; firanki są spuszczone, ale się nie łączą, przepuszczają więc długą smugę światła, która się wydłuża na

trawniku u mych nóg. Przystawiam drabinę pod oknem pokoju. Jestem prawie pewien, że nie czynię żadnego szelestu. I podczas gdy ojciec Jakub zostaje u dołu drabiny, ja z moim kijem wchodzę po drabinie cicho, cichutko. Wstrzymuję oddech; podnoszę i stawiam nogi z nieskończoną ostrożnością. Nagle znów krzyk złowrogi Zwierzątka Bożego zatrzymuje mnie w pół drogi. Zdaje mi się, że ten głos rozlega się o kilka metrów poza mną. Może to sygnał? Może jaki współnik zbrodniarza spostrzegł mnie na drabinie? Może tym krzykiem nawołuje człowieka do okna? Może. Zguba! Ktoś stoi w oknie! To on! Czuję jego głowę ponad sobą, słyszę jego oddech... A ja nie mogę go widzieć; najmniejsze poruszenie głowy i jestem zgubiony!... Czy on mnie zobaczy? Czy nie spuści głowy i spojrzy w ciemność? Nie!... Już odchodzi... Nie, nie widział... Raczej czuję niż widzę, jak idzie ciężkim krokiem po pokoju; posuwam się jeszcze o kilka szczebli. Moja głowa jest już na wysokości framugi okna i już oczy patrzą pomiędzy firanki.

Jakiś człowiek jest tam, siedzi przy biurku panny Stangerson i pisze. Do mnie obrócony plecami. Ma świecę przed sobą, ale ponieważ schylony jest nad płomieniem tej świecy, światło rzuca cienie, które mi go bezkształcą. Widzę tylko wielkie pochylone plecy.

Rzecz zdumiewająca: panny Stangerson tam nie ma! Jej łóżko nie rozebrane. Gdzież ona śpi tej nocy? Pewnie w pokoju przyległym ze służącymi. Hipoteza, Radość znalezienia człowieka samego. Spokój umysłu dla przygotowania obławy,

Ale któż jest ten człowiek, który tam pisze przy tym biurku, jakby był u siebie? Gdyby nie było kroków zbrodniarza na chodniku w galerii, gdyby okno nie było otwarte, gdyby nie było pod oknem drabiny, mógłbym przypuszczać, że ten człowiek ma prawo tu być, że się tu znajduje z powodów zupełnie naturalnych, których ja jednak nie znam. Ale nie ma już wątpliwości, że ten tajemniczy nieznajomy jest człowiekiem z żółtego pokoju, tym samym, który zadał pannie Stangerson ciosy mordercze. Ach! widzieć jego twarz! Pochwycić go! Schwycić!

Jeśli w tej chwili skoczę do pokoju, on ucieknie, albo drzwiami do przedpokoju albo drzwiami do buduaru. Stamtąd przez salon wpadnie do galerii i ja go stracę z oczu. Tymczasem teraz trzymam go, jeszcze pięć minut, i to trzymam go lepiej niż w klatce... Cóż to on robi sam jeden w pokoju panny Stangerson? Co on pisze? Do kogo on pisze?... Schodzę. Opuszczam drabinę. Ojciec Jakub idzie za mną. Wracamy do zamku. Posyłam ojca Jakuba, aby zbudził pana Stangersona. Powinien czekać na mnie u profesora, nie mówiąc mu nic przed moim przybyciem. Ja idę obudzić Fryderyka Larsana. Bardzo mi przykro. Wolałbym działać sam i wziąć sobie całą wygraną tej sprawy pod nosem śpiącego Fryderyka Larsana. Ale ojciec Jakub i pan Stangerson to starcy a ja może nie jestem dość rozwinięty... Może mi sił zabraknie... Larsan ma zręczność i wprawę w postępowaniu w razach podobnych. Larsan otwiera mi drzwi głupawo zdziwiony, ma oczy napuchłe od snu, gotów mnie wyrzucić za drzwi, nie chce uwierzyć moim imaginacjom reporterskim. Muszę go upewniać, że człowiek jest tam istotnie.

— To zabawne — powiada — zdawało mi się, że go zostawiłem wczoraj po południu w Paryżu!

Ubiera się szybko i uzbraja w rewolwer. Wysuwamy się na galerię.

Larsan pyta:

— Gdzie on jest?

— W pokoju panny Stangerson.

— A panna Stangerson?

— Jej nie ma w pokoju,

— Chodźmy tam!

— Nie chodź pan tam! Na pierwszy alarm człowiek ucieknie... ma trzy drogi: drzwi, okno, buduar, gdzie się znajdują kobiety...

— Strzełę...

— A jeśli pan chybi? Jeśli go pan tylko zrani?... To jeszcze ucieknie... On sam z pewnością jest też uzbrojony... Nie, pozwól pan mnie pokierować wyprawą. Odpowiadam za wszystko...

— Jak pan chce — odpowiada mi łaskawie.

Natenczas, upewniwszy się, że wszystkie okna obu galerii są szczelnie zamknięte, umieszczam Fryderyka Larsana na końcu bocznej galerii, przed oknem, które zastałem otwarte i zamknąłem.

Powiadam do Fryda:

— Za nic na świecie, nie powinien pan odstępować tego okna aż do chwili, gdy zawołam... Sto na sto, że człowiek powróci do tego okna i popróbuje tędy uciec, kiedy będzie ścigany, bo tędy wszedł i tędy przygotował sobie ucieczkę. Pan ma niebezpieczne stanowisko...

— Jakież będzie pańskie? — pyta Fryd.

— Ja skoczę do pokoju i napędzę wam człowieka!

— Weź pan mój rewolwer — rzecze Fryd — ja wezmę pańską laskę,

— Dziękuję — rzekłem — dzielny z pana człowiek.

I wziąłem rewolwer Fryda. Miałem się znaleźć sam wobec człowieka piszącego tam w pokoju i rewolwer sprawił mi naprawdę przyjemność.

Opuściłem więc Fryda, umieściwszy go przy oknie (oznaczonym numerem 5 na planie) i skierowałem się zawsze z największą ostrożnością ku pokojom pana Stangersona w lewym skrzydle zamku. Zastałem pana Stangersona i ojca Jakuba, który, stosując się do mego zlecenia, tylko oznajmił swemu panu, że należy się ubrać jak najprędzej. W kilku słowach powiadomiłem pana Stangersona o tym, co zaszło. Uzbroił się także w rewolwer i podążył za mną. Znaleźliśmy się wszyscy trzej w galerii. Wszystko to trwało nie dłużej jak dziesięć minut od chwili, gdy pozostawiłem zbrodniarza piszącego przy biurku panny Matyldy. Pan Stangerson chciałby w tej chwili wpaść i zabić nikczemnika: to było bardzo proste. Wytłumaczyłem mu jednak, że przede wszystkim nie należy ryzykować, by – chcąc go zabić – wypuścić go żywego.

Kiedy mu zaręczyłem, że jego córki nie ma w pokoju i że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, opanował swą porywczosć i pozostawił mi kierownictwo całego działania. Powiedziałem jeszcze panu Stangersonowi i Jakubowi, że dopiero wtedy mają biec do mnie, kiedy ich zawołam lub kiedy posłyszają strzał, i posłałem ojca Jakuba, aby stanął w oknie na końcu galerii prawej (okno nr 2). Obrałem to stanowisko dla ojca Jakuba, bo wyobrażałem sobie, że zbrodniarz ścigany u wyjścia z pokoju, uciekać będzie przez galerię, aby dopaść okna, które sobie zostawił otwarte, postrzegając zaś nagle u przecięcia galerii, że jest ono strzeżone przez Larsana, pobiegnie prosto galerią prawą. Tu spotka ojca Jakuba, który mu przeszkodzi wyskoczyć do parku oknem znajdującym się na końcu prawej galerii. Tak powinien postąpić zbrodniarz, jeśli zna teren (a o tym ani chwili nie wątpiłem). Pod tym oknem w istocie jest mur poprzeczny niższy od głównego. Wszystkie inne okna galerii są tak wysoko ponad fosą, że nie podobna by skoczyć z nich, nie narażając się na skręcenie karku. Drzwi i okna były dobrze i mocno zamknięte, nawet drzwi pokoju składowego na końcu galerii prawej; co wszystko sprawdziłem w mgnieniu oka.

Kiedy wyznaczyłem miejsce ojcu Jakubowi i już go na nim widziałem, umieściłem pana Stangersona przed wyjściem na schody w pobliżu drzwi przedpokoju córki. Przypuszczalnie z chwilą gdy zaczną ścigać zbrodniarza w pokoju, będzie uciekał przez przedpokój raczej niż przez buduar, w którym są służące i którego drzwi są pewnie zamknięte na klucz przez samą pannę Stangerson, jeśli (jak się domyślałem) ukryła się w tym buduarze, aby nie widzieć zbrodniarza, który miał przyjść do niej. Cokolwiek bądź zawsze wybiegnie on na galerię, gdzie moi ludzie

oczekują go u wszystkich wyjść możliwych.

Wybiegając na galerię mieć będzie z lewej strony, prawie tuż, pana Stangersona; ucieknie więc na prawo w kierunku galerii bocznej. Jest to zresztą droga ucieczki przez niego przygotowana. Na skrzyżowaniu dwóch galerii spostrzeże jednocześnie, jak wyżej wytłumaczyłem, po lewej – Fryderyka Larsana na końcu galerii bocznej, a wprost – ojca Jakuba na końcu galerii prawej. Pan Stangerson i ja pędzimy go z tyłu. Zbrodniarz już jest w naszym ręku! Już nam nie umknie!... Ten plan wydał mi się najrozumniejszym, najpewniejszym i najprostszym.

Każdy inny plan rozdzieliłby nas w chwili walki, podczas gdy mój łączył nas wszystkich dla ataku w jednym miejscu, które określiłem ze ścisłością prawie matematyczną. Tym miejscem było skrzyżowanie dwóch galerii.

Tak rozstawiwszy mych ludzi, wychodzę z zamku, biegnę do mej drabiny, znów ją opieram o mur i z rewolwerem w dłoni wchodzę.

Umyślnie długo i dokładnie przytaczam tu wszystkie szczegóły ataku, powziętego i wykonanego nierównie szybciej, niż się on rozwija spod mego pióra w oczach czytelnika; chciałem tej powolności i dokładności opisu, aby być pewnym, że nic nie opuszczam z warunków, w których nastąpiło dziwne zjawisko, które, zdaje mi się, wymowniej niż wszelkie teorie profesora Stangersona dowodzi rozproszenia materii, powiem nawet: **natychmiastowego** rozproszenia materii.

Rozdział XVI

Dziwne zjawisko rozproszenia materii

Wyjątek z notatek Józefa Rouletabille'a

(Ciąg dalszy)

Oto znów jestem pod framugą okna — pisze dalej Rouletabille — i rzuca niespokojne spojrzenie między rozchylone firanki, których układ się nie zmienił.

W jakiej też postawie zastanę zbrodniarza?... Gdyby był zwrócony do mnie plecami! Gdyby był jeszcze zajęty pisaniem przy biurku!... Ale może... może już go tam nie ma!... Jakżeby uciekł?... Czyż nie mam jego drabiny?... Przyzywam wszystką mą zimną krew. Jeszcze wysuwam głowę.

Patrzę: jest tam! Widzę znów jego olbrzymie plecy zbezkształcone cieniem rzuconym przez świecę. Ale on już nie pisze i świeca nie stoi na biurku. Świeca stoi na podłodze przed człowiekiem pochylonym nad nią! Pozycja dziwaczna — ale dla mnie dogodna. Oddycham. Jeszcze się podnoszę. Jestem już na ostatnich szczeblach; moja ręka lewa chwyta za framugę okna... W tej chwili czuję jak me serce wali jak młotem... Biorę rewolwer w zęby. Prawą ręką teraz też chwytam za framugę okna. Teraz z konieczności ruch gwałtowniejszy, wspieram się na dłoniach i jestem w oknie... Byle tylko drabina!... To się właśnie stało... Muszę oprzeć się silniej na drabinie i zanim moja noga oderwała się od jej szczebla, czuję, że drabina się usuwa... głośno trze o mur i pada... Ale moje kolana już dotykają kamiennej framugi... Z szybkością, której nie znam równej, staję na oknie... Ale bardziej szybkim, niż ja, jest zbrodniarz... Posłyszał tarcie drabiny o mur... i... spostrzegam nagle, jak potworne plecy się podnoszą, człowiek się prostuje i zwraca... Widziałem jego głowę... Czym dobrze widział tę głowę?... Świeca była na posadzce i zaledwie nogi jego oświetlała. Wyżej w pokoju są tylko cienie... tylko noc. Widziałem głowę włochatą, brodatą... oczy wariata, twarz bladą z faworytami barwy, o ile mogłem w tej chwili wśród ciemności odróżnić, barwy... ryżej... jak mi się wydało... Nie znałem zupełnie tej twarzy. To było zresztą tylko niewyraźne wrażenie, jakie odebrałem z tego obrazu dojrzanego wśród chwiejnych cieni i słabego światła... Nie znałem tej twarzy albo co najmniej nie poznawałem jej!...

Ach! teraz należało działać szybko!.. Trzeba było być wichrem! burzą! błyskawicą! Ale niestety! niestety! są ruchy konieczne... Podczas gdy, opierając się na pięściach, wykonywałem ruchy niezbędne dla ustalenia mych kolan i nóg na kamiennej framudze okna... człowiek, który mnie spostrzegł, skoczył nagle, rzucił się, jak to przewidziałem, do drzwi przedpokoju, zdążył je otworzyć i uciekł. Ale byłem tuż za nim z rewolwerem w ręku. Ryczałem: — Do mnie!

Jak strzała przebiegłem pokój, a jednak spostrzegłem, że na biurku leżał list. Prawie chwytałem już człowieka w przedpokoju, bo otwarcie drzwi zabrało mu przynajmniej sekundę. Dotykałem go niemal! Zatrzasnął mi przed nosem drzwi, które wychodzą z przedpokoju na

galerię. Ale miałem skrzydła, w galerii byłem o trzy metry od niego... Pan Stangerson i ja ścigaliśmy go w tej samej odległości. Człowiek biegł galerią prawą to jest drogą przygotowaną do ucieczki... — Do mnie, Jakubie! Do mnie, Larsan! — wołałem. Nie mógł już nam uciec! Wydałem okrzyk dzikiej radości, zwycięstwa! Człowiek dopadł przecięcia dwu galerii może na dwie sekundy przed nami, przed spotkaniem, które obmyśliłem. Tu nastąpiło zderzenie fatalne, które nieuniknienie musiało mieć miejsce!

Potknęliśmy się wszyscy na tym zakręcie pan Stangerson i ja, biegnący z jednego końca prawej galerii, ojciec Jakub, zdążający z drugiego końca tejże galerii i Fryderyk Larsan, przybywający z galerii bocznej. Potrąciliśmy się wszyscy, omal nie padając...

Ale człowieka nie było!

Patrzmy po sobie oczyma osłupiałymi, oczyma pełnymi przerażenia wobec czegoś nierealnego: człowieka nie było!

Gdzie on jest? Gdzie on jest? Cała nasza istota wołała: — Gdzie on jest?

Pogoniliśmy jak szaleni w obie strony galerii, obejrzelśmy drzwi i okna: były zamknięte, szczelnie zamknięte... Nie mógł nikt ich otworzyć, bośmy je zastali tak samo zamknięte... A przy tym, czyż otwarcie okna lub drzwi niepostrzegalnie dla nas przez człowieka tak osaczonego nie byłoby bardziej jeszcze niepojętym niż zniknięcie jego samego?

Gdzie on jest? Gdzie on jest?... On nie mógł przejść ani przez drzwi, ani przez okno, ani nigdzie. On nie mógł przejść przez nasze ciała!...

Wyznaję, że w tej chwili czułem się unicestwiony.

Bo przecież – było jasno w galerii... W tej galerii nie było ani drzwi, ani okna ukrytego, ani nic, gdzie można by było się ukryć. Poruszyliśmy fotele i podnosili obrazy. Nikogo! Nikogo! Zaglądalibyśmy w każdy wazon, gdyby jakie wazony były w galerii!

Rozdział XVII

Tajemnicza galeria

Panna Stangerson ukazała się na progu swego przedpokoju — opowiada dalej notatnik Rouletabille'a. — Staliśmy prawie u jej drzwi w galerii, w której zaszło niepojęte zjawisko. Bywają chwile, w których czuje się mózg uciekający na wszystkie strony. Czaszka, która trzaska, siedlisko logiki zniszczone, rozum poćwiartowany... Wszystko to było bez wątpienia zbliżone do uczucia, które mnie wyczerpywało, które mnie pozbawiało całej mej treści, aż do uczucia utraty wszelkiej równowagi, końca mego *ja* myślącego, myślącego moją ludzką myślą! Zagłada moralna pewnej budowy rozumowej spotęgowana realną zagładą obrazu fizycznego — jakiz to cios ogłuszający!

Szczęściem panna Matylda Stangerson ukazała się na progu swego przedpokoju. Widziałem ją i to było rozerwaniem mej myśli w chaosie... Oddychałem nią... Oddychałem jej perfumami czarnej damy... Droga czarna dama... której już nigdy nie zobaczę! Mój Boże!... Dziesięć lat mego życia, połowa mego życia, aby zobaczyć jeszcze czarną damę! Ale niestety, od czasu do czasu tylko spotykam jeszcze... tylko... zapach, przybliżony zapach, którego powiew, dla mnie jednego wyczuwalny, pamiętam z mego dzieciństwa... Bolesne wspomnienie tych perfum, czarna damo, skierowało mnie ku tej, która cała w bieli tak blada, a taka piękna, stoi w progu tajemniczej galerii! Jej cudne, złote włosy, wzniesione nad czołem, odsłaniają czerwoną gwiazdę na skroni, ranę od której mogła umrzeć...

Stoję tu osłupiały wobec zjawienia się panny Stangerson bladej, a tak pięknej. Ubrana w peniuar białości wymarzonej, rzekłbyś widzenie najcudniejsze. Ojciec ujmuje ją w ramiona, całuje z uniesieniem, zdaje się odzyskał ją raz jeszcze, bo raz jeszcze mogła być stracona dla niego! On nie śmie jej pytać... Zabiera ją do pokoju, dokąd i my idziemy za nimi, bo wreszcie... trzeba wiedzieć. Drzwi buduaru otwarte... Dwie twarze przerażone służących wychylają się ku nam... Panna Stangerson pyta, co znaczy ten cały hałas? — To — powiada ona — to zupełnie proste!... — Jak to proste!... jak proste!

Nie miała ochoty spać dziś w swoim pokoju, wolała położyć się w jednym pokoju ze służącymi... I zamknęły się we trzy w buduarze... Ona miewa od owej strasznej nocy przywidzenia, nagłe obawy; bardzo zrozumiałe, prawda?... Któż zrozumie jednak, dlaczego tej właśnie nocy, gdy on miał wrócić, ona szczęśliwym trafem zamknęła się ze swymi służącymi?... Któż zrozumie, dlaczego zabrania ojcu nocować w swoim salonie, skoro sama się lęka?... Któż zrozumie, co stało się z listem, który tylko co leżał na jej biurku, a którego teraz tam nie ma?... Ten, kto zrozumie, powie: — Panna Stangerson wiedziała, że zbrodniarz ma wrócić... nie mogła mu przeszkodzić... nie uprzedzała nikogo, bo trzeba, aby zbrodniarz został nieznany... nieznany dla ojca... dla wszystkich... z wyjątkiem Roberta Darzaca. Bo pan Robert Darzac musi go znać teraz... choć go i pierwej znał... Przypominam zdanie z ogrodu elizejskiego: *Czy mam popełnić zbrodnię, aby panią posiść?* Na kimże ta zbrodnia ma być wykonana?... Przypominam jeszcze to zdanie pana Darzaca w odpowiedzi na moje pytanie: — Czy się to panu nie podoba, że odnajdę zbrodniarza? — *Ach, zabiłbym go własną dłonią!* Na co mu odrzekłem: — Pan nie odpowiedział na moje pytanie! — To było najzupełniejszą prawdą. Z pewnością pan Darzac tak

dobrze zna zbrodniarza, że lęka się, abym go nie odkrył, pomimo że sam chce go zabić. Ułatwił mi wywiady tylko dla dwu przyczyn: zem go do tego zmusił i ażeby lepiej czuł nad nią...

Jestem w pokoju... w jej pokoju. Patrzę na nią i patrzę też na biurko, gdzie przed chwilą leżał list... Panna Stangerson list zabrała; ten list był dla niej oczywiście!... Ach! jak drży nieszczęśliwa... Ona drży, słuchając fantastycznej opowieści ojca o obecności zbrodniarza w jej pokoju i o pogoni, której był przedmiotem... Ale widoczne jest... jak uspakaja się dopiero wtedy, gdy jej oznajmiają, że zbrodniarz przez jakieś czary niesłychane zdołał się nam wymknąć.

A potem – milczenie. Jakie milczenie!... Widzimy ją wszyscy... Jej ojciec, Larsan, ojciec Jakub i ja... Jakie myśli wirują w tym milczeniu dokoła niej? Po wypadku dzisiejszego wieczora w tajemniczej galerii, po tej dziwnej oczywistości zainstalowania się zbrodniarza w jej pokoju, zdaje się, że wszystkie myśli, wszystkie – począwszy od tych, które się wloką pod czaszką ojca Jakuba aż do tych, które się rodzą pod czaszką pana Stangersona – wszystkie dadzą się streścić w tych paru słowach do niej niemo zwróconych: *Ach! ty co znasz tajemnicę, wyjaśnij ją nam, a my cię może ocalimy!*... O! jakże chciałbym ją ocalić... od niej samej i od tamtego!... Płacę... Tak, czuję, oczy napęłniają mi się łzami wobec tak tajemniczego nieszczęścia.

Ona jest tu, ta, która używa perfum czarnej damy... widzę ją na koniec w jej własnym pokoju... w tym pokoju, w którym milczy, w którym nie przestaje milczeć. Od nieszczęsnego wieczoru w żółtym pokoju obracamy się koło tej kobiety niewidzialnej i niemej, aby wiedzieć, co ona wie. Nasze pragnienia, nasze usiłowania dowiedzenia się muszą być dla niej jedną więcej katuszą. Któż zaręczy, jeśli my się dowiemy wszystkiego, że poznanie przez nas jej tajemnicy nie będzie hasłem dramatu jeszcze straszniejszego, niż te, które się tutaj rozegrały? Któż nam zaręczy, że ona nie umrze? A jednak ona nie umrze? A jednak ona o mało nie umarła... a my nic nie wiemy... Albo raczej są tacy, co nie wiedzą... Ale ja... Gdybym wiedział kto, wiedziałbym wszystko... Kto? Kto?... A nie wiedząc kto, muszę milczeć przez wzgląd na nią, bo nie ma wątpliwości, że ona wie, jak on uciekł z żółtego pokoju, a jednak milczy. Jakże ja będę mówił?... Gdybym wiedział kto, jej bym powiedział – jej!

Ona patrzy na nas teraz, wejrzeniem tak dalekim, jak gdybyśmy nie byli w jej pokoju... Pan Stangerson przerywa milczenie, oznajmiając, że odtąd nie opuści mieszkania swej córki. Daremnie ona się sprzeciwia jego stanowczej woli, pan Stangerson trzyma się mocno. Tu się umieści jeszcze tej samej nocy, powiada. Po czym zajęty wyłącznie zdrowiem córki wymawia jej, że wstała... potem zaczyna mówić, jak do małego dziecka... śmieje się do niej... nie wie już więcej, ani co mówi, ani co robi... Znacomity profesor traci głowę... Powtarza wyrazy bez związku, które stwierdzają rozstrój jego umysłu... Stan naszego nie jest lepszy. Panna Stangerson wymawia wtedy głosem pełnym bólu te jedyne słowa:

Mój ojczu! mój ojczu! że starzec wybucha płaczem. Ojciec Jakub ociera nos, nawet Fryderyk Larsan jest zmuszony odwrócić się, aby ukryć wzruszenie. Ja już dłużej nie mogę... nie myślę nic, nie czuję nic. Mam obrzydzenie do siebie.

Po raz pierwszy w tej chwili od wypadku w żółtym pokoju Fryderyk Larsan i ja znajdujemy się wobec panny Stangerson. Od początku obaj nalegaliśmy, aby móc badać nieszczęśliwą, ale nie byliśmy przez nią przyjęci. Dawano nam zawsze jedną odpowiedź: — Panna Stangerson jest nadto osłabiona, by nas przyjąć, badania sędziego śledczego już ją dostatecznie zmęczyły.

Była w tym oczywista niechęć poparcia naszych poszukiwań, co mnie bynajmniej nie dziwiło, ale co zastanawiało zawsze Fryderyka Larsana. Prawda, że Fryderyk Larsan i ja mamy pojęcie o zbrodni zupełnie odmienne...

Oni płaczą... A ja jeszcze podchwytuję w głębi mego ja głos, który szepcze: *Ocalić ją!*... *ocalić wbrew niej samej!* *Ocalić ją, nie pozwalając jemu mówić. Któż to on? – on – zbrodniarz!*... *Pochwyć go i zamknąć mu usta!*... Ale pan Darzac już to powiedział: *aby mu zamknąć usta,*

trzeba go zabić! Wniosek logiczny ze słów wymówionych przez pana Darzaca. Czy ja mam prawo zabić zbrodniarza panny Stangerson? Nie!... Ale niech mi da jedynie sposobność widzieć czy jest istotnie z ciała i kości! Widzieć jego trupa, jeśli go pochwycić nie można w żywym ciele!

Ach! jakże to powiedzieć kobiecie, która nawet nie patrzy na nas, która cała przejęta swym lękiem i boleścią swego ojca. Jak jej dać zrozumieć, że zdolny jestem do wszystkiego, aby ją ocalić... Tak... tak... wezmę za łeb i dokonam cudów!

Zbliżam się do niej... chcę mówić... chcę błagać, aby miała ufność we mnie... chciałbym jej dać pojąć w kilku słowach, dla niej tylko i dla mnie zrozumiałych, że wiem jak zbrodniarz wyszedł z żółtego pokoju, że odgadłem połowę jej tajemnicy... że współczuję jej całym sercem... Ale już jej ruch prosi nas, aby ją zostawić samą, wyraża znużenie, potrzebę natychmiastowego odpoczynku... Pan Stangerson prosi, abyśmy powrócili do naszych pokoi, dziękuje nam, żegna nas... Fryderyk Larsan i ja kłaniamy się i w towarzystwie ojca Jakuba wychodzimy na galerię. Słyszę, jak Fryderyk Larsan mruczy: *Dziwne! dziwne!* Daje mi znak, abym szedł do jego pokoju. Jeszcze na progu odwraca się do ojca Jakuba i pyta:

— Wyście go dobrze widzieli?

— Kogo?

— Nieznajomego,

— Czym ja go widział?... Miał szeroką ryżą brodę i włosy ryże.

— I mnie tak samo się wydało — rzekłem.

— I mnie też — dodał Fryderyk Larsan,

Wielki Fryd i ja jesteśmy sami w tej chwili w jego pokoju, możemy mówić o sprawie. Mówimy o niej całą godzinę, obracając rzecz na wszystkie strony. Jest jasne z pytań, jakie mi zadaje Fryd, z wyjaśnień, jakich mi udziela, że sam jest przekonany wbrew świadectwu własnych oczu, moich oczu, naszych wszystkich oczu – że człowiek zniknął jakimś tajemnym przejściem w zamku, którego my nie znamy.

— Bo on zna zamek — powiada Fryd — on go zna dobrze.

— Ten człowiek jest wysokiej postawy, dobrze zbudowany.

— Ma postawę jak trzeba. — mruczy Fryd.

— Rozumiem pana — powiadam — ale jakże wytłumaczy pan ryżą brodę, włosy ryże?

— Za wiele tej brody... włosów... Sztuczne — powiada Fryd.

— Prędko powiedziane! Pan zawsze opanowany myślą o Robercie Darzacu... Czy pan się nigdy od niej nie wyzwolił? Ja jestem pewien, że on niewinny.

— Tym lepiej! Życzę tego... ale naprawdę wszystko go potępia... Czy pan zauważył kroki na chodniku? Chodź pan zobaczyć.

— Widziałem je, to „kroki eleganckie” znad stawu.

— To są kroki Roberta Darzaca. Zaprzeczy pan temu?

— Oczywiście, można się pomylić.

— Czy pan zauważył, że ślady jego kroków nie powracają? Kiedy człowiek wybiegł z pokoju ścigany przez nas wszystkich, kroki nie pozostawiły śladów.

— Był może w pokoju od paru godzin? Błoto wyschło na jego obuwiu, zresztą z taką szybkością ślizgał się na palcach... Widziało się go uciekającego a nie słyszało.

Nagle przerywam te gawędy bez związku, bez logiki niegodne nas. Daję znak Larsanowi, by słuchał:

— Tam na dole... zamykają drzwi.

Powstaję, Larsan idzie za mną. Spuszczamy się na dół po schodach. Wychodzimy z zamku. Prowadzę Larsana do małego pokoiku w przystawce, którego taras znajduje się pod oknem galerii bocznej. Wskazuję palcem te drzwi zamknięte obecnie, otwarte przed chwilą, za

którymi drga światło.

— Gajowy! — powiada Fryd,
— Chodźmy tam! — szepczę do niego,

I zdecydowany, ale na co zdecydowany? czy zdecydowany oskarżyć gajowego?...
zbliżam się do drzwi i stukam mocno.

Pomyśli kto może, że ten powrót do drzwi gajowego jest co najmniej, spóźniony... i że pierwszym obowiązkiem nas wszystkich, po upewnieniu się, że zbrodniarz uciekł z galerii, było szukać go wszędzie dookoła zamku, w parku, wszędzie. Jeśli nas spotka taki zarzut, pozostaje nam jedna odpowiedź tylko: zbrodniarz zniknął nam w galerii w taki sposób, że w rzeczy samej myśleliśmy, że nie może już być nigdzie. Uciekł nam, kiedyśmy wszyscy dościgali, dotykali go niemal. Nie mieliśmy przeto żadnych danych spodziewać się, że teraz go odnajdziemy wśród ciemnej nocy w parku. Zresztą powiedziałem już, jakim uderzeniem obucha po głowie było dla mnie jego zniknięcie!

Jak tylko zastukałem, drzwi się otworzyły. Gajowy zapytał nas głosem spokojnym, czego sobie życzymy. Był w koszuli i miał się kłaść do łóżka, łóżko nie było jeszcze rozebrane.

Weszliśmy.

— Co to pan jeszcze nie spał? — rzekłem ze zdziwieniem.

— Nie! — odpowiada szorstko. — Obchodziłem park i las. Stamtąd wracam. Teraz chcę spać. Dobranoc.

— Słuchaj pan — mówię. — Dopiero co koło pańskiego okna była drabina.

— Jaka drabina? Nie widziałem żadnej drabiny. Dobranoc.

I wyprowadził nas po prostu za drzwi.

Tu spojrziałem na Larsana, Był nieodgadniony.

— A więc — pytam.

— A więc? — powtarza Larsan.

— Czy to panu nie odsłania horyzontu?

Był w złym humorze. Wchodząc do zamku posłyszałem jak mrucał:

— Byłoby zupełnie, ale zupełnie dziwne, gdybym się mylił w tym razie!

Wydało mi się, że wypowiada to zdanie raczej dla mnie, niż dla siebie samego.

Potem dodał:

— W każdym razie upewnimy się wkrótce. Dziś rano to się wyjaśni.

Rozdział XVIII

Rouletabille zakreśla koło pomiędzy guzami swego czoła

Dalszy ciąg notatek Rouletabille'a

Rozstaliśmy się na progu naszych pokoi melancholijnym uściskiem dłoni. Czułem się szczęśliwy, że zdołałem zrodzić wątpliwości w tym oryginalnym umyśle, nadzwyczaj inteligentnym, ale dziwnie niemethodycznym. Nie kładłem się. Doczekałem brzasku i wyszedłem przed zamek. Okrążyłem go dokoła, przypatrując się wszelkim śladom kroków, które mogły do niego przychodzić lub odchodzić. Ale były rozdeptane i tak pokrzyżowane, że nie mogłem nic z nich zrozumieć. Zresztą znów przypominam, że nie mam zwyczaju przywiązywać wielkiej wagi do znaków zewnętrznych, które pozostawia za sobą zbrodnia. Metoda polegająca na wyrokowaniu o zbrodniarzu ze śladów jego kroków jest najbardziej prymitywna. Jest wiele śladów podobnych i najzupełniej słusznie, jeśli od nich oczekujemy pierwszych wskazań, których jednak w żadnym razie nie należy uważać za dowody.

Cokolwiek bądź, w wielkim bezładzie mego umysłu wszedłem na dziedziniec zamkowy i schylając się nad śladami kroków, nad wszelkimi śladami, które tam były, szukałem wśród nich tych pierwszych wskazań, których tak potrzebowałem, aby się chwycić czegoś rozsądnego, czegoś, co by mi pozwoliło rozumować o wydarzeniach w tajemniczej galerii. Ach, rozumować! Jak rozumować? Jak?...

Siadam zrozpaczony na kamieniu śród dziedzińca. Cóż ja robię od godziny przeszło? Pełnię czynność najzwyczajszego agenta policji. Idę zbierać pomyłki, jak pierwszy lepszy detektyw, po śladach kilku kroków, które mi powiedzą, co zechcą, nasuną mi myśli, jakie zechcą.

Czuję się bardziej godnym pogardy, niższym na drabinie inteligencji niż ci wszyscy agenci policji, wyimaginowani przez współczesnych powieściopisarzy, agenci, co się kształcili na powieściach Edgara Poe'ego i Conan Doyle'a. Ach, agenci literaccy, co wznosicie góry zdumienia jednym krokiem na piasku, jednym odbiciem ręki na ścianie...

Ach, i ty Fryderyku Larsan. Tyś zanadto czytał Conan Doyle'a, mój stary!... Sherlock Holmes nauczył cię popełniać głupstwa, głupstwa rozumowe po stokroć większe niż te, o których czyta się w powieściach. One sprawią, że uwięzisz niewinnego... Twoją metodą à la Conan Doyle tyś potrafił przekonać szefa policji, sędziego śledczego, wszystkich... Więc mów bodaj pierwszy... nieszczęsny... Wszystko, co ci nasuwają zmysły, nie może być dowodem... Ja też pochylałem się nad śladami namacalnymi, ale jedynie dlatego, aby przez nie wejść w krąg, który zakreśla mój rozum. Ach, ileż razy ten krąg bywał tak ciasny, ciasny... Ale jakkolwiek ciasny, był on olbrzymi, bo zawierał tylko prawdę!... Tak, tak przysięgam: ślady zewnętrzne były zawsze tylko moimi sługami, nigdy nie były mymi panami... One nigdy nie zrobiły ze mnie tej potwornej istoty, straszniejszej niż człowiek bez oczu – człowieka, który źle widzi! Oto widzisz, czemu ja zwyciężę twój błąd, twoje zwierzęce zapamiętanie, o stary, wielki Frydzie!

Dalej, Rouletabille, przyjacielu, wznieś głowę!... Jest niemożliwe, aby zdarzenie

tajemniczej galerii wychodziło istotnie poza krąg, zakreślony twym rozumem.

Ty to wiesz! Ty wiesz! Więc podnieś głowę, naciśnij dłońmi guzy twego czoła i przypomnij sobie, że zakreślając ten krąg, aby go narysować w twym mózgu, jak to rysują na papierze figurę geometryczną – tyś podjął wątek z dobrego końca.

A więc idź teraz... wracaj do galerii tajemniczej, a opierając się na właściwym końcu twej drogi, jak Fryderyk Larsan opiera się na swej lasce, ty wkrótce dowiedziesz, że wielki Fryd jest głupcem!

Józef Rouletabille

30 października w południe

Tak myślałem... i tak postąpiłem... Z głową rozpaloną powróciłem do galerii i oto, choć nie znalazłem tam nic więcej nad to, co widziałem ostatniej nocy, dobry kierunek mego umysłu wskazał mi rzecz tak olbrzymią, że muszę się wesprzeć na nim, aby nie upaść.

Ach, trzeba mi będzie siły jednakże, aby odnaleźć teraz ślady namacalne, które wejdą, które muszą wejść w krąg jeszcze szerszy, jaki zarysowałem tu, pomiędzy dwoma guzami mego czoła!

Józef Rouletabille.

30 października, o północy.

Rozdział XIX

Rouletabille zaprasza mnie na śniadanie do oberży *Pod wieżą*

W dzień, kiedy przybyłem, do Glandier, Rouletabille opowiedział mi, jak najszczegółowiej to wszystko, co czytelnicy wiedzą już teraz z jego pamiętnika przytoczonego wyżej przeze mnie.

Zjawisko w galerii miało więc miejsce na trzy dni przed moim przybyciem do Glandier, kiedy wezwany depeszą przyjaciela przywoziłem mu żądane rewolwery.

Jestem w pokoju Rouletabille'a, który co tylko skończył swoje opowiadanie, w którego czasie nie przestawał gładzić wypukłych szkieł binokli znalezionych na biurku, a ja zrozumiałem z radości, z jaką pieścił te szkła dalekowiedza, że one to właśnie stanowią jeden z dowodów namacalnych mających wejść w **koło zakreślone właściwym kierunkiem jego rozumu**.

Ten sposób dziwaczny, jedyny w swoim rodzaju, jakiego używał dla wyrażenia swej myśli, mnie już nie zadziwiał; jednak trudno było przeniknąć myśl Rouletabille'a w jego dziwnych wyrażeniach.

Józef Rouletabille zapytał, co myślę o jego opowiadaniu. Odpowiedziałem, że jego pytanie wprowadza mnie w kłopot, na co zaproponował mi, abym też spróbował zbadać rzecz z właściwego końca.

— A więc — rzekłem — zdaje mi się, że punktem wyjścia dla mego rozumowania powinno być to: nie ma wątpliwości, że zbrodniarz, któregoście ścigali, był przez pewną chwilę tej pogoni w galerii.

I zatrzymałem się.

— Ale rozpoczynając tak dobrze, nie powinienes zatrzymywać się tak wcześnie. Spróbuj jeszcze trochę wysiłku.

— Popróbuje. Z chwilą kiedy, będąc w galerii zniknął w niej, nie mógł przejść ani przez okno, ani przez drzwi; musiał wymknąć się jakimś innym sposobem.

Józef Rouletabille popatrzył na mnie ze współczuciem, uśmiechnął się niedbale i nie wahał się już zwierzyć mi, że „rozumuję jak pantofel”.

— Co ja mówię, jak pantofel! Rozumujesz jak Fryderyk Larsan. Bo Józef Rouletabille przechodził kolejno okresy uwielbienia lub wzdargy dla Fryderyka Larsana; czasem wołał: *On naprawdę wielki!* czasem utyskiwał: *Jakie bydlę!* zależnie od tego, czy odkrycia Fryderyka Larsana postępowały zgodnie z jego rozumowaniem, lub też, czy jemu przeczyły. Zauważyłem, że było to słabą stroną szlachetnego charakteru chłopca.

Powstał i pociągnął mnie do parku.

Przechodząc przez dziedziniec w kierunku wyjścia, posłyszeliśmy stuk odrzucanych okiennic o ścianę, więc zwróciliśmy głowy. W oknie pierwszego piętra w lewym skrzydle zamku, ukazała się szkarłatna twarz, starannie wygolona, której nie znałem.

— Patrz! — szepnął Rouletabille — Artur Rance! — spuścił głowę, przyśpieszył kroku i posłyszałem, jak mówił przez zęby:

— Więc był tej nocy w zamku? Po co on tu przyjechał?

Kiedyśmy już byli daleko od zamku, zapytałem go, kto jest ów Artur Rance i skąd go zna.

Wówczas przypomniał mi swoje opowiadanie poprzednie, mówiąc, że Artur Rance to właśnie ten Amerykanin z Filadelfii, z którym tak obficie pił na przyjęciu w pałacu Elizejskim,

— Wszakże miał opuścić Francję niezwłocznie? — zapytałem.

— A tak, dlatego widzisz mnie zdziwionego, że go tu znajduję, nie tylko w ogóle we Francji, ale nade wszystko w Glandier! Dziś rano nie przyjechał; ani w nocy; przyjechał więc wczoraj przed obiadem, a nie widziałem go zupełnie. Jakże się stało, że odźwierni mnie nie zawiadomili?

Zwróciłem uwagę przyjaciela, że mi jeszcze nie powiedział, w jaki sposób odźwiernych wydobył na wolność. Zbliżaliśmy się właśnie do ich mieszkania; patrzyli na nas i życzliwy uśmiech rozjaśniał ich twarze zadowolone. Zdawało się, że zapomnieli już przykrości swego czasowego uwięzienia. Mój przyjaciel zapytał ich, o której godzinie przyjechał Artur Rance. Odpowiedzieli, że nie wiedzą nawet, czy pan Artur Rance jest w zamku. Miał przybyć wczoraj wieczorem, ale oni nie otwierali mu bramy, bo pan Artur Rance, jako doskonały piechur, nie chce, aby po niego wysyłano powóz i zwykle wysiadał na stacji małego miasteczka Saint-Michel, skąd szedł przez las do zamku. Przybywał do zamku od strony grotty świętej Genowefy i przeskakując niewysokie ogrodzenie, znajdował się w parku.

W miarę opowiadania odźwiernych, widziałem, jak twarz Rouletabille'a nachmurza się wyrażając pewne niezadowolenie i, bez wątpienia, niezadowolenie z siebie samego. Z pewnością był podrażniony, że pracując tyle na miejscu, badając tyle istot i rzeczy w Glandier tak szczegółowo, nie wiedział dotąd, że Artur Rance miał zwyczaj przychodzić do zamku.

Chmurny szukał dalszych wyjaśnień.

— Powiadacie, że pan Artur Wiliam Rance ma zwyczaj przychodzenia do zamku. Ale kiedyż on tu przyszedł po raz ostatni?

— Nie umiemy tego panu powiedzieć dokładnie — odrzekł pan Bernier — bo przecież nie mogliśmy nic wiedzieć, gdy nas trzymano w więzieniu, a potem dlatego, że jeśli ten pan nie przechodzi przez naszą bramę, idąc do zamku, nie przechodzi nią też, kiedy zamek opuszcza...

— To może wiecie, kiedy przyszedł po raz pierwszy?

— O tak, panie, to już dziewięć lat.

— Więc przed dziewięciu laty był we Francji po raz pierwszy, — odrzekł Rouletabille — a potem ile razy był w Glandier?

— Trzy razy.

— A kiedy był w Glandier ostatni raz przed dniem dzisiejszym?

— Jakiś tydzień przed wypadkiem w żółtym pokoju.

Rouletabille jeszcze zapytał, tym razem wyłącznie kobietę:

— W szparze podłogi?

— Tak, w szparze podłogi — odpowiedziała,

— Dziękuję — rzekł Rouletabille — przygotujcie się na dziś wieczór.

Wymówił to z palcem na ustach, nakazując milczenie i tajemnicę.

Wyszliśmy z parku i skierowaliśmy się ku oberży *Pod wieżą*.

— Czy tu jadasz niekiedy? — spytałem

— Tak.

— Ale jadasz też i w zamku?

— Tak, Larsan i ja każemy podawać sobie raz w jego pokoju, raz w moim.

— Pan Stangerson nigdy nie zaprosił was do stołu?

— Nigdy!

— Czy nie uprzykrza mu się wasza obecność w zamku?

— Nie wiem, ale w każdym razie zachowuje się, jak gdybyśmy go nie krępowali,

— Nigdy was nie pyta o nic?

— Nigdy! Pozostał w stanie umysłu człowieka, któremu mordowano za drzwiami córkę, który wyważył drzwi i nie znalazł zbrodniarza. Jest przekonany, jeżeli na razie on sam nic nie znalazł, tym bardziej my dziś nic nie odkryjemy. Ale uważa za swój obowiązek od chwili hipotezy Larsana w niczym nie sprzeciwiać się naszym przywidzeniom.

Rouletabille zagłębił się znów w swych myślach; po chwili dopiero, zwrócił się do mnie z opowiadaniem, jak uwolnił odźwiernych.

— Udałem się do pana Stangersona z kartką papieru i prosiłem, aby napisał na niej następujące słowa: *Zobowiązuję się, cokolwiek by powiedzieć mogli, zostawić w służbie moich wiernych służących – Berniera i jego żonę* – i podpisał. Wytłumaczyłem mu, że tym poręczeniem naklonię odźwiernego i jego żonę do powiedzenia prawdy, i pewny jestem, że oni nie odgrywają żadnej roli w zbrodni. Zresztą takie było i jego przekonanie. Sędzia śledczy pokazał tę kartkę Bernierom, którzy wreszcie przemówili. Powiedzieli to, czego byłem pewien, że powiedzą z chwilą, gdy znikła dla nich obawa utraty służby. Opowiedzieli, że polowali po kryjomu na gruntach pana Stangersona i tym sposobem znaleźli się właśnie w pobliżu pawilonu w chwili zbrodni. Kilka królików, które w ten sposób zdobywali, sprzedawali właścicielowi oberży *Pod wieżą*. To była prawda, odgadłem ją pierwszego dnia. Pamiętasz te słowa, z którymi wchodziłem do oberży: *Teraz trzeba będzie zjeść coś krwawiącego!* To zdanie posłyszałem jeszcze tego samego ranka przed bramą zamkową i tyś je słyszał, ale nie zwróciłeś uwagi. Pamiętasz, że zbliżając się do furty parkowej, zatrzymaliśmy się na chwilę, przypatrując się człowiekowi, który przed murem parkowym wykonywał różne ruchy, spoglądając co chwila na zegarek. Był to Larsan. Poza nami zaś właściciel oberży, stojąc na progu, mówił do kogoś, co się znajdował w głębi: *Teraz trzeba będzie zjeść coś krwawiącego*. Czemuż to **teraz**? Kiedy ktoś, tak jak ja, jest w poszukiwaniu najbardziej tajemniczej prawdy – nie pomija niczego z tego, co widzi i słyszy. *Teraz* dla mnie znaczyło: *od chwili zbrodni*. Więc od początku moich poszukiwań usiłowałem znaleźć związek między tym zdaniem i dramatem. Poszliśmy na śniadanie *Pod wieżą* i wprost powtórzyłem te słowa; po zdziwieniu i zakłopotaniu ojca Mathieu spostrzegłem, że bynajmniej nie przesądziłem doniosłości tych słów. Dowiedziałem się wtedy o uwięzieniu odźwiernych. Oberżysta mówił o nich, jak o przyjaciółkach, których się żałuje... Fatalny związek myśli... Powiedziałem sobie: *Teraz*, odkąd odźwierni są aresztowani, *trzeba będzie zjeść coś krwawiącego*. Nie ma odźwiernych, nie ma zwierzyny! Jakim sposobem doszedłem do tego pojęcia określonego *zwierzyny*? Wyrażna nienawiść ojca Mathieu do gajowego pana Stangersona, nienawiść zapewne podzielana i przez odźwiernych nasunęła mi z lekka myśl o kradzieży zwierzyny... Zresztą, według wszelkiej oczywistości odźwierni nie mogli być w chwili wypadku w łózkach, czemu więc byli na dworze tej nocy? Czy dla współdziału? Daleki byłem od tej myśli, bo już wtedy myślałem, co poniżej wyjaśnię, że zbrodniarz nie miał współnika, że cały ten dramat skrywał tajemnicę między panną Stangerson i zbrodniarzem, i w niej odźwierni nie mieliby co robić. Sprawa kradzieży zwierzyny wyjaśniała wszystko co do odźwiernych. To uznałem w zasadzie i szukałem dowodu w ich mieszkaniu. Dostałem się tam, jak widziałeś, i znalazłem pod łóżkiem sidła i druty. Do pioruna! — pomyślałem — oto dlaczego włączyli się nocą po parku. Zupełnie się nie dziwiłem, że milczeli wobec sędziego i że pod ciężkim zarzutem współdziału w zbrodni nie przyznali się od razu do polowania na pańską zwierzynę. Wyznanie uwolniłoby ich od odpowiedzialności sądowej, ale groziło im wypędzeniem ze służby; ponieważ zaś byli najzupełniej pewni swej niewinności w zbrodni i że się wkrótce wszystko wyjaśni co do niej, więc nikt się nie dowie o ich nocnych wyprawach na króliki. Przynosząc im zobowiązanie podpisane przez pana Stangersona, skłaniałem ich do szczerego wyznania. Dali też wszelkie dowody konieczne i byli wypuszczeni na wolność; a dla mnie powzięli prawdziwą wdzięczność.

Czemu pierwaj ich nie uwolniłem? Bo nie byłem jeszcze zupełnie pewny, czy z ich strony była tylko kradzież zwierzyny. Zbadałem i z czasem upewniłem się w mym przekonaniu. Nazajutrz po zjawisku w galerii, potrzebując ludzi oddanych, postanowiłem położyć kres ich niewoli. Oto wszystko.

Tak mówił Józef Rouletabille, a ja podziwiałem prostotę jego rozumowania, która doprowadziła go do poznania prawdy w sprawie współwiny odźwiernych. Pewnie, że to drobiazg, który jednak budził nadzieję, że wkrótce młody człowiek z tą samą prostotą wyjaśni nam straszną noc w żółtym pokoju i w galerii tajemniczej.

Przybyliśmy do oberży *Pod wieżą*. Weszliśmy. Tym razem nie widzieliśmy gospodarza, przyjęła nas gospodyni dobrym, życzliwym uśmiechem. Mówiłem już o jej ślicznej postaci, jasnych włosach i łagodnych oczach. Niezwłocznie zajęła się naszym śniadaniem.

— Jak się miewa ojciec Mathieu? — zapytał Rouletabille.

— Nie lepiej, panie, nie lepiej: ciągle w łóżku.

— Reumatyzm go nie opuszcza?

— Oj nie! tej nocy jeszcze musiałam zastrzykiwać mu morfinę. To jedno lekarstwo, co jeszcze uśmierza jego cierpienia.

Mówiła głosem miękkim, wszystko w niej wyrażało łagodność. Była naprawdę piękna, trochę powolna, o wielkich podkrążonych oczach, oczach zakochanej. Ojciec Mathieu musiał być szczęśliwym człowiekiem, gdyby mu reumatyzm nie dolegał. Ale ona czy była szczęśliwa z tym zreumatyzowanym gburem? Scena, której byliśmy poprzednio świadkami nie mogła nam tego potwierdzić, a jednak w całym zachowaniu się tej kobiety było coś, co nie znamionowało wcale rozpaczy. Wyszła do kuchni przygotować śniadanie, a na stole postawiła nam butelkę doskonałego jabłeczniku. Rouletabille nalał go w kubki, napełnił fajkę, zapalił ją i powoli wyjaśnił mi wreszcie przyczynę, dla której wezwał mnie z rewolwerami do Glandier,

— Tak — mówił, śledząc zamyślonym okiem kółka dymu, które puszczał — tak, mój drogi, **dziś wieczór oczekuję zbrodniarza.**

Nastąpiła chwila milczenia, której nie śmiałem przerywać, po czym mówił dalej:

— Wczoraj wieczorem, kiedym się kładł do łóżka, pan Robert Darzac zastukał do mego pokoju. Otworzyłem mu, a on mi oświadczył, że musi wyjechać nazajutrz rano, to jest dziś rano, do Paryża. Przyczyna, która go zmuszała do tej podróży była jednocześnie nieodwołalna i tajemnicza, nieodwołalna, bo było niepodobieństwem odłożyć podróż, a tajemnicza, bo było niepodobieństwem powiedzieć mi o jej celu. — Wyjeżdżam — dodał — a jednak dałbym połowę życia mego, aby w tej chwili nie opuszczać panny Stangerson. Nie ukrywał mi zupełnie że widział ją znów w niebezpieczeństwie. — Nocy jutrzejszej nastąpi coś, o czym nie wątpię — przyznał się — a jednak muszę jechać i będę z powrotem dopiero pojutrze z rana.

Prosiłem go o wyjaśnienie, ale oto wszystko, co mi wyjaśnił. O grożącym niebezpieczeństwie nasuwał mu myśl jedynie dziwny zbieg między jego nieobecnością a zamachami na pannę Stangerson. Przed nocą w galerii tajemniczej musiał opuścić Glandier; w noc żółtego pokoju nie mógł być w Glandier i rzeczywiście widzieliśmy, że tam nie był. Przynajmniej wiemy to oficjalnie z jego oświadczeń. Jeśli dzisiaj, przejęty podobną myślą, musiał opuścić Glandier, ulegał chyba silniejszej woli niż jego własna. To pomyślałem i powiedziałem mu. Na co odrzekł: — Może! — Zapytałem wtedy, czy ta wola nie jest wolą panny Stangerson; przysiągł mi, że nie, i że decyzja wyjazdu była powzięta przez niego, poza wszelką radą panny Stangerson. Jeszcze raz mi powtórzył, że myśli o możebności nowego zamachu jedynie z przyczyny tej dziwnej jednoczesności wydarzeń, które sam zauważył i które nawet sędzia śledczy mu wskazał. — Jeśli się stanie coś pannie Stangerson, to będzie strasne i dla niej i dla mnie; dla niej, która raz jeszcze znajdzie się między życiem i śmiercią, i dla mnie, który nie

będę mógł jej bronić w razie napadu i potem nie będę mógł zdać sprawy gdzie spędziłem noc. Zdaję sobie doskonale sprawę z podejrzeń, które na mnie ciążyą. Sędzia śledczy i pan Fryderyk Larsan nie są dalecy od myśli, że ja jestem winowajcą; szczególnie pan Larsan śledzi mnie krok w krok; ostatnim razem, gdy byłem w Paryżu, miałem niemożliwe przykrości, zanim się od niego odczepiłem. — Czemu pan nie mówi — zawołałem nagle — nazwiska zbrodniarza, wszak pan go zna? — Pan Darzac wydał się nad wyraz zmieszany mym wykrzyknikiem. Głosem wahającym odrzekł: — Ja znam nazwisko zbrodniarza? A któż mi je powiedział? — Odpowiedziałem od razu: — Panna Stangerson! — W tej chwili zbladł tak przerażająco, że myślałem, iż zemdleje lada chwila i widziałem, że cios był trafny: panna Stangerson i on wiedzą nazwisko zbrodniarza! Potem, odzyskując panowanie nad sobą, dodał: — Opuszczam pana. Odkąd pan tu jest, miałem sposobność poznać pańską wyjątkową inteligencję i szczerą nieporównaną. Żądam od pana przysługi. Może niesłusznie obawiam się wypadku jutrzejszej nocy; ale ponieważ wszystko trzeba powiedzieć, liczę na pana, że pan udaremni podobne usiłowania... Uczyni pan wszystko możliwe, aby koniecznie ustrzec pannę Stangerson. Spraw, aby nie można było wejść do jej pokoju. Czuwaj koło tych drzwi, jak dobry pies. Nie śpij. Nie pozwalaj sobie ani na jedną chwilę spoczynku. Człowiek, którego się obawiamy, posiada przebiegłość niesłychaną, jakiej równej może nie ma na świecie. Ta przebiegłość go ocali nawet wówczas, gdy pan czuwać będzie; niemożliwe, aby tak przebiegły nie wiedział, że pan czuwa; a jeśli wie o tym, niczego nie zaniedba. — Czy pan mówił o tym z panem Stangersonem? — Nie! — Dlaczego? — Bo nie chcę zupełnie, aby pan Stangerson powiedział to, co pan powiedział. Przed chwilą: *Pan wie nazwisko zbrodniarza!* Jeżeli pan się dziwi, słysząc ode mnie, że może jutro zbrodniarz przyjdzie, to jakież byłoby zdziwienie pana Stangersona, gdybym mu to powiedział. On nie uwierzy może, że mój ponury prognostyk jest motywowany tylko prostą współlistnością wydarzeń, które uznałby może za dziwne... Mówię to panu wszystko, panie Rouletabille, bo wielkie... wielkie zaufanie mam do pana... Wiem, że pan, pan mnie nie posądza!

— Biedny człowiek, ciągnął Rouletabille, odpowiadał mi jak mógł. Cierpiał.

Współczułem z nim tym bardziej, że zdawałem sobie doskonale sprawę, że raczej da się zabić, niż mi powie kim jest zbrodniarz, że tak samo panna Stangerson da się raczej zamordować, niż wyda człowieka z żółtego pokoju i tajemniczej galerii. Ten zbrodniarz musi ją lub ich oboje trzymać w sposób straszny i oni oboje niczego bardziej się nie obawiają, niż tego, aby pan Stangerson się dowiedział, że córka jego jest usidlona przez swego mordercę. Dałem do zrozumienia panu Darzacowi, że dość mi wyjaśnił i że odtąd, może milczeć, ponieważ nie może mi nic więcej powiedzieć. Obiecałem mu czuwać i nie kłaść się tej nocy. Nalegał abym utworzył prawdziwy kordon nieprzebyty dokoła pokoju panny Stangerson, dokoła buduaru, gdzie śpią dwie służące i dokoła salonu, gdzie sypiał pan Stangerson od dnia wypadku w tajemniczej galerii; słowem: dokoła całego mieszkania. Zrozumiałem, że pan Darzac mnie prosił nie tylko o to, abym udaremnił wstęp do pokoju panny Stangerson, ale też, abym ten wstęp uczynił tak oczywiście niemożliwym, żeby ten człowiek zniechęcił się od razu i zaniechał swego zamiaru, nie pozostawiając śladu po sobie. Tak sobie tłumaczyłem ostatnie jego słowa, z którymi się pożegnał: — Kiedy wyjadę, pan będzie mógł mówić o swych obawach tej nocy do pana Stangersona, do ojca Jakuba, do Fryderyka Larsana, do wszystkich w zamku i w ten sposób zorganizować aż do mego powrotu nadzór, który w oczach wszystkich będzie pomysłem pana wyłącznie.

Wyszedł, biedny człowiek, nie wiedząc już sam, co mówił wobec mego milczenia i mych oczu, które mu wprost krzyczały, że odgadłem trzy czwarte jego tajemnicy.

Kiedy wyszedł, zacząłem rozmyślać. Trzeba być bardziej przebiegłym niż sama przebiegłość, w ten sposób, żeby ów człowiek, jeśli miał tej nocy udać się do pokoju panny

Stangerson, nie przypuszczał ani jednej sekundy, że jego przybycie może być przeczuwane. Tak! zabronić mu wstępu choćby śmiercią, ale pozwolić zbliżyć się dostatecznie, aby żywym czy martwym móc widzieć wyraźnie jego twarz. Bo trzeba z tym skończyć i oswobodzić pannę Stangerson od jej powolnego morderstwa!

— Tak, mój przyjacielu — oznajmił Rouletabille, kładąc fajkę na stole i wychylając swój kubek — muszę widzieć wyraźnie twarz jego, aby być pewnym, czy ona wchodzi w koło zakreślone właściwym kierunkiem mego rozumu.

W tej chwili zjawiała się pani Mathieu z gotowym już, tradycyjnym omletem. Rouletabille trochę zażartował z panią Mathieu, która była w najlepszym humorze.

— Ona daleko weselsza — powiedział — kiedy ojciec Mathieu jest w łóżku, aniżeli gdy jest rzeński!

Nie myślałem jednak ani o żartach Rouletabille'a, ani o uśmiechach gospodyni, pochłaniały mnie ostatnie słowa mego przyjaciela i dziwne postępowanie pana Darzaca.

Po skończonym posiłku, kiedy znów znaleźliśmy się sami, Rouletabille ciągnął dalej swe zwierzenia:

— Kiedy wysyłałem ci depezę rankiem, mogłem myśleć według słów pana Darzaca: *Zbrodniarz może dziś w nocy przyjdzie*. Ale teraz mogę ci powiedzieć, że on przyjdzie na pewno. Tak, ja go czekam.

— Cóż ci dało tę pewność? Czy przypadkiem nie...

— Cicho bądź — przerwał i uśmiechnął się Rouletabille — cicho bądź, powiesz głupstwo. Że zbrodniarz przyjdzie, mam pewność od godziny wpół do jedenastej dzisiejszego ranka, to jest przed twoim przybyciem, więc i przed spostrzeżeniem w oknie Artura Rance'a.

— Ach! — zawołałem — naprawdę... ale czemuż to właśnie od wpół do jedenastej jesteś tego pewien?

— Bo o wpół do jedenastej przekonałem się, że panna Stangerson robi tyleż wysiłków, aby umożliwić zbrodniarzowi wejście do swego pokoju dzisiejszej nocy, ile ostrożności ze swej strony przedsiębrał pan Rober Darzac, aby zabronić mu tego wstępu...

— O! czy to możliwe!... — zawołałem.

I dodałem ciszej:

— Czyżeś mi nie mówił, że panna Stangerson uwielbia pana Roberta Darzaca?

— Powiedziałem ci, to jest prawda!

— Więc nie uznajesz tego za dziwne?

— Wszystko jest dziwne w tej sprawie, mój kochany, ale pamiętaj, że to, co wiesz, jest niczym wobec tego, co cię czeka!...

— Trzeba się domyślać — powiedziałem jeszcze — że panna Stangerson i jej morderca porozumiewają się przynajmniej listownie?

— Myśl tak, mój przyjacielu... Nic nie ryzykujesz!.. Wspomniałem ci o dziejach listu na stole panny Stangerson, listu pozostawionego przez zbrodniarza w noc tajemniczej galerii, który zniknął w kieszeni panny Stangerson... Któż zaręczy, że w tym właśnie liście zbrodniarz nie zmuszał panny Stangerson, aby mu dała w najbliższym czasie widzenie się i wreszcie, czy on nie powiadomił jej, jak tylko był pewien wyjazdu pana Darzaca, że to widzenie ma nastąpić tej właśnie nocy?...

I mój przyjaciel zaśmiał się z cicha.

Drzwi oberży się otworzyły. Rouletabille zerwał się tak nagle, jak gdyby tknięty prądem elektrycznym.

— Pan Artur Rance! — zawołał.

Pan Artur Rance stał przed nami i flegmatycznie się kłaniał.

Rozdział XX

Jeden ruch panny Stangerson

— Pan mnie nie poznaje? — zapytał Rouletabille dżentelmena.

— Doskonale — odrzekł Artur Rance. — Poznają młodzieńca z bufetu. (Twarz Rouletabille'a spłoszowała). I przyszedłem uściskać pańską dłoń. Wesoły chłopiec z pana. Amerykanin wyciąga dłoń; Rouletabille rozchmurza się, ściska dłoń, śmiejąc się, przedstawia mnie, zaprasza go do naszej uczy.

— Nie, dziękuję. Będę jadł śniadanie z panem Stangersonem.

Artur Rance mówi doskonale po francusku.

— Myślałem, że nie będę miał przyjemności jeszcze widzieć pana, wszak pan miał opuścić Francję nazajutrz, czy w dni parę po przyjęciu w Pałacu Elizejskim?

Rouletabille i ja z pozoru obojętni, chwytamy uważnie każde słowo Amerykanina.

Twarz wygolona barwy fioletowej, ciężko opadłe powieki, jakieś nerwowe drganie, wszystko znamionuje alkoholika. Jakim sposobem takie indywiduum może być współbiesiadnikiem pana Stangersona i jakże być może w stosunkach zażyłości ze znakomitym profesorem?

Dowiedziałem się dopiero w kilka dni później od Larsana, który tak samo był zdziwiony i zaintrygowany obecnością Amerykanina w zamku, że Artur Rance jest alkoholikiem dopiero od lat piętnastu czyli od wyjazdu z Filadelfii profesora z córką. W czasie pobytu Stangersonów w Ameryce znali się i często komunikowali z Arturem Rance'em, który był jednym z najwybitniejszych frenologów Nowego Świata. Wreszcie serdeczność, z jaką był przyjmowany Artur Rance w Glandier, tłumaczy się tym, że kiedyś ten amerykański uczoney oddał wielką przysługę pannie Stangerson, zatrzymując rozbiegane konie jej powozu z narażeniem własnego życia. Możliwe, że wskutek tego wypadku jakaś przyjaźń związała chwilowo Artura Rance'a z córką profesora; ale nie nasuwało to najlżejszej myśli o historii miłosnej.

Skąd czerpał swoje wiadomości Fryderyk Larsan, tego nam nie powiedział, ale zdawał się być pewnym tego, co mówił.

Nie wiedzieliśmy o tych szczegółach; mniej by nas interesowała obecność Artura Rance'a w zamku, ale zaciekawiała osobistość jego. Miał zapewne czterdzieści pięć lat. Na pytanie Rouletabille'a odpowiedział najnaturalniej w świecie:

— Kiedym się dowiedział o zbrodni, opóźniłem mój powrót do Ameryki; chciałem się upewnić, że panna Stangerson nie jest śmiertelnie raniona i nie odjadę, aż będzie zupełnie zdrowa.

Natenczas Artur Rance ujął ster rozmowy, unikając odpowiedzi na pewne pytania Rouletabille'a i zupełnie nieproszony zaczął nam wyjawiać swoje osobiste poglądy na zbrodnię, poglądy, które, o ile mogłem zrozumieć, bynajmniej nie były zbyt oddalone od wygłaszanych przez Fryderyka Larsana, to znaczy, że Amerykanin tak samo myślał o roli Roberta Darzaca w tej sprawie. Nie nazwał go wprawdzie, ale łatwo było domyślić się, co tkwiło w głębi tej argumentacji. Powiedział nam, że wie o usiłowaniach młodego Rouletabille'a, aby rozwikłać splątany motek tajemnic żółtego pokoju. Oświadczył, że pan Stangerson opowiadał mu o

zdarzeniu w tajemniczej galerii. Widoczne było, słuchając Artura Rance'a, że tłumaczył wszystko za pomocą Roberta Darzaca. Kilkakrotnie wyraził ubolewanie, że pan Robert Darzac był właśnie nieobecny w zamku, gdy się odbywały tam owe tragiczne zajścia. Zrozumieliśmy, o co mu idzie. Wreszcie dodał, że pan Darzac był szczęśliwie natchniony i zręczny, wprowadzając do zamku pana Józefa Rouletabille'a, który, bez wątpienia wkrótce wykryje mordercę. Wymówił to ostatecznie zdanie z widoczną ironią, uklonił się i wyszedł.

Rouletabille popatrzył za nim przez okno i rzekł:

— Bałwan!

Zapytałem go:

— Czy myślisz, że on zanocuje w zamku?

Ku zdumieniu mojemu, reporter odrzekł, że mu to zupełnie obojętne.

Popołudnie spędziliśmy na przechadzce w lesie, Rouletabille zaprowadził mnie do groty świętej Genowefy, rozmawiał i opowiadał o wszystkim z wyjątkiem tego, co go wyłącznie zajmowało. Tak zbliżył się wieczór. Dziwiłem się, że reporter nie rozpoczyna żadnych przygotowań, których oczekiwałem. Kiedyśmy przed wieczorem byli sami w naszym pokoju, zrobiłem mu tę uwagę. Odrzekł, że wszystkie jego przygotowania są już zrobione i że zbrodniarz tym razem nie ujdzie mu. Wyraziłem wątpliwość, przypominając mu zniknięcie człowieka w tajemniczej galerii, i że coś podobnego może się powtórzyć. Odpowiedział mi, że tego się spodziewa i że jest to właśnie wszystko, czego pragnie tej nocy. Nie nalegałem więcej, wiedząc, że to daremne i niewłaściwe z mej strony. Powiedział mi jednak, że od rana, dzięki staraniom jego i odźwiernych, zamek jest strzeżony w ten sposób, że nikt nie może się doń zbliżyć bez wiedzy jego i że w razie, jeśli z zewnątrz nikt nie przybędzie, jest zupełnie spokojny o to, co dotyczy jego mieszkańców. Zegar wskazywał wpół do szóstej. Rouletabille wstał, dał znak, abym szedł za nim i bez żadnych ostrożności, nie próbując nawet tłumić odgłosu swoich kroków, ani nie nakazując mi milczenia, poprowadził mnie przez galerię do galerii prawej. Poszliśmy nią prosto, mijając schody główne, i szliśmy wciąż dalej galerią lewego skrzydła, koło mieszkania pana Stangersona. Na końcu tej galerii, nie dochodząc do wieży, znajdował się pokój zajmowany przez Artura Rance'a. Drzwi tego pokoju były w poprzek galerii, bo pokój zamykał galerię od strony lewej. Te drzwi były naprzeciw okna wschodniego, znajdującego się na końcu galerii prawej. Wychodząc z tego pokoju, widziało się całą galerię wzdłuż, to znaczy skrzydło lewe, schody i skrzydło prawe. Jedyne galeria boczna prawego skrzydła była niewidzialna.

— Galerię boczną — rzekł Rouletabille — zachowuję dla siebie. Ty, kiedy poproszę, tu się umieścisz.

I wprowadził mnie do małego gabinecziku czarnego, trójkątnego, położonego skośnie na lewo od pokoju Artura Rance'a. Z tego zakątka mogłem doskonale widzieć, co się działo w galerii, jak gdybym był we drzwiach pokoju pana Artura Rance'a, i jednocześnie mogłem czuwać nad drzwiami Amerykanina. Choć jasno było w galerii przy wszystkich zapalonych lampach, w gabinecziku było zupełnie ciemno. Była to pozycja wybrana dla szpiega.

Bo jakąż inną rolę mogłem tu mieć? Odrzucałem ją ze wstrętem. Sprzeciwiał się temu nie tylko mój instynkt naturalny ale i poczucie godności mego zawodu. W istocie, cóżby powiedziano o mnie w sądzie! Rouletabille nie przypuszczał nawet, że mogę mu odmówić przysługi, której też nie odmówiłem; naprzód dlatego, że nie chciałem w jego oczach uchodzić za małodusznego, po wtóre pomyślałem, że wszędzie, jako amatorowi, dozwolone mi poszukiwać prawdy, po trzecie, że za późno było się cofać.

Powróciliśmy znów galerią. W chwili gdyśmy przechodzili koło mieszkania panny Stangerson, drzwi salonu się otworzyły i ukazał się w nich kamerdyner, który usługiwał przy obiedzie. (Pan Stangerson od trzech dni spożywał obiad z córką w salonie na pierwszym piętrze).

Ponieważ drzwi pozostały na chwilę otwarte, zobaczyliśmy z nich doskonale pannę Stangerson, która, korzystając z nieobecności służącego i z tego, że ojciec jej schylił się właśnie po jakiś przedmiot przez nią upuszczony, szybko wylała zawartość maleńkiego flakoniku do szklanki pana Stangersona.

Rozdział XXI

Czaty

Ten ruch, który mnie wzburzył, zdaje się, nie poruszył nadto Rouletabille'a. Znaleźliśmy się znów w jego pokoju i nie mówiąc nic o scenie, którą pochwyciliśmy przypadkiem, Rouletabille wydawał mi ostatnie rozporządzenie na tę noc. Najpierw mieliśmy zjeść obiad. Po obiedzie powinienem pójść do czarnego gabinetu i tu oczekiwać chwili, kiedy będzie coś do widzenia.

— Gdybyś spostrzegł co przede mną — tłumaczył mi przyjaciel — trzeba mnie ostrzec. Spostrzeżesz przede mną w takim razie, gdyby ów człowiek wchodził do galerii prawej jakąkolwiek inną drogą, niż galerią boczną, bo ty widzisz całą galerię prawą, a ja tylko boczną. Aby mnie ostrzec, wystarczy ci tylko spuścić sznur podtrzymujący firankę w oknie galerii lewej, który się znajduje najbliżej czarnego gabinetu. Firanka opadnie sama, zasłaniając okno; czyniąc jednocześnie kwadrat ciemny tam, gdzie był jasny, bo galeria jest cała oświetlona. Dla załatwienia tego dosyć ci będzie wyciągnąć rękę z czarnego gabinetu. Ja z galerii bocznej, która krzyżuje się z galerią prawą pod kątem prostym widzę wszystkie jasne kwadraty okien galerii prawej. Kiedy kwadrat jasny, o którym ci wspominałem, stanie się ciemny, będę wiedział, co to znaczy.

— A wtedy?

— Wówczas ujrzysz mnie u wylotu galerii bocznej.

— I co wtedy zrobię?

— Podążysz natychmiast ku mnie, ale ja będę już naprzeciw człowieka, zobaczę, czy jego twarz wchodzi w moje koło...

— Czy to nakreślone we właściwym kierunku twojego rozumu? — dodałem z uśmiechem.

— Czemu się śmiejesz? To zupełnie niepotrzebne. Wreszcie korzystaj dla uciechy z kilku chwil, które jeszcze pozostają, bo ci ręczę, że wkrótce nie znajdziesz sposobności.

— A jeśli człowiek ucieknie?

— Tym lepiej — wyrzekł flegmatycznie Rouletabille. — Nie chodzi mi o to, aby go ująć; może sobie uciekać przez schody i przedsiemek na dole... i to zanim ty dojdiesz do schodów, bo będziesz na końcu galerii. Ja mu pozwolę uciekać, skoro tylko spojrzę mu w twarz. To wszystko czego mi trzeba: widzieć jego twarz. Później do mnie należy, żeby umarł dla panny Stangerson, nawet gdyby został żywy. Jeśli go pochwycę żywego, panna Stangerson i pan Darzac może mi nie przebaczą tego nigdy. A mnie zależy na ich życzliwości, to dzielni ludzie. Kiedy widzę pannę Stangerson, wlewającą narkotyk w szklankę ojca, żeby dzisiejszej nocy nie przebudzić go rozmową, którą mieć będzie ze swym mordercą, zrozumiesz, że jej wdzięczność dla mnie znalazłaby granicę, gdybym przyprowadził do jej ojca, ze związanymi rękoma, ale z ustami otwartymi człowieka z żółtego pokoju i tajemniczej galerii. Może to wielkie szczęście, że owej nocy ów człowiek znikł z galerii jakby mocą czarów! Zrozumiałem to owej nocy z nagłego rozpromienienia twarzy panny Stangerson, gdy się dowiedziała, że zbrodniarz uszedł. Zrozumiałem, że, aby ocalić nieszczęśliwą, nie tyle trzeba schwytać człowieka, ile uczynić go

niemym w jakikolwiek sposób. Ale zabić człowieka! Zabić człowieka to niemała sprawa. A poza tym, nie należy to do mnie... Chyba mi da sposobność... Z drugiej strony, uczynić niemym bez zwierzenia mi tajemnicy przez pannę Stangerson, to znaczy najprzód wszystko odgadnąć z niczego. Szczęściem, mój przyjacielu, ja odgadłem, lub raczej wyrozumowałem... i nie żądam od tego człowieka nic więcej tylko twarzy, która by weszła...

— W kierunku...

— Doskonale! Jego twarz mnie nie zdziwi!

— Sądziłem, żeś już widział twarz jego, wówczas gdyś wskoczył do pokoju.

— Źle. Świeca stała na posadzce... a do tego ta broda...

— Czy tym razem nie będzie jej miał?

— Chyba się nie mylę, twierdząc, że ją będzie miał. Ale galeria jest jasna a do tego teraz ja wiem, albo przynajmniej mózg mój wie... więc oczy zobaczą.

— Jeśli idzie tylko o zobaczenie go i wypuszczenie z rąk, czemuż się zbroimy?

— Bo, mój drogi, jeśli człowiek z żółtego pokoju i tajemniczej galerii wie, że ja wiem o nim, jest on zdolny do wszystkiego! Wtedy trzeba nam się bronić.

— I tyś pewien, że przyjdzie wieczorem?...

— Tak pewny jak tego, że cię widzę w tej chwili!... Panna Stangerson o wpół do jedenastej rano najzręczniejszą w świecie urządziła się tak, żeby być bez służących tej nocy; uwolniła je na dwadzieścia cztery godziny pod wymyślonymi pozorami; a w czasie ich nieobecności nie chce nikogo dla swej pieczy, prócz ojca, który spać będzie w jej buduarze, z radością przyjmując tę nową rolę dla siebie. Dziwny zbieg wyjazdu pana Darzaca (po tym, co mi mówił) i wyjątkowe ostrożności panny Stangerson, aby zostać sama, nie pozostawiają żadnej wątpliwości. Panna Stangerson przygotowuje przybycie zbrodniarza, którego pan Darzac się obawia.

— To przerażające!

— Tak.

— A ruch ten, któryśmy pochwycili, to dlatego, aby uśpić ojca?

— Tak.

— W rzeczy samej dla dzisiejszej nocnej sprawy jest nas dwóch tylko?

— Czwororo; odźwierny i jego żona czuwają wszelki wypadek... Sądzę, że ich czuwanie będzie niepotrzebne *przed tym*. Chociaż odźwierny może będzie mi potrzebny *potem*, jeśli się będzie zabijało!

— Myślisz więc, że się będzie zabijało.

— Będziemy zabijali, jeśli tego on zechce.

— Dlaczego nie uprzedzisz ojca Jakuba? Czy już teraz nim się nie posługujesz?

— Nie — odparł Rouletabille szorstko.

Milczałem chwil kilka, potem chcąc poznać istotę myśli Rouletabille'a, zapytałem go nagle:

— Czemu nie uprzedzić Artura Rance'a? Mógłby się nam ogromnie przydać...

— Ach! cóż znowu? — zawołał Rouletabille ze złością — chciałbyś wszystkich wtajemniczyć w tajemnicę panny Stangerson?... Chodźmy na obiad... Już czas... Dziś jemy u Fryderyka Larsana, o ile nie goni jeszcze za Robertem Darzakiem... Nie opuszcza go ani na krok. Ale ba! jeśli go nie ma w tej chwili jeszcze, jestem pewien, że będzie tej nocy! A to jeden z tych, których chcę obalić!

W tej chwili usłyszeliśmy szmer w sąsiednim pokoju.

— To pewnie on — rzekł Rouletabille.

— Zapomniałem się zapytać — odezwałem się. — Kiedy będziemy z nim, żadnej

wzmianki o projektowanej wyprawie nocnej, wszak prawda?

— Oczywiście; działamy sami, na nasz osobisty rachunek.

— I cała sława nam przypadnie?

Rouletabille roześmiał się:

— Jak rzekłeś!...

— Jedliśmy z Fryderykiem Larsanem w jego pokoju. Zastaliśmy go już u siebie; oświadczył nam, że tylko co powrócił, i zapraszał nas do stołu. Obiad przeszedł w najlepszym humorze, a ja zrozumiałem łatwo, że to pochodzi z tej pseudopewności jednego i drugiego, iż każdy z nich jest w posiadaniu prawdy. Rouletabille poinformował Larsana, że przybyłem go odwiedzić z własnego popędu, że zatrzymuje mnie, bym mu pomógł w dużej pracy, którą przygotowuje tejsze nocy dla *Epoki*. Mam odjechać do Paryża pociągiem o jedenastej godzinie, zabierając jego korespondencję, rodzaj felietonu, w którym zdaje sprawę z głównych zająć tajemnicy w Glandier. Larsan uśmiechnął się na to wyjaśnienie, jak człowiek, który nie da się okpić, ale przez grzeczność nie miesza swych uwag do rzeczy, które go nie dotyczą. Zachowując nieskończone ostrożności w wysłowieniu i nawet w modulacji głosu, Larsan i Rouletabille rozmawiali długo o obecności w zamku pana Artura Rance'a, o jego przeszłości w Ameryce, którą chcieliby znać bliżej, szczególnie o stosunkach, jakie go łączyły ze Stangersonami. W pewnej chwili Larsan, który wydał mi się nieco cierpiącym, rzekł z wysiłkiem:

— Sądzę, panie Rouletabille, że nie mamy już wiele do roboty w Glandier i myślę, że niewiele już nocy tu prześpimy.

— I ja tak myślę, panie Frydzie.

— Więc myślisz, mój drogi, że sprawa już skończona?

— Myślę w istocie, że skończona i że niczego więcej już się nie dowiemy — odparł Rouletabille.

— Czy znasz pan winnego? — zapytał Larsan.

— A pan?

— Tak.

— Ja także — rzekł Rouletabille.

— Czyżby był ten sam?

— Nie sądzą, jeśli pan dotąd nie zmienił przekonania — powiedział młody reporter. I dodał silnie:

— Pan Darzac, to szlachetny człowiek!

— Pan tego pewien? — zapytał Larsan. — A więc, jam pewien czegoś zupełnie przeciwnego. Więc nas walka czeka?

— Tak, walka. I pobiję pana, panie Frydzie Larsan.

— Młodość o niczym nie wątpi — odrzekł wielki Fryd, śmiejąc się i ścisnął moją dłoń, Rouletabille powtórzył jak echo:

— O niczym!

Ale nagle Larsan, który powstał, aby nam życzyć dobrej nocy, podniósł obie ręce do piersi i zachwiał się. Musiał wesprzeć się na Rouletabille'u, aby nie upaść. Pobladł nadzwyczajnie:

— O! o! — jęknął — co mi się stało? Czyżbym był otruty?

I wodził po nas błędnym wzrokiem... Na próżno dopytywaliśmy go, nic nie odpowiadał... Opadł na krzesło i nie mogliśmy wyciągnąć zeń, ani słowa. Zaniepokoił się niezmiernie i o niego i o nas, bośmy jedli te same potrawy, co on. Zakrzętnęliśmy się koło niego. Zdawało się, że już nie cierpi, ale głowa opadła mu ciężko na ramię, a ociężałe powieki ukrywały nam jego wzrok. Rouletabille pochylił się nad jego piersią i badał serce.

Kiedy się wyprostował, miał twarz równie spokojną, jak przed chwilą zaniepokojoną i rzekł:

— Śpi!

Pociągnął mnie do swego pokoju, zamykając najpierw drzwi pokoju Larsana.

— Narkotyk? — zapytałem — więc panna Stangerson chce nas wszystkich uśpić na dzisiejszy wieczór?,

— Być może — odrzekł Rouletabille, zajęty myślą.

— Ale my! my! — zawołałem. — Któż zaręczy, czy nie połknęliśmy tego samego środka?

— Czy czujesz się niedobrze? — zapytał spokojnie Rouletabille.

— Nie, zupełnie dobrze!

— A masz chęć spać.

— Zupełnie nie.

— A więc, przyjacielu, zapal to doskonale cygarko.

I podał mi doskonałą hawanę w najlepszym gatunku które mu ofiarował pan Robert Darzac. Sam zapalił swoją zwykłą fajkę.

Tak pozostaliśmy w naszym pokoju do godziny dziesiątej, nie mówiąc już ani słowa. Zagłębiony w fotelu Rouletabille palił, nie ustając, z czołem zadumanym i wzrokiem dalekim. O dziesiątej zdjął obuwie i dał mi znak; rozumiałem, że mam to samo zrobić za jego przykładem. Kiedyśmy zostali w skarpetkach, Rouletabille wyszeptał tak cicho, że raczej domyśliłem się, niż posłyszałem:

— Rewolwer!

Wyjąłem rewolwer z kieszeni mej kurtki.

— Nabij! — rzekł jeszcze.

Wtedy skierował się do drzwi swego pokoju, otworzył je z nieskończoną ostrożnością; drzwi nie skrzypnęły. Znaleźliśmy się w galerii bocznej. Rouletabille dał mi nowy znak. Zrozumiałem, że mam zająć me stanowisko w czarnym gabinecie. Kiedy już oddaliłem się od niego, Rouletabille dogonił mnie, ucałował, potem widziałem, jak z tą samą ostrożnością wracał do swego pokoju. Zdziwiony tym pocałunkiem i trochę niespokojny doszedłem do galerii prawej, którą przebyłem bez przeszkody, minąłem schody główne i postępowałem dalej galerią lewego skrzydła aż do czarnego gabinetu. Zanim wszedłem do gabinetu, przyjrzałem się sznurom u firanek w tym

oknie... Wystarczyło mi istotnie ruszyć tylko palcem, aby ciężka firanka opadła od razu, zakrywając oku Rouletabille'a jasny kwadrat okna: znak umówiony. Odgłos kroków zatrzymał mnie u drzwi Artura Rance'a. Więc on jeszcze się nie położył! Ale jakim sposobem bawił jeszcze w zamku, skoro nie był obecny na obiedzie u pana Stangersona i jego córki?

Przynajmniej nie widziałem go przy stole w chwili, gdy spostrzegliśmy manewr panny Stangerson.

Ukryłem się w czarnym gabinecie. Było mi tam doskonale. Widziałem galerię w całej jej długości, galerię oświetloną jak we dnie. Oczywiście nic z tego, co mogłoby się stać, nie ujdzie mej uwagi. Ale cóż to tu się stanie? Może coś bardzo poważnego? Nowe niespokojne wspomnienie pocałunku Rouletabille'a. Tak się całuje przyjaciół tylko w chwilach ważnych, gdy grozi niebezpieczeństwo. Czyżby mi groziło niebezpieczeństwo?

Moja dłoń ścisnęła rączkę rewolweru. Czekałem. Nie jestem bohaterem, ale nie jestem tchórzem.

Czekałem blisko godzinę. W czasie tej godziny nie spostrzegłem nic anormalnego. Na dworze deszcz, który począł padać ulewnie koło godziny dziewiątej, ustał. Mój przyjaciel

uprzedził mnie, że prawdopodobnie nic nie zajdzie przed północą lub pierwszą w nocy. Tymczasem nie było więcej niż wpół do dwunastej, kiedy drzwi pokoju Artura Rance'a otworzyły się. Posłyszałem ich słabe skrzypnięcie, jak gdyby były pchnięte z największą ostrożnością. Drzwi zostały otwarte przez chwilę, która wydała mi się nieskończenie długa. Ponieważ drzwi otwierały się na galerię, nie mogłem widzieć ani tego, co się działo w pokoju, ani co się działo poza drzwiami w galerii. W tej chwili posłyszałem dziwny głos, który powtórzył się już po raz trzeci w parku, ale na który dotąd nie zwróciłem baczniejszej uwagi niż jak zwykle na miauczenie kotów, które błądzą w nocy po dachach. Ale tym trzecim razem miauczenie rozległo się tak czyste i tak szczególne, że w tej chwili przypomniałem sobie, co mi opowiadano o Zwierzątku Bożym. Ponieważ aż dotąd ten głos towarzyszył zawsze wszystkim dramatom, jakie rozgrywały się w Glandier, więc na to wspomnienie przebiegł mnie zimny dreszcz. W tej chwili spostrzegłem poza drzwiami człowieka, który je zamykał. Zrazu nie mogłem go rozpoznać, bo był do mnie zwrócony plecami i był pochylony nad dość dużą pakę. Człowiek, zamknąwszy drzwi i zabierając pakę, zwrócił się przodem ku drzwiom czarnego gabinetu i wtedy poznałem, kto w tej chwili wychodził z pokoju Artura Rance'a; był to gajowy, zielony człowiek. Miał na sobie to samo ubranie, w którym go widziałem na drodze koło oberży *Pod wieżą* pierwszego dnia mego pobytu w Glandier i które miał tegoż samego ranka jeszcze, gdy, wychodząc z Rouletabille'em, spotkaliśmy go na dziedzińcu zamkowym. Żadnej wątpliwości: to był gajowy. Widziałem go wyraźnie. Jego twarz zdawała się wyrażać pewien niepokój.

Kiedy głos Zwierzątka Bożego dał się słyszeć po raz czwarty, gajowy złożył swą pakę na podłodze, sam zaś zbliżył się, licząc od czarnego gabinetu, do drugiego okna. Nie odważyłem się na najmniejszy ruch, lękając się zdradzić swą obecność.

Stojąc w oknie, zbliżył czoło do szyby i patrzył w ciemną głębię parku. Tak stał z pół minuty. Noc była jasna chwilami, oświetlona srebrzystym księżycem, który niekiedy ginął nagle pod ciemnymi obrokami. Zielony człowiek podniósł dwa razy w górę ramiona, jak gdyby czynił znaki, których ja nie rozumiałem, potem oddalając się od okna, zabrał swą pakę i podążył galerią do schodów. Rouletabille powiedział mi: kiedy zobaczysz co, spuść sznur. Widziałem coś. Czy było to to właśnie, czego Rouletabille oczekiwał? To nie było moją sprawą, do mnie należało tylko wypełnić otrzymane zlecenie. Odwiązałem sznur. Moje serce biło jak młotem. Człowiek doszedł do schodów, ale ku niewypowiedzianemu memu zdumieniu, zamiast pójść prosto galerią prawego skrzydła, jak się tego spodziewałem, spostrzegłem, że schodzi po schodach do sieni.

Co czynić? Ogłupiały patrzyłem na ciężką firankę, która opadła na okno. Sygnał był dany, a nie widziałem Rouletabille'a u wyjścia galerii bocznej. Nic nie zaszło; nikt się nie ukazał. Nie wiedziałem, co z sobą robić. Upłynęło pół godziny długie jak wiek. Co zrobić teraz, nawet gdybym spostrzegł co innego? Sygnał był dany, nie mogłem go dać po raz wtóry... Z drugiej strony zapuszczać się w tej chwili w galerię, byłoby to może popsuć wszystkie plany Rouletabille'a. Zresztą nie miałem sobie nic do wyrzucenia i gdyby zaszło jeszcze coś, czego się nie spodziewał mój przyjaciel, do siebie jedynie mógłby mieć żal o to. Nie rozporządzając już żadnym innym środkiem ostrzeżenia go, ryzykowałem wszystko za wszystko: wyszedłem z gabinetu i zawsze tylko w skarpetkach, mierząc me kroki i nasłuchując pilnie, skierowałem się ku galerii bocznej.

Nikogo w galerii bocznej! Zbliżyłem się do drzwi pokoju Rouletabille'a. Słucham. Nic. Stukam delikatnie. Nic. Obracam klamkę. Drzwi się otwierają. Jestem w pokoju. Rouletabille leży rozciągnięty jak długi na posadzce.

Rozdział XXII

Niespodziewany trup

Z najwyższym niepokojeni pochyliłem się nad ciałem mego przyjaciela i sprawdziłem z radością, że spał! Spał snem głębokim i chorobliwym, jakim niedawno zasypiał w naszych oczach Fryderyk Larsan. I on też był ofiarą narkotyku, który wsączono w nasze pokarmy. Jakim sposobem ja tylko uniknąłem tego losu! Zastanowiłem się wówczas, że narkotyk musiał być wsączony do wina lub wody, w ten sposób wyjaśniło się wszystko: bowiem nie pijam przy jedzeniu. Potrząsnąłem silnie Rouletabille'a, ale bezskutecznie. Nie otworzył oczu. Sen być musiał bez wątpienia dziełem panny Stangerson. Zapewne domyślała się, że więcej jeszcze niż ojca, należy się jej obawiać czuwania młodego Rouletabille'a, który przeczuwał, który wiedział wszystko! Przypomniałem sobie, że służący zachwalał nam szczególnie jeden gatunek wina, które zapewne było też na stole profesora.

Tak upłynęło więcej niż kwadrans. W tych nadzwyczajnych okolicznościach, gdy tak trzeba nam było całej trzeźwości umysłu, odważyłem się na środki energiczne. Wylałem mu na głowę dzbanek wody. Wreszcie otworzył oczy! Biedne oczy, martwe, bez życia i wyrazu. Ale to już było pierwsze zwycięstwo! Należało je dopełnić: wymierzyłem mu dwa silne policzki i podniosłem go. Radości! Uczułem, że się wyprostowuje w mych rękach i posłyszałem szept:

— Jeszcze więcej, ale nie czynń tego hałasu!...

Wymierzać mu więcej policzków, nie czyniąc hałasu, wydało mi się niepodobieństwem. Zacząłem go szczypać i wstrząsać, nim wreszcie stanął na nogach!...

Byliśmy ocaleni!

— Uśpiono mnie — rzekł. — Ach! przeżyłem ohydłą chwilę, zanim się poddałem... Ale to już przeszło! Nie odchodź!...

Jeszcze nie skończył tych słów, gdy krzyk straszny rozległ się w zamku, rzeczywisty krzyk śmierci.

— Nieszczęście! — ryknął Rouletabille — przybywamy za późno!...

I rzucił się do drzwi, ale stracił przytomność i padł pod ścianą. Ja byłem już w galerii z rewolwerem w dłoni, biegłem, jak szalony, w stronę pokoju panny Stangerson. W chwili właśnie, gdy dopadłem przecięcia dwu galerii, spostrzegłem jakiegoś człowieka, który uciekał z mieszkania panny Stangerson i w kilku skokach wypadł na schody.

Nie byłem panem mych ruchów. Strzeliłem... Strzał rewolweru rozległ się w galerii trzaskiem ogłuszającym; ale człowiek w szalonych podskokach zbiegał już po schodach. Biegłem za nim, wołając: Stój! Stój! albo zabiję! Kiedy z kolei rzuciłem się w dół po schodach, widziałem z przeciwka przybywającego z głębi galerii lewego skrzydła Artura Rance'a, który ryczał: Kto tu? Kto tu? Prawie jednocześnie znaleźliśmy się na dole schodów Artur Rance i ja; okno w sieni było otwarte; widzieliśmy dokładnie postać człowieka, uciekającego przez nie; instynktownie strzeliliśmy obaj z naszych rewolwerów w jego kierunku; człowiek nie dalej był jak o dziesięć metrów od nas, zachwiał się i myśleliśmy, że padnie; już wyskoczyliśmy przez okno; ale człowiek począł biec z nową siłą; byłem w skarpetkach, Amerykanin był boso; nie mogliśmy się spodziewać go dosięgnąć, jeśli nasze rewolwery go nie sięgną! Wystrzeliliśmy za nim nasze

ostatnie naboje; wciąż uciekał... Ale uciekał w prawą stronę dziedzińca ku krańcowi prawego skrzydła pałacu, w ten kąt, otoczony fosą i wysokimi żelaznymi sztachetami, skąd niemożliwe jest się wymknąć, w ten kąt, który nie miał innego wyjścia, jak drzwi małego pokoiku w przystawce zamieszkanego obecnie przez gajowego.

Człowiek, choć niechybnie raniony naszymi kulami był o jakie dwadzieścia metrów przed nami. Nagle za nami, nad naszymi głowami otworzyło się okno galerii i posłyszeliśmy głos Rouletabille'a, który krzyczał zrozpaczony:

— Strzelaj! Bernier! Strzelaj!

I noc jasna w tej chwili, noc księżycowa została przeszyta jeszcze jedną błyskawicą.

W blasku tej błyskawicy spostrzeżliśmy ojca Bernier, stojącego z fuzją w drzwiach wieży.

Dobrze wymierzył. Cień padł. Ale ponieważ człowiek dobiegał właśnie do węgła prawego skrzydła zamku, padł w drugą stronę, za węgiel gmachu; to znaczy, że widzieliśmy go padającego, ale rozciągnął się na ziemi dopiero z tamtej strony muru, czego my nie mogliśmy widzieć. Bernier, Artur Rance i ja przybyliśmy na tamtą stronę muru w dwadzieścia sekund później. Martwy cień leżał u naszych stóp.

Rozbudzony zapewne ze swego snu letargicznego przez krzyki i wystrzały Larsan otworzył okno swego pokoju i krzyczał jak przed chwilą Artur Rance: — Kto tam? Kto tam?

A my pochyliliśmy się nad cieniem, nad tajemniczym martwym cieniem zbrodniarza. Rouletabille zupełnie wytrzeźwiony teraz nadbiegł do nas, a ja wołałem:

— Zabity! Zabity!...

— Tym lepiej — rzekł — przenieście go do sieni zamkowej. — Ale wnet się poprawił: — Nie, nie! Złóżmy go w mieszkaniu gajowego!...

Rouletabille zastukał do drzwi pokoju gajowego... Nikt nie odpowiedział... co mnie naturalnie nie zadziwiło.

— Widocznie, nie ma go w domu — rzekł reporter — inaczej byłby wyszedł. Zanieśmy więc to ciało do sieni...

W chwili, gdyśmy się znaleźli nad zabitym, noc stała się znów czarna, bo obłok ponownie przesłonił księżyc tak, że dotykając tego trupa, nie odróżniliśmy jego linii. A spieszo nam było go widzieć! Ojciec Jakub, który nadszedł, pomógł nam przenieść trupa do sieni zamkowej. Tu złożyliśmy go na pierwszym stopniu schodów. Niosąc go czułem na rękach gorącą krew, ciekącą z ran.

Ojciec Jakub pobiegł do kuchni i powrócił z latarką. Pochylił ją nad twarzą trupa i rozpoznaliśmy gajowego, zwanego zielonym człowiekiem, tego samego, którego przed godziną widziałem wychodzącego z paką z pokoju Artura Rance'a, Ale to, co widziałem, mogłem opowiedzieć jednemu Rouletabille'owi tylko, co też zrobiłem wkrótce.

Nie mogę pominąć milczeniem straszego zdumienia – powiem nawet okrutnego zawodu – jaki się odmalował na twarzy Józefa Rouletabille'a i Fryderyka Larsana, który właśnie zeszedł do nas do sieni. Omacywali trupa, przyglądali się tej martwej twarzy, zielonemu ubraniu gajowego i powtarzali jeden za drugim: — Niepodobna!... to niepodobna!

Rouletabille nawet zaklął głośno.

Ojciec Jakub wyrażał ból i zdumienie przy akompaniamencie śmiesznych uzależnień. Utrzymywał, żeśmy się pomylili i że gajowy nie może być mordercą swej pani. Musieliśmy nakazać mu milczenie. Gdyby zabito jego własnego syna, nie utyskiwałby chyba więcej. Zauważyłem, że spośród nas, którzyśmy wszyscy byli nieubrani, w skarpetkach lub boso, ojciec Jakub jeden był ubrany dokładnie.

Ale Rouletabille, klęcząc na kamiennej posadzce sieni, przy świetle latarki ojca Jakuba

rozbierał trupa. Obnażona pierś krwawiła.

I nagle, biorąc z rąk ojca Jakuba latarkę, oświetlił z bliska otwartą ranę, po czym powstał i wyrzekł dziwnym głosem – tonem dzikiej ironii:

— Ten człowiek, którego uważacie za zabitego strzałami rewolweru i śrutem – umarł od uderzenia zadanego nożem w serce!

Pomyślałem raz jeszcze, że Rouletabille zwariował i z kolei pochyliłem się i ja nad trupem. Wtedy mogłem się przekonać, że w istocie ciało gajowego nie miało żadnej rany od postrzału, a tylko okolica serca była rozcięta szpiczastym ostrzem.

Rozdział XXIII

Podwójny ślad

Jeszcze nie ochłonąłem a zdumienia po tern nieoczekiwanym odkryciu, gdy mój młody przyjaciel, uderzając mnie po ramieniu, wyrzekł:

- Chodź za mną!
- Dokąd! — zapytałem.
- Do mego pokoju.
- Co tam będziemy robić?
- Rozmyślać.

Wyznam co do mnie, że czułem się w kompletnej niemożności nie tylko rozmyślania, ale nawet myślenia. W tej nocy tragicznej, po tylu zajściach, których grozie dorównywa jedynie brak ich spoistości, pojąć nie mogłem – jak wobec trupa gajowego i panny Stangerson – być może w agonii, Józef Rouletabille mógł zechcieć rozmyślać. Jednak to zrobił z całą zimną krwią wielkiego dowódcy w samym żarze bitwy. Zamknął za nami drzwi swego pokoju, wskazał mi fotel, siadł sam poważnie naprzeciw i oczywiście zapalił fajkę. Patrzyłem na niego rozmyślającego... i zasnąłem.

Kiedy się zbudziłem, był dzień. Zegarek mój wskazywał ósmą. Rouletabille'a już nie było. Jego fotel naprzeciw mnie stał próżny. Wstałem, przeciągając członki, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł mój przyjaciel. Od razu poznałem z jego fizjonomii, że podczas gdy ja spałem, on nie tracił czasu.

- Panna Stangerson? — zapytałem natychmiast.
- Stan bardzo groźny, nie jest beznadziejny.
- Czy dawno wyszedłeś z tego pokoju?
- Z pierwszym promieniem poranka.
- Czyś pracował?
- Bardzo.
- Odnalazłeś co?
- Podwójny ślad bardzo dziwny, który mógłby mnie wprowadzić w kłopot...
- A teraz cię nie kłopotuje?
- Nie.
- Czy on co wyjaśnia?
- Tak.
- Czy co do niespodziewanego trupa gajowego?

— Tak, ten trup jest zupełnie spodziewany teraz. Odkryłem dziś rano, spacerując koło zamku wyraźne dwa rodzaje kroków, których ślady pozostawiono tej nocy jednocześnie i tak jest w rzeczy samej, bo gdyby jedno z tych stóp dążyło tylko za drugimi tą samą drogą, byłyby podeptały poprzednie – czego nigdzie nie ma. Są to kroki, „które, zdaje się, rozmawiały ze sobą”. Ten podwójny ślad odróżnia się od wszystkich innych śladów pośrodku dziedzińca; skierowuje się ku dąbrowie. Opuszczałem dziedziniec z oczyma w ślady utkwionymi, kiedy zbliżył się do mnie Fryderyk Larsan. Niezwłocznie zaciekał się bardzo moją pracą, bo ten podwójny ślad

zasługiwał w istocie, aby nań zwrócić uwagę. Odnaleźliśmy tu podwójny ślad kroków pamiętnej nocy w żółtym pokoju: kroki pospolite i kroki eleganckie, ale podczas gdy tamtej nocy kroki eleganckie podążały za pospolitymi i znikwały u brzegów stawu, aby umknąć potem podejrzeniu, że oba te ślady należą do jednej osoby – z czego wnioskowaliśmy, Fryderyk Larsan i ja, że oba rodzaje kroków należały do jednej osoby, która tylko zmieniała obuwie – tu kroki eleganckie i kroki pospolite szły obok siebie. Podobne spostrzeżenie mogło zachwiać moje poprzednie pewniki. Larsan zdawał się myśleć jak ja; tak zostaliśmy pochyleni nad krokami, jak psy na tropie.

Wyjąłem z portfela moje stopy papierowe. Pierwsza stopa, którą wyciąłem ze śladu trzewików Jakuba, odnalezionych przez Larsana, to jest ze śladu stóp pospolitych – doskonale zgadzała się z jednym ze śladów obserwowanych. Druga stopa, która była rysunkiem kroków eleganckich, zgodziła się również z innym śladem, ale z małą różnicą w palcach. Naprawdę ten nowy ślad stóp eleganckich różnił się od tegoż śladu u brzegów stawu jedynie końcem bucika. Nie mogliśmy przeto myśleć, że ślad ten należy do tej samej osoby, ale też nie mogliśmy stwierdzić, że do niej nie należy. Nieznajomy mógł mieć inne buciki.

Śledząc wciąż ten podwójny ślad, Larsan i ja, wyszliśmy z dąbrowy i znaleźliśmy się na tych samych brzegach stawu, które znasz z pierwszej naszej wycieczki.

Ale tym razem żadne z nich się nie zatrzymywały i oba dążyły małą ścieżką aż do gościńca, wiodącego do Epinay. Tu znaleźliśmy się na żwirze szosowym, gdzie nic już rozróżnić nie było można i powróciliśmy do zamku w milczeniu.

W dziedzińcu zamkowym rozłączyliśmy się, ale wiedzeni jedną myślą spotkaliśmy się znów przed drzwiami mieszkania ojca Jakuba. Zastaliśmy starego w łóżku i spostrzegliśmy zaraz, że jego ubranie porzucone na krześle było w opłakanym stanie, a obuwie, zupełnie podobne do tego, które znamy, strasznie zabłocone. Chyba nie wówczas, pomagając w przeniesieniu trupa z końca dziedzińca do sieni zamkowej i udając się do kuchni po latarkę ojciec Jakub tak urządził swe obuwie i zamaczał ubranie bo wtedy deszcz nie padał. Ale padał przed tą chwilą i po niej.

Twarz poczciwca nie była wcale piękna. Zdawała się wyrażać straszne zmęczenie, a jego mrugające oczy patrzyły na nas z przerażeniem.

Zaczęliśmy go wypytywać. Odpowiedział nam, że położył się niezwłocznie po przybyciu lekarza, po którego posłał pan Stangerson; ale tak dobrze przycisnęliśmy go, iż w końcu przyznał nam, że w rzeczy samej wychodził z pałacu. Naturalnie dopytywaliśmy o przyczynę; odpowiedział, że go głowa bolała i potrzebował powietrza, ale że nie chodził dalej poza dąbrowę. Opisał nam wtedy całą drogę, którą przeszedł, tak dokładnie, jak gdybyśmy go widzieli idącego. Starzec powstał na swym posłaniu i zaczął drzeć.

— Wyście nie sami tam byli! — zawołał Larsan.

Wówczas ojciec Jakub rzekł:

— To panowie go widzieli?

— Kogo? — zapytałem.

— Ależ... czarne widmo?

Po czym ojciec Jakub nam opowiedział, że od kilku nocy widywał czarne widmo. Ukazywało się w parku z wybiciem północy i sunęło pomiędzy drzewami ze zwinnością nieporównaną. Zdawało się, że przechodzi skroś pnie drzewne. Dwa razy ojciec Jakub, który spostrzegł widmo przez swe okno przy świetle księżycy, wstawał i odważnie udawał się na łowy za dziwnym zjawiskiem.

Nocy przedostatniej już miał je doścignąć, gdy nagle znikło za węglem wieży; wreszcie nocy ostatniej, gdy rzeczywiście wyszedł z zamku, opanowany myślą nowej zbrodni, tylko co

dokonanej, spostrzegł nagle pośrodku dziedzińca zamkowego czarne zjawisko. Podążył za nim najpierw ostrożnie potem coraz bliżej... tak okrążył dąbrowę, staw i wyszedł na drogę do Epinay. Tu widmo nagle znikło.

— Nie widzieliście jego twarzy? — zapytał Larsan.

— Nie! Widziałem tylko czarną zasłonę...

— I po tym, czego byliście świadkiem w galerii, nie rzuciliście się na nie?

— Nie mogłem! Z trudem zaledwie dążyłem za nim.

— Nie szliście za nim, ojcie Jakubie — rzekłem wtedy, a mój głos był groźny — wyście szli razem z widmem aż do drogi do Epinay, pod rękę!

— Nie! — zawołał — Rozpoczęła się ulewa... Jam wrócił!... Nie wiem, co się stało z czarnym widziadłem.

Ale jego wzrok odwrócił się ode mnie.

Opuściliśmy go.

Kiedyśmy wyszli na dwór zapytałem tonem szczególnym, patrząc prosto w twarz Larsana, aby poznać głąb jego myśli:

— Czy wspólnik?

Larsan wzruszył ramionami.

— Czy to można wiedzieć?... Czy można co wiedzieć w takiej sprawie?... Jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu mógłbym zaprzysiąc, że nie ma wspólnika!

I pożegnał mnie, oświadczając, że opuszcza natychmiast zamek, aby się udać do Epinay.

Rouletabille skończył swą opowieść, a ja zapytałem:

— A więc co za wniosek z tego wszystkiego? Co do mnie, nie widzę go!.. Co ty wiesz?

— Wszystko! — zawołał. — Wszystko!

I nigdy nie widziałem go bardziej promieniejącego. Powstał ściskając mi ręce silnie.

— Więc... wytłumacz mi! — prosiłem,

— Chodźmy dowiedzieć się o zdrowie panny Stangerson — odpowiedział nagle.

Rozdział XXIV

Rouletabille zna obie połowy zbrodniarza

Panna Stangerson raz jeszcze uniknęła śmierci. Tym razem jednak stan jej zdrowia był o wiele groźniejszy, niż za pierwszym. Trzy pchnięcia nożem, zadane jej tej nocy przez zbrodniarza w piersi, sprawiły, że nieszczęśliwa długie dni była pomiędzy życiem a śmiercią. Kiedy wreszcie życie okazało się silniejsze, bo chora zaczęła wracać do zdrowia fizycznego, przekonano się, że nie odzyskiwała wcale zdrowia umysłu. Najlżejsza wzmianka o strasznej nocy sprowadzała gorączkowe majaczenia, a uwięzienie pana Roberta Darzaca, które nastąpiło w zamku Glandier, zaraz nazajutrz po odkryciu trupa gajowego – pogłębiło tylko przepaść, w którą wpadał jej bogaty umysł.

Pan Robert Darzac przybył do zamku koło wpół do jedenastej z rana. Widziałem, jak biegł przez park. Ubranie miał w nieładzie, twarz śmiertelnie bladą. Rouletabille i ja staliśmy w oknie na galerii. Spostrzegłszy nas, zawołał z rozpaczą:

— Przybywam za późno!

Rouletabille odpowiedział:

— Ona żyje!

W chwilę potem pan Darzac wchodził do pokoju panny Stangerson, Przez drzwi posłyszeliśmy jego łkanie.

* * *

— Fatalność! — wykrzyknął u mego boku Rouletabille. — Jacyż bogowie piekielni czuwają nad nieszczęściem tej rodziny! Gdyby mnie nie uśpiono, byłbym uratował pannę Stangerson od zbrodniarza, którego uczyniłbym niemym na zawsze!... I gajowy nie byłby zabity.

* * *

Pan Darzac wrócił do nas ze śladami łez na twarzy. Rouletabille opowiedział mi wszystko i jak przygotował wszystko dla ich ocalenia, i jakby to osiągnął, usuwając zbrodniarza na zawsze po rozpoznaniu jego twarzy... i jak jego plan utonął we krwi, wskutek poddania mu środka nasennego.

— Ach! Gdyby pan miał naprawdę zaufanie do mnie, gdyby pan powiedział pannie Stangerson, żeby mi ufała... Ale tutaj każdy się obawia wszystkich... córka obawia się ojca... naręczona – naręczonego... podczas gdy pan zaleca mi czynić wszystko, aby przeszkodzić przybyciu zbrodniarza, ona przygotowuje wszystko, aby się dać zabić! A ja przybyłem za późno na wpół uśpiony, wlokąc się prawie do tego pokoju, w którym dopiero widok nieszczęśliwej, broczącej krwią, mnie otrzeźwił...

Rouletabille opowiedział na życzenie pana Darzaca tę scenę.

Podczas gdy my w sieni i w dziedzińcu ścigamy zbrodniarza, on chwiejnym krokiem, opierając się o ściany, kieruje się do pokoju ofiary. Drzwi przedpokoju są otwarte. On wchodzi: panna Stangerson leży martwa, na wpół oparta na biurku, oczy ma zamknięte, jej biały peniuar, czerwony od krwi, płynącej z jej piersi... Wydaje się Rouletabille'owi będącemu jeszcze pod wpływem narkotyku, że majaczy we śnie. Automatycznie niemal powraca do galerii, otwiera okno, woła nam o zbrodni, rozkazuje zabić... i wraca do pokoju. Przechodzi pusty buduar, wchodzi do salonu, którego drzwi są otwarte, zbliża się do pana Stangersona, który leży uśpiony na kanapie, wstrząsa nim i budzi tak, jak ja budziłem go przed chwilą. Pan Stangerson wstaje z oczyma błędnymi, daje się prowadzić do pokoju córki spostrzega ją i wydaje okrzyk przerażenia... Teraz dopiero oprzytomnia! Obaj, zbierając słabe siły, przenoszą ofiarę na łóżko.

Potem Rouletabille chce zejść do nas, aby... się dowiedzieć... ale mijając pokój, zbliża się do biurka. Tu na podłodze stoi paczka, duża paka. Cóż ta paka tu robi koło biurka?... Sznury rozwiązane... Rouletabille się pochyła: papiery, papiery, fotografie... Czyta: *Nowy elektroskop, kondensator różniczkowy... Własności zasadnicze materii pośredniej...* etc. etc. Na Boga, jakaż to tajemnica, jaka szalona ironia losu! W chwili gdy śmierć dotyka córkę profesora, wracają mu jego bezużyteczne papiery, które nazajutrz on rzuci w ogień!... w ogień!...

* * *

Rankiem po tej nocy strasznej przybył na miejsce pan de Marquet, pisarz sądowy i żandarm. Byliśmy wszyscy badani z wyjątkiem panny Stangerson, która znajdowała się w bezprzytomnym stanie. Po porozumieniu się z Rouletabille'em, postanowiliśmy powiedzieć tylko to, co było konieczne, przemilczając wszystko, co mogłoby dać do myślenia, że spodziewaliśmy się czegośkolwiek, lub że panna Stangerson oczekiwała zbrodniarza. Nieszczęśliwa przypłaciłaby może życiem zdradę tajemnicy, która osłaniała zbrodniarza.

Artur Rance opowiedział wobec wszystkich w sposób nad wyraz naturalny, że widział po raz ostatni gajowego o godzinie jedenastej wieczór.

Przyszedł do jego pokoju po walizkę, którą miał wyprawić nazajutrz wczesnym rankiem na stację w Saint Michel, a zapóźnił się, bo bardzo długo rozmawiali ze sobą o polowaniu i kłusownictwie. Artur Rance w rzeczy samej miał opuścić Glandier rankiem, udając się, jak zwykle pieszo, do Saint Michel, dlatego korzystał z rannego wyjazdu gajowego do miasteczka, aby się uwolnić od swej walizy. Była to ta sama waliza, którą widziałem wynoszoną z pokoju Artura Rance'a przez zielonego człowieka. Pan Stangerson potwierdził powyższe zeznanie, dodając, że miał przyjemność gościć kolegę u swego stołu wieczorem, bo Artur Rance pożegnał się ostatecznie z jego córką i z nim około godziny piątej. Po czym polecił sobie podać tylko herbaty do swego pokoju, będąc nieco cierpiącym.

Bernier odzwierny zeznaje, że tym razem był wezwany przez gajowego, aby ścigać złodziei po lesie (gajowy nie mógł już przeczyć), że nazaczyli sobie miejsce spotkania niedaleko dąbrowy, a widząc że gajowy nie nadchodzi, sam wyszedł naprzeciw niemu. Przechodząc dziedziniec, równał się właśnie z wieżą zamkową, gdy spostrzegł człowieka, który ze wszystkich sił uciekał od strony przeciwnej ku węglowi prawego skrzydła zamku. Strzały rewolwerowe rozległy się w tej chwili za uciekającym. Rouletabille zaś ukazał się w oknie galerii, poznał jego fuzję i krzyknął, by strzelał. Wtenczas Bernier wypalił i był pewien, że trafił człowieka, myślał nawet, że go zabił aż do chwili, gdy Rouletabille, rozebrawszy ciało które padło po jego wystrzale, oznajmił, że ten człowiek był zabity pchnięciem noża... Zresztą on nic nie rozumiał w podobnej przepawie, bo jeśli trup znaleziony nie należał do uciekającego, do którego myśmy wszyscy

strzelali, to ten uciekający kędyś być musiał. A przecież w tym ciasnym kącie dziedzińca, gdzie byliśmy wszyscy skupieni koło trupa, nie było miejsca dla nikogo innego żywego czy umarłego, którego byśmy nie spostrzegli!

Tak mówił ojciec Bernier. Ale sędzia śledczy powiedział mu, że podczas gdy myśmy byli w tym wąskim kącie dziedzińca, noc była bardzo ciemna, bośmy nie mogli rozeznaczyć twarzy gajowego i trzeba go było po to przenieść do zamku. Na co odrzekł ojciec Bernier, że gdybyśmy nawet nie spostrzegli tego ciała żywego czy umarłego, byłibyśmy chyba przeszli po nim, tak ten kąt dziedzińca jest ciasny. Nie licząc trupa, było nas tam pięciu i byłoby naprawdę dziwne, gdyby inne jeszcze ciało uszło naszej uwagi. Jedyne drzwi wychodzące na ten koniec dziedzińca to drzwi mieszkania gajowego i te były zamknięte. Klucz od nich znaleziono w kieszeni gajowego.

Jednak ponieważ to rozumowanie ojca Berniera, które na pierwszy rzut oka wydawało się logiczne, prowadziło ostatecznie do tego, że zabito wystrzałem broni palnej człowieka, który umarł od pchnięcia nożem, sędzia śledczy nie zatrzymał się nad nim dłużej. I było oczywiste dla nas, że sędzia jest przekonany, że my przeoczyliśmy uciekającego, a trup przez nas znaleziony nie ma nic wspólnego z całą naszą sprawą. Dla niego trup gajowego był inną sprawą. I rzeczywiście, jego przypuszczenie musiało się poniekąd zgadzać z pojęciem, jakie miał o obyczajach gajowego, o jego odwiedzinach i stosunkach z żoną właściciela oberży *Pod wieżą*, zgadzało się też z zeznaniami o groźbach śmierci wypowiedzianych przez ojca Mathieu pod adresem gajowego, bo po południu tegoż dnia ojciec Mathieu mimo skargi na bóle reumatyczne i żywe protesty swej żony, był aresztowany i pod eskortą przewieziony do Corbeil. Nic jednakże kompromitującego u niego nie znaleziono, ale jego pogroźki, z którymi dał się słyszeć jeszcze w przededniu wypadku wobec woźniców, oskarżały go bardziej aniżeli nawet, gdyby w jego sienniku znaleziono nóż, którym zadano śmierć zielonemu człowiekowi.

Byliśmy świadkami tego wszystkiego, zdumieni wobec zbiegu tylu strasznych i niewytłumaczonych wypadków, kiedy do szczytu osłupienia posunęło nas przybycie do zamku Fryderyka Larsana, który wyjechał zaraz po przybyciu sędziego śledczego, a teraz wracał w towarzystwie urzędnika kolei żelaznej.

Staliśmy właśnie w przedsionku z Arturem Rance'em, dyskutując nad możliwością udziału lub niewinnością ojca Mathieu. Sędzia śledczy i pisarz byli w znanym nam już małym zielonym saloniku. Ojciec Jakub, wezwany przez sędziego, wchodził tam właśnie. Pan Robert Darzac był na górze, w pokoju panny Stangerson z profesorem i lekarzami. Fryderyk Larsan wszedł do sieni z urzędnikiem kolei żelaznej. Rouletabille i ja poznaliśmy go od razu po szpiczastej blond bródce. — Patrz! — zawołałem — urzędnik z Epinay-sur-Orge! Na co Fryderyk Larsan odrzekł z uśmiechem: — Tak, ma pan słusność, urzędnik z Epinay-sur-Orge. Po czym Fryderyk kazał się zaanonsować sędziemu śledczemu przez żandarma, stojącego u drzwi salonu. Natychmiast ojciec Jakub wyszedł, a Fryderyk Larsan i urzędnik zostali wpuszczeni. Minęło może dziesięć minut. Rouletabille zdradzał zniecierpliwienie. Drzwi salonu znów się otworzyły, żandarm wezwany przez sędziego wszedł tam, wkrótce znowu wyszedł, poszedł na górę po schodach i wrócił. Otwierając drzwi salonu i nie zamykając ich za sobą, rzekł do sędziego śledczego:

— Panie sędzio, pan Robert Darzac nie chce zejść!

— Jak to! Nie chce? — zawołał pan de Marquet.

— Nie! On mówi, że nie może odejść od panny Stangerson.

— Dobrze — rzekł pan de Marquet — skoro on do nas zejść nie chce, my pójdziemy do niego.

Pan de Marquet i żandarm poszli, sędzia dał znak Fryderykowi Larsanowi i urzędnikowi kolei, aby szli za nimi. Rouletabille i ja zamykaliśmy pochód.

Tak doszliśmy do galerii pod drzwi przedpokoju panny Stangerson. Pan de Marquet zastukał.

Wyszła kobieta. Była to Sylwia, niska, okrągła, o jasnoblond włosach, spadających w nieładzie na twarz przerażoną:

— Czy pan Stangerson jest tu? — zapytał sędzia śledczy,

— Tak, panie.

— Proszę mu powiedzieć, że muszę się z nim widzieć.

Sylwia odeszła po pana Stangersona.

Uczony wyszedł. Płakał. Przykro było nań patrzeć.

— Czego panowie chcą jeszcze ode mnie? — zapytał sędziego. — Czy nie można by było panie, w podobnej chwili pozostawić mnie w spokoju!...

— Panie — rzekł sędzia — muszę bezwarunkowo natychmiast widzieć się z panem Robertem Darzakiem. Czy nie mógłby pan skłonić go, aby zechciał opuścić pokój panny Stangerson? Inaczej będę musiał przekroczyć ten próg w otoczeniu mej władzy.

Profesor nie odpowiedział. Popatrzył na sędziego, żandarma i wszystkich im towarzyszących, jak ofiara, która patrzy na swego kata i wrócił do pokoju.

Niebawem pan Robert Darzac zeń wyszedł. Był bardzo blady i przybity, ale gdy poza plecami Fryderyka Larsana spostrzegł urzędnika kolei, jego twarz zmieniła się bardziej jeszcze; oczy stały się błędne i nie mógł powstrzymać głuchego jęku.

Wszyscy spostrzegliśmy tragiczne wzruszenie tej twarzy zbolelej. Czuliśmy, że staje się coś ostatecznego, co zadecyduje zgubę pana Darzaca. Jeden Fryderyk Larsan miał twarz promienną i okazywał radość psa myśliwskiego, który wreszcie pochwycił zdobycz.

Pan de Marquet, wskazując panu Darzac'owi młodego urzędnika o jasnej bródce zapytał:

— Czy pan zna tego pana?

— Poznaję go — rzekł Robert Darzac głosem, który na próżno usiłował opanować. — To urzędnik ze stacji Epinay-sur-Orge.

— Ten młody człowiek — mówił dalej pan de Marquet — oświadcza, że widział pana wysiadającego z pociągu w Epinay-sur-Orge.

— Tej nocy, o godzinie wpół do jedenastej. To prawda! — dokończył pan Darzac.

Zapanowała cisza.

— Panie Darzac — zaczął sędzia śledczy głosem nacechowanym bolesnym wzruszeniem — panie Darzac, co pan robił tej nocy w Epinay-sur-Orge, o kilka kilometrów od miejsca, gdzie dopuszczono się zbrodni nad panną Stangerson?

Pan Darzac milczał. Nie spuścił głowy, ale przymknął oczy, może chciał ukryć swój ból, może się obawiał, by nie wyczytano w jego wzroku czegokolwiek z jego tajemnicy?

— Panie Darzac — nalegał dalej pan de Marquet — czy może mi pan zdać sprawę ze swych czynności w ciągu ubiegłej nocy?

Pan Darzac otworzył oczy. Zdawało się, że posiadał znów całą moc panowania nad sobą.

— Nie! panie.

— Niech się pan zastanowi, panie, bo będę zmuszony, jeśli pan upierać się będzie w swej dziwnej odmowie, zatrzymać pana do mej dyspozycji,

— Odmawiam.

— Panie Darzac, w imieniu prawa aresztuję pana!

Sędzia jeszcze nie dokończył tych słów, gdy Rouletabille gwałtownym ruchem rzucił się ku panu Darzacowi. Chciał widocznie coś mówić, ale ten jednym ruchem zamknął mu usta...

Zresztą żandarm zbliżał się już do więźnia. W tej chwili rozległo się rozpaczliwe wołanie:

— Robert!... Robert!...

Poznaliśmy głos panny Stangerson po tej potężnej bólu. Wszyscyśmy zadrżeli. Tym razem nawet Larsan zbladł. Pan Darzac w odpowiedzi na wołanie już biegł do pokoju.

Sędzia, żandarm i Larsan zastąpili mu drogę. Rouletabille i ja zostaliśmy przed progiem. Widok przejmujący: panna Stangerson, której twarz przysłoniła bladość śmierci, odpychając ojca i lekarzy, podniosła się na swym posłaniu i wyciągała drżące ręce do Roberta Darzaca, na którego ramiona żandarm położył swą dłoń... Jej oczy były szeroko otwarte... widziała... rozumiała... na ustach zadrgało szeptem jakieś słowo... słowo, które zamarło na ustach bezkrwistych... słowo, którego nikt nie słyszał... i padła zemdlona.

Wyprowadzono szybko pana Darzaca z pokoju. Oczekując powozu, po który pospieszył Fryderyk Larsan, zatrzymaliśmy się w sieni. Wzruszenie było ogólne. Pan de Marquet miał łzy w oczach.

Rouletabille, korzystając z tej chwili, rzekł do pana Darzaca:

— Czy pan się nie będzie bronić?

— Nie! — odrzekł więzień.

— A ja pana obronię...

— Pan tego nie może — odrzekł nieszczęśliwy ze smutnym uśmiechem. — Czegośmy nie mogli zrobić, panna Stangerson i ja, pan tego nie zrobi!

— A jednak, zrobię!

Głos Rouletabille'a był dziwnie spokojny i pewny. Mówił dalej:

— Zrobię to, panie Robercie Darzac, bo ja wiem więcej niż pan.

— Dość! — szepnął prawie gniewnie pan Darzac.

— O, niech pan będzie spokojny, nie będę wiedział więcej niż trzeba, aby pana ocalić!

— Nie trzeba nic wiedzieć, jeśli chce pan mieć prawo do mej wdzięczności.

Rouletabille potrząsnął głową. Zbliżył się zupełnie blisko do Darzaca:

— Niech pan słucha, co chcę powiedzieć — rzekł głosem cichym — i niech to da panu nadzieję. Pan zna tylko nazwisko zbrodniarza, panna Stangerson zna tylko połowę zbrodniarza; ale ja znam obie jego połowy... ja znam całego zbrodniarza!

Robert Darzac otworzył szeroko oczy, które wyrażały, że nie rozumie nic z tego, co mu powiedział Rouletabille. Tymczasem nadjechał powóz, sprowadzony przez Fryderyka Larsana. Darzac wsiadł, obok niego żandarm. Larsan pozostał na koźle. Odwieziono więźnia do Corbeil.

Rozdział XXV

Rouletabille wyrusza w podróż

Tegoż samego dnia wieczorem Rouletabille i ja opuszczaliśmy Glandier. Ta miejscowość nie posiadała już nic, co mogłoby nas zatrzymać. Oświadczyłem Rouletabille'owi, że wyrzekam się dochodzenia tylu tajemnic, na co on, klepiąc mnie przyjacielsko po ramieniu, rzekł, że niczego się już nie potrzebuje dowiadywać w Glandier, bo wie już wszystko. Koło ósmej stanęliśmy w Paryżu. Zjedliśmy pośpiesznie obiad, po czym zmęczeni rozstaliśmy się, naznaczając sobie spotkanie nazajutrz rano u mnie.

O oznaczonej godzinie Rouletabille wchodził do mego pokoju. Był ubrany w kratkowany angielski garnitur. W czapce na głowie, z workiem podróżnym w ręku, oznajmił mi, że wyjeżdża.

— Jak długo będziesz w podróży? — zapytałem.

— Miesiąc... dwa... to zależy — odrzekł.

Nie śmiałem pytać więcej.

— Czy wiesz — zapytał — jakie słowo wymówiła panna Stangerson wczoraj, przed omdleniem?... patrząc na pana Darzaca?

— Nie, nikt tego nie słyszał...

— A jednak — rzekł Rouletabille — ja! Ona mu mówiła: *Mów!*

— I pan Darzac będzie mówił?

— Nigdy!

Chciałem przedłużyć rozmowę, ale on uściśnął mi mocno rękę i życzył zdrowia, tak, że zaledwie miałem czas zapytać:

— Czy się nie obawiasz, że w czasie twojej nieobecności może być popełniona nowa zbrodnia?

— Niczego podobnego już się nie obawiam, odkąd pan Darzac jest w więzieniu.

Z tym dziwnym słowem wyszedł. Miałem go spotkać nie wcześniej, jak wobec trybunału przysięgłych w czasie procesu Darzaca, gdy stanął przed kratkami, aby wyjaśnić rzecz niepojętą.

Rozdział XXVI

Józef Rouletabille jest niecierpliwie oczekiwany

Minęło przeszło dwa miesiące od wyżej opisanych wypadków. Dnia 15 stycznia w pierwszej kolumnie, na pierwszej stronie *Epoki* zjawiał się artykuł następujący:

Sąd przysięgłych departamentu Sekwany i Oisy jest powołany dziś do osądzenia jednej z najbardziej tajemniczych spraw w rocznikach sądowych. Nigdy chyba proces żaden nie przedstawiał tylu ciemnych punktów, niezrozumiałych i niewytłumaczalnych. Jednak prokuratoria nie wahała się pociągnąć do oskarżenia człowieka szanowanego i kochanego przez wszystkich, którzy go znali, młodego uczonego, człowieka pracy i uczciwości nieposzlakowanej. Gdy rozeszła się pogłoska o aresztowaniu pana Roberta Darzaca, okrzyk protestu rozległ się ze wszystkich stron. Sorbona, oburzona niesłychanym postąpieniem sędziego śledczego, wypowiedziała swą niczym niezachwianą wiarę w niewinność narzeczonego panny Stangerson. Profesor Stangerson głośno zaświadczył omyłkę, w którą lekkomyślnie popadły władze sądowe i nie ma najmniejszej wątpliwości, że gdyby sama ofiara mogła mówić, zażądałaby od dwunastu przysięgłych Sekwany i Oisy uwolnienia człowieka, którego obrała za małżonka, a którego czeka dziś rusztowanie. Wkrótce może panna Stangerson odzyska przytomność umysłu, którego rozstrój wywołały przejścia przebyte. Czyż ma go postradać po raz drugi, dowiadując się, że człowiek, którego kocha, umarł z ręki kata? To pytanie zwracamy dziś do grona sędziów przysięgłych.

Nie dopuścimy, by dwunastu skądinąd szanowanych obywateli popełniło fatalną omyłkę prawną. Z pewnością fatalny zbieg okoliczności poszlaki oskarżające, niepojęte milczenie oskarżonego, jakieś zagadkowe spędzanie czasu, nieobecność wszelkich dowodów uniewinniających – mogły wprowadzić w błąd prokuratorię, która po daremnym poszukiwaniu winnego zdecydowała się tu go odnaleźć. Poszlaki są na pozór tak oskarżające, że trzeba wybaczyć nawet tak zdolnemu i zazwyczaj szczęśliwemu detektywowi jak Fryderyk Larsan, że dał się im uwieść. Dotychczas wszystko oskarżało pana Darzaca wobec władz sądowych. Dziś my go bronimy, wobec trybunału przysięgłych ciśniemy snop światła na niezbadaną tajemnicę Glandier – bo my wiemy prawdę!

Jeśli wcześniej nie zabieraliśmy głosu to dlatego, że dobrze zrozumiany interes samej sprawy tego wymagał. Czytelnicy nasi pamiętają zapewne te sensacyjne artykuły nasze o *lewej nodze z ulicy Oberkampf*, o sławnej kradzieży w *Kredycie Powszechnym*, o *Sztabach złotych z mennicy* – wszystkie one wskazywały właściwą drogę poszukiwań prawdy, zanim jeszcze przemyślność nieporównanego Fryderyka Larsana zdołała ją ostatecznie odsłonić.

Te artykuły wychodziły z pod pióra najmłodszego naszego współpracownika, Józefa Rouletabille'a, dziecka lat osiemnastu, który od jutra stanie się znakomitym.

Po wypadku w Glandier reporter nasz udał się na miejsce zbrodni i potrafił zainstalować się na zamku, skąd wszyscy inni reporterzy byli usuwani. Pod boki Fryderyka Larsana poszukiwał prawdy, z przerażeniem spostrzegając błąd znakomitego agenta policji, na próżno usiłował sprowadzić go z fałszywego tropu, który tamten śledził. Wielki Fryd nie chciał słuchać

uwag młodego dziennikarza. Wiemy, dokąd to zaprowadziło pana Roberta Darzaca.

Ale trzeba, żeby wiedziała o tym Francja, żeby świat o tym wiedział cały, że wieczorem w dniu aresztowania pana Roberta Darzaca, młody Józef Rouletabille zjawił się w naszym biurze ze słowami:

Wyjeżdżam. Jak długo będę w podróży nie umiem tego określić, może dwa, trzy miesiące... może nie powrócę zupełnie... Oto list... Jeśli nie wrócę do dnia, w którym, pan Robert Darzac stanie wobec sądu przysięgłych, otworzycie panowie ten list wobec sądu, po przesłuchaniu świadków. Proszę porozumieć się w tym z obrońcą pana Roberta Darzaca. Pan Darzac jest niewinny. W tym liście jest imię zbrodniarza, dowodów nie daję, bo jadę ich szukać, podaję tylko tłumaczenie niezbite jego winy.

I nasz współpracownik wyjechał. Długo czekaliśmy daremnie wiadomości o nim. Przed kilku dniami dopiero ktoś nieznamy przyszedł do naszego redaktora z oświadczeniem: *Działajcie panowie według wskazówek Józefa Rouletabille'a, o ile będzie konieczne. W jego liście jest zawarta prawda.* Nieznajomy nie chciał wyjawić swego nazwiska.

Dziś, dnia 15 stycznia stajemy wobec trybunału przysięgłych. Józef Rouletabille jeszcze nie wrócił, być może nie zobaczymy go więcej. Prasa miewa też swoich bohaterów, ofiary obowiązku! Być może, że i on zginął. Potrafimy go pomścić! Nasz redaktor naczelny będzie dziś popołudniu w sądzie – z listem zawierającym nazwisko zbrodniarza!

Na wstępie artykułu umieszczono portret Rouletabille'a.

* * *

Paryżanie, którzy tego dnia podążyli do Wersalu, aby być na sprawie, zwanej *Tajemnicą żółtego pokoju*, nie zapomną pewnie niebywałego ścisku na stacji Saint Lazare. Nie było miejsc w pociągu, musiano przyczepiać nowe wagony. Artykuł *Epoki* poruszył wszystkich, podniecił ciekawość, posunął zamięłowanie dyskusji aż do rozjątrzenia między zwolennikami Józefa Rouletabille'a i fanatycznymi stronnikami Fryderyka Larsana. Nieprzeliczony tłum nie mogący się pomieścić w sali sądowej pozostał aż do wieczora w pobliżu gmachu, z trudnością strzeżonego przez wojsko i policję — chciwy wiadomości, chwytający najdziwaczniejsze, najbardziej fantastyczne pogłoski. Nerwowe naprężenie dosięgało szczytu. I wciąż oczekiwano Rouletabille'a. Ludziom się zdawało, że go znają i rozpoznają, i kiedy jakiś młody człowiek z biletem wejścia w rękę przechodził wolną przestrzeń między tłumem a gmachem sądu, popychania i krzyki się wzmogły. Gniewano się, krzyczano: *Rouletabille! Oto Rouletabille!* Przybycie redaktora *Epoki* było hasłem nowych manifestacji. Jedni przyklaskiwali, inni gwizdali. Było wiele bardzo kobiet w tłumie.

* * *

W sali posiedzeń sprawa toczyła się pod przewodnictwem pana Rocoux'a, członka sądu, człowieka nadętego przesadami swego urzędu, zresztą uczciwego w gruncie. Wezwano świadków. Byłem w ich liczbie: pan Stangerson, postarzały do niepoznania o lat dziesięć, Larsan,

Artur Wiliam Rance o obliczu zawsze promiennym, ojciec Jakub, ojciec Mathieu w kajdankach na rękach, stojący między dwoma żandarmami, pani Mathieu we łzach, oboje Bernierowie, dwie służące panny Stangerson, kamerdyner, wszyscy, domownicy z zamku, urzędnik pocztowy z biura numer 40, urzędnik drogi żelaznej z Epinay, kilka osób znajomych pana i panny Stangerson i wielu świadków ze strony pana Roberta Darzaca. Byłem przesłuchany jeden z pierwszych, co dało mi możliwość słyszenia przebiegu prawie całego procesu.

Nie potrzebuję upewniać, że duszono się na sali. Adwokaci siedzieli na stopniach trybunału, a poza sędziami w czerwonych togach zasiedli przedstawiciele prokuratury sąsiednich okręgów. Pan Robert Darzac zajął miejsce na ławie oskarżonych tak spokojny, wyniosły i piękny, że szmer podziwu raczej niż współczucia go powitał. Pochylił się zaraz do swego obrońcy pana Henryka Roberta, który siedząc obok swego sekretarza pana Andrzeja Hesse'a, zaczął pilnie przeglądać swój notes.

Wielu oczekiwało, że pan Stangerson uściśnie dłoń oskarżonego, ale wnet rozpoczęło się przesłuchiwanie świadków i ta sensacyjna demonstracja nie miała miejsca. Przez chwilę wydało się, że przysięgli zwrócili baczną uwagę na rozmowę pana Henryka Roberta z redaktorem *Epoki*. Po czym ten ostatni zajął miejsce w pierwszym rzędzie wśród siedzącej publiczności.

Czytanie aktu oskarżenia odbyło się, jak zwykle, bez wydarzenia. Pomijam tu długi szereg pytań zadawanych panu Darzacowi. Odpowiadał na nie od razu w sposób naturalny a jednak tajemniczy. Wszystko co mógł powiedzieć, wydawało się naturalne, wszystko co zamilczał, było straszne nawet w oczach tych, którzy wierzyli w jego niewinność. Jego milczenie w pewnych nam znanych punktach, stawало przeciwko niemu i zdawało się, że mocą fatalną zgnieść go musi. Oparł się naleganiom przewodniczącego i przysięgłych. Tłumaczono mu, że milczenie w podobnym razie równa się dłań śmierci.

— Dobrze — odpowiedział — przyjmuję ją, ale jestem niewinny!

Korzystając z tego epizodu, mecenas Henryk Robert zaznaczył wielkość charakteru obwinionego dla tegoż samego milczenia właśnie, robiąc przy tym lekką aluzję, że jedynie względy etyczne są zdolne powodować dusze bohaterskie. Znakomity obrońca trafił tym najzupełniej w myśl tych, którzy znali pana Roberta Darzaca, ale inni pozostali chwiejni. Nastąpiło chwilowe zawieszenie posiedzenia, potem przesłuchiowano długi szereg świadków a Rouletabille'a nie było. Za każdym otwarciem drzwi wszystkie oczy zwracały się w tę stronę a potem przeniosły się na redaktora *Epoki*, który siedział nieporuszony na swym miejscu. Wreszcie spostrzeżono, że szuka czegoś w kieszeni, a potem wyjmując zeń grubą kopertę. Głośny szmer towarzyszył temu ruchowi.

Pomijam monotonne powtarzanie tych samych, dobrze nam znanych zeznań świadków i pospieszam do chwili naprawdę tragicznej w tym dniu pamiętnym. Zbliża się ona, gdy pan Henryk Robert zadaje kilka pytań ojcu Mathieu, który w czasie przesłuchiwania świadków bronił się, że nie zabił zielonego człowieka. Wezwano jego żonę i skonfrontowano oboje. Wówczas wśród łkań wyznała pani Mathieu, że była „przyjaciółką” gajowego, czego domyślał się jej mąż, ale upewnia zarazem, że on nie był winien śmierci jej przyjaciela. Pan Henryk Robert zażądał wówczas, aby trybunał zechciał niezwłocznie posłuchać w tym względzie zeznań Fryderyka Larsana.

W krótkiej rozmowie, jaką miałem z panem Fryderykiem Larsanem w czasie przerwy posiedzenia, dał mi on do zrozumienia, jak inaczej można wytłumaczyć śmierć gajowego, bez mieszania w to ojca Mathieu. Ciekawe będzie poznać pogląd pana Fryderyka Larsana.

Dano głos Fryderykowi Larsanowi. Wyrażał się jasno:

— Nie widzę potrzeby — mówił — mieszania w to wszystko ojca Mathieu. Dla mnie morderca panny Stangerson i morderca gajowego są jedną osobą. Strzelano za mordercą panny

Stangerson uciekającym przez dziedziniec; ludzie mogli myśleć, że go trafili, mogli myśleć, że go zabili; w rzeczy samej on tylko się zachwiał w chwili, gdy zniknął za węgłem zamku. Tu zbrodniarz spotkał gajowego, który pewnie chciał mu zagrozić ucieczką. Zbrodniarz miał jeszcze w ręku nóż, którym zranił pannę Stangerson, nim też zadał cios w serce gajowego i gajowy padł.

To tłumaczenie tak proste wydało się tym bardziej racjonalne, że wielu badających tajemnice Glandier już się tego domyślało. Szmer uznania przebiegł po sali.

— A cóż się stało ze zbrodniarzem? — zapytał przewodniczący.

— Zapewne ukrył się, panie prezydencie, w jakim ciemnym zakątku w tym końcu dziedzińca, a po odejściu ludzi, którzy odnosili ciało do zamku, mógł swobodnie wyjść z ukrycia i uciec.

W tej chwili ze środka stojącej publiczności jakiś głos młodzieńczy dał się słyszeć:

— Jestem zdania Fryderyka Larsana co do ciosu, zadanego nożem w serce. Ale zupełnie nie podzielam jego zdania co do sposobu, w jaki zbrodniarz uciekał z tego końca dziedzińca!

Wszyscy się zwrócili w tę stronę. Woźni rzucili się, nakazując ciszę. Przewodniczący z gniewem zapytał, kto podnosi głos, i nakazał niezwłoczne usunięcie śmiałka, ale posłyszano znów ten sam głos, który wołał:

— To ja, panie prezydencie! To ja! Józef Rouletabille.

Rozdział XXVII

Józef Rouletabille staje w pełnej chwale

Na sali nastąpił gwałt. Rozległy się krzyki mdlejących kobiet. Najmniejszego już względu dla majestatu sprawiedliwości! Każdy chciał widzieć Józefa Rouletabille'a. Przewodniczący wołał, że każe opróżnić salę, ale nikt go nie słuchał. Tymczasem Rouletabille, przeskakując balustradę dzielącą go od siedzącej publiczności i torując sobie drogę silnymi łokciami, stanął przed redaktorem *Epoki*, który go uściskał serdecznie. Rouletabille wziął z jego ręki list wsunął go do swej kieszeni, przecisnął się przed kratki, gdzie przesłuchiowano świadków, popychany i sam popychający z twarzą śmiejącą się, szczęśliwą, jak kula szkarłatna jaśniejąca błyskawicą dwojga dużych oczu.

Miał ten sam garnitur angielski, który na nim widziałem w dniu wyjazdu, ależ w jakim stanie!... – Miły Boże! – pled przez ramię, czapkę podróżną w rękę i rzekł:

— Przepraszam pana, panie prezydencie! Okręć się spóźnił! Wracam z Ameryki! Jestem Józef Rouletabille!...

Rozległ się wybuch śmiechu. Wszyscy byli radzi z powrotu tego urwisa! Sumienia wszystkich doznały jakby zdjęcia wielkiego ciężaru. Odetchnięto. Była pewność, że on musi przynosić prawdę.

Ale przewodniczący był wściekły.

— Ach! to pan jest Józef Rouletabille — zaczął przewodniczący — a więc ja pana nauczę naśmiewać się ze sprawiedliwości... Zanim trybunał rozpatrzy pańską sprawę, zatrzymuję pana do dyspozycji władzy sądowej mocą powierzonego mi obowiązku...

— Ależ, panie prezydencie, ja tylko tego chciałem: być do dyspozycji sprawiedliwości, ja tu po to przyszedłem, aby być do dyspozycji sprawiedliwości... Jeśli moje wejście spowodowało trochę hałasu, przepraszam bardzo wysoki trybunał... Niech mi pan wierzy, panie prezydencie, że nikt więcej niż ja nie szanuje sprawiedliwości... Ale wszedłem, jak mogłem — zaczął się śmiać, a za nim śmiała się cała sala.

— Wyprowadzić go! — rozkazał przewodniczący.

Tu powstał mecenas Henryk Robert. Zaczął tłumaczyć młodego człowieka, mówiąc, że jest on ożywiony najlepszymi chęciami i dał do zrozumienia przewodniczącemu, że niesłusznie usuwa świadka, który nocował w Glandier w ciągu całego tajemniczego tygodnia, świadka, który chce udowodnić niewinność oskarżonego i przynosi nazwisko zbrodniarza.

— Więc pan nam powie nazwisko zbrodniarza? — zapytuje przewodniczący chwiejny, ale jeszcze niechętny.

— Ależ, panie prezydencie, ja tylko po to przyszedłem! — rzecze Rouletabille.

Chciano mu bić huczne oklaski, ale energiczne sykania woźnych przywróciły spokój.

— Józef Rouletabille — mówił mecenas Henryk Robert — nie jest wymieniony na liście świadków, ale spodziewam się, że pan przewodniczący, mocą przysługującego mu prawa, zechce go przesłuchać...

— Dobrze — rzecze przewodniczący — przesłuchamy go, ale skończmy swoje naprzód. Na to powstał obrońca generalny i rzekł:

— Może należałoby lepiej, aby ten młody człowiek zaraz nam powiedział nazwisko tego, którego jako zbrodniarza oskarża...

Przewodniczący przystał z odcieniem ironii.

— Jeśli pan obrońca generalny przywiązuje taką wagę do oświadczenia pana Józefa Rouletabille'a nie mam nic przeciwko temu, aby świadek powiedział nam zaraz nazwisko „swego” zbrodniarza.

Zaległa cisza.

Rouletabille milczał, patrząc z życzliwością na pana Roberta Darzaca, którego twarz po raz pierwszy od początku obrad wyrażała ożywienie i bolesny niepokój.

— A więc — rzekł przewodniczący — słuchamy pana, panie Józefie Rouletabille! Czekamy nazwiska zbrodniarza.

Rouletabille tymczasem sięgnął spokojnie do kieszeni kamizelki, wyjął z niej ogromną staroświecką „cebule”, spojrzął na godzinę i wyrzekł:

— Panie prezydencie, nie mogę panu wcześniej powiedzieć nazwiska zbrodniarza, jak o wpół do siódmej. Mamy jeszcze całe cztery godziny przed sobą!

Sala zaszemrała ze zdziwienia i zawodu. Kilku adwokatów orzekło: — On żartuje z nas!.

Twarz przewodniczącego wyrażała radość, zaś panów Henryka Roberta i Andrzeja Hessa — niezadowolony.

Przeto odezwał się przewodniczący:

— Ta zabawa dość już trwała. Może pan odejść do sali świadków. Zatrzymuję pana do naszej dyspozycji.

Na to zaprotestował Rouletabille.

— Upewniam pana, panie przewodniczący — i zawołał głosem ostrym i donośnym — że kiedy panu powiem nazwisko zbrodniarza, pan zrozumie, że nie mogłem tego powiedzieć wcześniej, jak o wpół do siódmej! Słowo uczciwego człowieka! Słowo Rouletabille'a. Ale tymczasem mogę panom dać trochę wyjaśnień co do zabójstwa gajowego... Pan Fryderyk Larsan, który widział mnie pracującego w Glandier, mógłby coś o tym powiedzieć, jak dokładnie badałem tę sprawę. Mogę być zdania zupełnie przeciwnego niż on i utrzymywać, że aresztując pana Roberta Darzaca, aresztował go niewinnie, ale pan Fryderyk Larsan nie wątpi o mej szczerości, ani o doniosłości moich odkryć, które często współdziałały z jego odkryciami!

— Panie prezydencie — rzekł na to Fryderyk Larsan — będzie bardzo ciekawe posłuchać pana Józefa Rouletabille'a, tym bardziej, że on nie podziela mojego zdania.

Szmer uznania potwierdził słowa agenta policji, który przyjmował pojedynek jak dobry gracz. Zanosilo się na najciekawsze zapasy między dwoma potężnymi umysłami, które jednocześnie wzięły się do rozwiązania tej samej zagadki, a doszły do rezultatów tak różnych.

Ponieważ przewodniczący wciąż, milczał, Fryderyk Larsan mówił dalej:

— Tak więc, zgadzamy się co do rany, zadanej w serce gajowego przez mordercę panny Stangerson, ale ponieważ nie zgadzamy się na punkcie ucieczki zbrodniarza z tego końca dziedzińca, byłoby ciekawe wiedzieć, jak pan Rouletabille tę ucieczkę objaśnia?

— Oczywiście — rzekł mój przyjaciel — to będzie ciekawe!

Cała sala znów się zatrzęsła od śmiechu. Przewodniczący oznajmił zaraz, że jeśli podobny fakt jeszcze się raz powtórzy, nie zawaha się wypełnić swej groźby o opróżnieniu sali.

— Doprawdy — kończył przewodniczący — w podobnej sprawie nie widzę przyczyny do śmiechu.

— I ja tak samo! — zauważył Rouletabille.

Osoby, siedzące przede mną, zatykały sobie usta chustkami do nosa, aby nie wybuchnąć.

— A więc — rzekł przewodniczący — pan słyszał, co mówi pan Fryderyk Larsan. Jakże

według pana zbrodniarz uciekł z tego końca dziecińca?

* * *

Rouletabille popatrzył na panią Mathieu, która uśmiechnęła się do niego smutno.
— Ponieważ pani Mathieu — rozpoczął — zechciała wyznać swoją sympatię dla gajowego...

— Szelma! — zawołał ojciec Mathieu.

— Wyprowadzić ojca Mathieu! — rozkazał przewodniczący.

Ojca Mathieu wyprowadzono.

Rouletabille mówił dalej:

— Ponieważ sama to wyznała, mogę państwu powiedzieć, że miewała ona częste rozmowy w nocy z gajowym, na pierwszym piętrze wieży, w pokoju, który kiedyś służył jako oratorium. Te rozmowy bywały szczególnie częste w ostatnich czasach, kiedy ojciec Mathieu był przykuty do łóżka cierpieniem reumatycznym.

Zastrzyknięcie morfiny umiejętnie udzielone dawało ojcu Mathieu chwilową ulgę w cierpieniu i sen, a żonie jego zapewniało kilka godzin spokoju, w czasie których bywała zniewolona wychodzić z domu. Pani Mathieu chodziła do zamku osłonięta wielkim czarnym szalem, który miał być przebraniem jej osoby, a czynił ją podobną do ciemnego widma, które to widmo tyle razy mąciło nocny spoczynek ojca Jakuba. Dla uprzedzenia przyjaciela o swej obecności, pani Mathieu nauczyła się ponurego miauczenia kota matki Agnieszki, starej wróżki z Sainte-Geneviève-des-Bois. Na ten znak umówiony gajowy schodził ze swej wieży i otwierał drzwi gościowi. Kiedy niedawno rozpoczęto restaurację wieży, spotkania przyjaciół odbywały się jednak dalej w dawnym mieszkaniu gajowego w tejże samej wieży, bowiem nowy pokój, który wyznaczono chwilowo temu nieszczęśliwemu słudze na końcu prawego skrzydła zamku, jest oddzielony od mieszkania kamerdynera i kucharki tylko cienką ścianą.

Owej nocy tragicznej pani Mathieu opuszczała gajowego w najlepszym stanie zdrowia. Pani Mathieu i gajowy, nie mając sobie nic więcej do powiedzenia, wyszli z wieży razem... Zebrałem te szczegóły, panie prezydencie, tylko dzięki starannemu badaniu śladów kroków w dziedzińcu nazajutrz rano. Bernier, odźwierny, którego umieściłem z fuzją na straży poza wieżą, nie mógł widzieć, co się działo w samym dziedzińcu, przybył tu bowiem nieco później dopiero na odgłos strzałów rewolwerowych. W tej chwili jednak pani Mathieu i gajowy wśród ciszy nocnej znajdują się sami na dziedzińcu. Życzą sobie dobrej nocy i pani Mathieu kieruje się do otwartej furty dziedzińca, a on wraca na spoczynek do swego pokoiku na końcu prawego skrzydła zamku.

Gajowy dochodzi właśnie do drzwi swego mieszkania, gdy rozlegają się strzały rewolwerowe; zawraca więc niespokojny; dochodzi już do węgła prawego skrzydła zamku, kiedy cień jakiś rzuca się na niego i zadaje mu cios. Gajowy pada. Jego trup jest natychmiast zabrany przez ludzi, którzy myślą, że są w posiadaniu mordercy, wówczas, gdy mają tylko zamordowanego. Co przez ten czas czyni pani Mathieu? Zaskoczona nagle przez wystrzały i zbiegowisko ludzi, staje się, jak może, najmniejsza wśród ciemnego dziedzińca. Dziedziniec jest obszerny, a znajdując się w pobliżu furty, pani Mathieu mogła przejść niepostrzeżona. Ale nie przeszła. Pozostała i widziała, jak unoszono trupa. Wiedziona tragicznym przecuciem, z sercem przejętym bólem, bardzo zrozumiałym, podeszła aż do sieni zamkowej, spojrzała na schody, oświetlone latarką ojca Jakuba, gdzie złożono jej przyjaciela, zobaczyła i uciekła. Czy zwróciła uwagę ojca Jakuba? W każdym razie ojciec Jakub podążył za czarnym widziadłem, z winy którego i tak już spędził parę nocy bezsennych.

Tejże samej nocy nawet, przed zbrodnią, był zbudzony krzykiem Zwierzątka Bożego a przez okna spostrzegł czarne widmo... Ubrał się więc szybko i dlatego to potem przyszedł do sieni zupełnie już ubrany, kiedyśmy tam przynieśli trupa. Tej nocy ojciec Jakub chciał raz nareszcie spojrzeć w oczy widmu. Poznał je. Ojciec Jakub jest dobrym przyjacielem pani Mathieu. Musiała mu ona wyznać swe nocne wizyty i błagała go o pomoc w tej trudnej chwili. Stan pani Mathieu, która zobaczyła swego przyjaciela zabitego, musiał być istotnie godny współczucia. Ojciec Jakub wzruszony towarzyszył pani Mathieu przez dąbrowę, poza park, ponad wybrzeżem stawu, aż do drogi do Epinay, stąd już tylko kilka metrów dzieliło ją od własnego domu. Ojciec Jakub wrócił do zamku i zdając sobie sprawę z odpowiedzialności prawnej, która stąd wypływała dla znajomej gajowego, gdyby wiadano o jej bytności w zamku tej nocy, usiłował, o ile mógł, ukryć ten dramatyczny epizod. Nie potrzebuję — dodał Rouletabille — prosić pani Mathieu ani ojca Jakóba o dopełnienie tego opowiadania. Po prostu odwołam

się tylko do wspomnień pana Larsana, który zapewne rozumie, jaką drogą dowiedziałem się o wszystkim, bo widział mnie zaraz następnego ranka pochylonego nad podwójnym śladem kroków, idących obok siebie: kroków ojca Jakuba i pani.

Tu zwrócił się w stronę pani Mathieu, która stała przed kratką i złożył jej uprzejmy ukłon.

— Ślady kroków pani — wyjaśniał dalej Rouletabille — mają przedziwne podobieństwo do eleganckich kroków zbrodniarza.

Pani Mathieu zadrżała i utkwiała wzrok dzikiej niepewności w twarzy reportera. Co on śmiał powiedzieć? Co on chciał powiedzieć?

— Pani ma szykowną nóżkę, długą, może nieco za dużą, jak na kobietę. Końcem wąskich nosków bucik przypomina nogę zbrodniarza.

Nastąpiło jakieś poruszenie wśród audytorium. Rouletabille jednak jednym ruchem je uspokoił. Zdawało się, że to on teraz rozkazuje policji i posiedzeniu.

— Pospieszam powiedzieć — mówił — że to niewiele znaczy i że agent śledczy, który buduje systemy na podobieństwie znaków zewnętrznych, nie obejmując całości sprawy, wpada niechybnie w pomyłkę prawną! Pan Robert Darzac ma też stopy zbrodniarza a jednak zbrodniarzem nie jest!

Nowe poruszenie.

Przewodniczący pyta panią Mathieu:

— Więc tak wszystko miało miejsce z panią tego wieczora?

— Tak, panie prezydencie. Tak, jak gdyby pan Rouletabille szedł za nami.

— Więc pani widziała zbrodniarza uciekającego do krańca prawego skrzydła zamku?

— Tak, a w minutę później widziałem podnoszonego trupa gajowego.

— A co się stało ze zbrodniarzem? Pani została sama w dziedzińcu, musiała go pani wtedy widzieć. On nie wiedział o pani obecności, a chwila była właśnie dla jego ucieczki dogodna.

— Nic nie widziałam, panie prezydencie — wyjąkała pani Mathieu. W tej chwili było bardzo ciemno.

— A więc to pan Rouletabille wytłumaczy nam, jak zbrodniarz uciekł — mówił przewodniczący.

— Oczywiście! — rzekł w tej chwili Rouletabille z taką pewnością siebie, że tym razem nawet przewodniczący nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

I Rouletabille znów zabrał głos:

— Niepodobieństwem było dla zbrodniarza uciec normalnie z tego końca dziedzińca, w który wbiegł niepostrzeżony przez nas! Jeślibyśmy go nie widzieli, musielibyśmy go dotknąć! To

jest ciasny kąć podwórza, otoczony fosami i wysokimi, żelaznymi sztachetami, nic więcej! Zbrodniarz byłby nadeptał na nas, albo my na niego! Ten kwadrat był tak samo prawie zamknięty przez fosy, sztachety i nas samych, jak żółty pokój!

— A więc, ponieważ człowiek tam wpadł, niechże pan powie, co zrobił ze sobą, że go panowie nie znaleźli?

Rouletabille jeszcze raz wyjął swoją cebulę z kieszeni, spojrzął na nią niespokojnie i rzekł:

— Panie prezydencie, pan może mnie o to pytać jeszcze przez trzy i pół godziny a ja nie mogę panu dać odpowiedzi w tym względzie aż o wpół do siódmej.

Tym razem szmery nie były ani wrogie, ani zawiedzione. Zaczynano mieć ufność do Rouletabille'a. I bawiono się jego fantazją oznaczenia godziny przewodniczącemu, jak gdyby oznaczał spotkanie koledze. Co do przewodniczącego, to zadawszy sobie naprzód pytanie, czy nie należałoby mu się gniewać – przyjął wreszcie udział w ogólnej wesołości z tego urwisa. Rouletabille umiał wzbudzać sympatię i przewodniczący był nią już też przejęty. Zresztą Rouletabille tak wyraźnie określił rolę pani Mathieu w tej sprawie i tak dobrze wytłumaczył każdy jej ruch tej nocy, że pan de Rocoux czuł się obowiązany traktować go zupełnie poważnie.

— Dobrze, panie Rouletabille — rzekł więc — będzie, jak pan sobie życzy! Ale niech pana już nie widzę przed wpół do siódmej!

Rouletabille uklonił się przewodniczącemu i lekko kołysząc swą wielką głową, skierował się do drzwi, wiodących do sali świadków.

* * *

Szukał mnie wzrokiem, ale nie widział. Wówczas po cichu wysunąłem się z tłumu, cisnącego mnie zewsząd i wyszedłem z sali posiedzeń prawie jednocześnie z Rouletabille'em. Powitał mnie wybuchem serdeczności. Był rozradowany i wymowny, ścisnął me ręce radośnie.

— Nie pytam cię już, drogi przyjacielu, po co jeździłeś do Ameryki — mówiłem, bo odpowiedziałbyś mi pewnie, jak przewodniczącemu, że nie możesz dać odpowiedzi przed wpół do siódmej.

— Nie, mój drogi Sainclair, nie, mój drogi! Powiem ci zaraz poco jeździłem do Ameryki, bo ty jesteś moim przyjacielem: jeździłem szukać nazwiska drugiej połowy zbrodniarza!

— Naprawdę! naprawdę, nazwiska drugiej połowy zbrodniarza!...

— Właśnie! Kiedyśmy wyjeżdżali z Glandier po raz ostatni, znałem dwie połowy zbrodniarza i nazwisko jednej z nich. Nazwiska drugiej pojechałem szukać w Ameryce.

Wchodziliśmy w tej chwili do sali świadków. Podążyli wszyscy do Rouletabille'a z oznakami życzliwości. Reporter był bardzo uprzejmy, względem wszystkich, wyjąwszy Artura Rance'a, któremu okazał wyraźną obojętność. Spostrzegając wchodzącego Fryderyka Larsana, Rouletabille podążył ku niemu, wymienił z nim serdeczny uścisk dłoni. Okazując mu tyle sympatii, Rouletabille musiał być pewny, że go powali, Larsan uśmiechał się spokojny i ze swej strony dopytywał, po co Rouletabille jeździł do Ameryki. Wówczas Rouletabille, nad wyraz uprzejmy, ujął go pod ramię i opowiadał mu mnóstwo wesołych anegdotek z podróży. Po chwili oddalili się, rozmawiając widać o rzeczach bardziej poważnych, przez delikatność opuściłem ich. Zresztą byłem bardzo ciekawy powrócić do sali posiedzeń, gdzie przesłuchiwanie świadków trwało dalej.

Powróciłem na swoje miejsce i zauważyłem, że publiczność niewielką uwagę zwraca na to, co się odbywa na sali, a natomiast oczekuje z niecierpliwością uderzenia w pół do siódmej.

* * *

Wybiło w pół do siódmej i Józef Rouletabille był znów wezwany. Opisać wzruszenie, z jakim oczy tłumu śledziły go przed kratką, jest niepodobieństwem. Nie oddychano już. Pan Robert Darzac powstał ze swej ławy. Był blady jak nieboszczyk.

Przewodniczący wyrzekł z powagą:

— Nie żądam od pana złożenia przysięgi! Pan nie był wymieniony oficjalnie. Ale mam nadzieję, że nie potrzeba panu tłumaczyć całej doniosłości słów, które pan tu wypowie...

Dodał jeszcze z odcieniem groźby:

— ...dla pana, jeśli nie dla innych!

Rouletabille bynajmniej nie zmieszany, patrząc mu prosto w oczy, rzekł:

— Tak panie!

— Zobaczmy — rzekł przewodniczący. — Mówiliśmy o tym ciasnym kącie dziedzińca, który stał się schronieniem zbrodniarza, a pan obiecał nam powiedzieć o w pół do siódmej, jak zbrodniarz uciekł z tego kąta i jakie jest nazwisko jego. Jest już trzydzieści pięć minut na siódmą a my, panie Rouletabille, nic jeszcze nie wiemy!

— Otóż, panie prezydencie — zaczął mój przyjaciel śród uroczystej ciszy — powiedziałem panu, że ten koniec dziedzińca był zamknięty ze wszystkich stron i że było niepodobieństwem dla zbrodniarza uciekać z tego kąta, nie będąc postrzeżonym przez nas. To ścisła prawda. Kiedyśmy byli w tym zamkniętym kwadracie podwórza, zbrodniarz był tam jeszcze z nami!

— I panowie go nie widzieli?! Tego właśnie poszukuje oskarżenie...

— I myśmy go wszyscy widzieli panie prezydencie! — zawołał Rouletabille.

— I panowie go nie zatrzymali!

— Tylko ja jeden wiedziałem, że on jest zbrodniarzem. A zależało mi na tym, aby zbrodniarz nie był ujęty natychmiast! A poza tym, nie miałem wówczas innych dowodów jak tylko mój rozum! Tak, jedynie mój rozum mówił mi, że zbrodniarz jest między nami i że my go widzimy! Użyłem na to wiele czasu, aby dziś wobec trybunału przysięgłych dać dowód niezbity, który – ręczę – że zadowoli wszystkich.

— Ależ, niech pan mówi! Niech pan mówi! Niech nam pan powie jakie jest nazwisko zbrodniarza! — mówił prezydent.

— Pan je znajdzie śród nazwisk tych, którzy byli w tym kącie dziedzińca — odparł Rouletabille, zupełnie się nie spiesząc.

Zaczynano się niecierpliwić na sali.

— Nazwisko! nazwisko! — odzywały się głosy.

Rouletabille tonem, który wart był policzka, rzekł:

— Ociągam się nieco z mym zeznaniem, panie prezydencie, bo mam pewne przyczyny po temu...

— Nazwisko! nazwisko! — wołał już tłum,

— Cicho! — warknął woźny sądowy.

Prezydent zaś rzekł:

— Trzeba natychmiast powiedzieć nam nazwisko panie!... Ci, którzy się znajdowali w kącie dziedzińca byli to: gajowy, zabity. Czy on jest zbrodniarzem?

— Nie, panie,
— Więc ojciec Jakub?
— Nie, panie.
— Odźwierny Bernier?
— Nie, panie...
— Pan Sainclair?
— Nie, panie.
— Pan Artur Wiliam Rance zatem? Pozostaje tylko pan Artur Wiliam Rance i pan! Pan nie jest zbrodniarzem, nie?

— Nie, panie...
— Nie rozumiem już... Dokądże pan dąży?... Nie było nikogo więcej w tym końcu dziedzińca.

— Owszem, panie!... Nie było nikogo w końcu dziedzińca, ani pod nim, ale był ktoś ponad nim, ktoś wychylony ze swego okna, na ten kąt dziedzińca.

— Fryderyk Larsan! — zawołał przewodniczący.

— Fryderyk Larsan! — odrzekł głosem grzmiącym Rouletabille.

I zwracając się do publiczności, spośród której dawały się już słyszeć głośne protesty, rzucił jej te słowa z taką siłą, do jakiej, nie posądziłem go, że jest zdolny:

— Fryderyk Larsan jest zbrodniarzem!

Niepojęta wrzawa, w której wyrażało się zdumienie, przerażenie, oburzenie, niedowiarstwo i uniesienie niektórych dla młodego chłopca, dość zuchwałego, aby rzucić podobne oskarżenie – nappełniła salę. Przewodniczący nie próbował jej nawet uspokoić, aż ucichła sama przez się pod energicznymi nawoływaniami tych, co chcieli jak najszybciej wiedzieć więcej. Słysząc było najwyraźniej głos Roberta Darzaca, który opadając na swą ławę, zawołał:

— To niemożliwe! On zwariował!...

Na to przewodniczący:

— Pan ośmiela się tu oskarżać pana Fryderyka Larsana! Czy pan widzi rezultat podobnego oskarżenia?... Pan Robert Darzac nawet uważa pana za wariata... Jeśli pan nim nie jest, powinien pan mieć dowody.

— Dowody, panie! Pan żąda dowodów! Ach! dostarczę panu dowód — rzekł głosem ostrym Rouletabille. — Niech tu stanie Fryderyk Larsan!

Przewodniczący rozkazał:

— Woźny, proszę zawołać Fryderyka Larsana!

Woźny wybiegł do małych drzwi, otworzył je, zniknął... Małe drzwiczki zostały otwarte. Spojrzenia wszystkich oczu padły w te małe drzwi. Woźny powrócił. Postąpił do środka sali i rzekł:

— Panie prezydencie! Fryderyka Larsana nie ma tam. Wyszedł koło godziny czwartej, nie widziano go więcej.

Rouletabille zakrzyknął zwycięsko:

— Oto mój dowód!

— Niech się pan wytłomaczy. Jaki dowód?... — pyta przewodniczący.

— Mój dowód niezbity! — rzekł młody dziennikarz. — Czyż go nie widzicie? Jest nim ucieczka Fryderyka Larsana! Przysięgam, że nie wróci! Nie zobaczycie panowie więcej Fryderyka Larsana!

Hałas w głębi sali.

— Jeśli pan nie sztydzi sobie z trybunału sprawiedliwości, dlaczego pan nie korzystał

przed paru godzinami z obecności tu Fryderyka Larsana, aby go oskarżyć prosto w oczy? Przynajmniej mógłby panu odpowiedzieć!...

— Jakaż odpowiedź byłaby bardziej oczywista, jak ta, panie przewodniczący?... On nie odpowiada! Nie odpowie mi nigdy! Oskarżam Larsana o zbrodnię, a on ucieka! Czy pan nie uważa tego za odpowiedź?

— My nie chcemy wierzyć, my nie przypuszczamy zupełnie, aby Larsan, jak to pan mówi, ratował się ucieczką... Jakże miałby uciekać? Przecież nie wiedział, że go pan oskarży?...

— Owszem, panie, on wiedział o tym, bo sam mu to powiedziałem przed paru godzinami...

— Pan to zrobił!... Pan jest przekonany, że Larsan jest zbrodniarzem i pan mu daje sposobność ucieczki?

— Tak, panie prezydencie, jam to zrobił — odrzekł Rouletabille dumnie. — Ja nie należę do trybunału sprawiedliwości; ja nie należę do policji; ja jestem zwykłym dziennikarzem i zupełnie nie należy do mnie aresztowanie ludzi! Służę jedynie prawdzie, jak chcę... To moja sprawa... Wy, inni, strzeżcie społeczeństwa, jak możecie, to wasza rzecz... Ale nie ja będę dostarczycielem głów dla kata!... Jeśli pan jest sprawiedliwy, panie przewodniczący — a pan nim jest — pan uzna, że mam słuszość!... Czyż panu nie powiedziałem zaraz z początku, że pan zrozumie później, że nie mogłem powiedzieć nazwiska zbrodniarza przed wpół do siódmej. Wyliczyłem, że ten czas właśnie jest potrzebny, aby uprzedzić Fryderyka Larsana, żeby zdążył na pociąg do Paryża o godzinie czwartej siedemnaście, gdzie już będzie umiał się zabezpieczyć... Godzina, aby przybyć do Paryża, godzina i kwadrans, aby zatarł wszelki ślad za sobą... To wypada o wpół do siódmej... Panowie nie odnajdą Fryderyka Larsana, oświadczył Rouletabille, patrząc prosto w twarz pana Roberta Darzaca... Jest zanadto przebiegły... To człowiek, który wam się zawsze wysuwał... a którego wyście długo i daremnie poszukiwali... Jeśli jest mniej silny, niż ja — dodał Rouletabille, śmiejąc się serdecznie i śmiejąc się sam jeden w tej chwili, bo nikt nie miał ochoty do śmiechu — jest jednak silniejszy niż wszelka policja na świecie. Ten człowiek, który od lat czterech wszedł do wydziału policji i stał się w niej sławny pod nazwiskiem, które znacie doskonale. Fryderyk Larsan, panie prezydencie, jest to Ballmeyer!

— Ballmeyer! — zawołał przewodniczący.

— Ballmeyer! — zawołał Robert Darzac, podnosząc się. — Ballmeyer!... Jestże to prawda?

— Ach! tak, panie Darzac, nie myśli pan już, że zwariowałem — teraz?

Ballmeyer! Ballmeyer! Ballmeyer! To jedno słowo słyszano na sali. Przewodniczący zawiesił posiedzenie.

Czytelnicy wyobrażają sobie, jak przerwa była ożywiona. Publiczność miała o czym mówić. Ballmeyer!! Ależ pogłoska o jego śmierci rozeszła się przed kiełku tygodniami! Więc Ballmeyer wysunął się śmierci, jak przez całe życie wysuwał się żandarmom. Czy mam tu wyliczać głośne czyny Ballmeyera? Przez lat dwadzieścia dostarczały one treści kronice sądowej w rubryce wypadków nadzwyczajnych i jeśli niektórzy z moich czytelników zapomnieli już o sprawie żółtego pokoju, imię Ballmeyera z pewnością nie zatarło się w ich pamięci, Ballmeyer był typem oszusta wśród wielkiego świata: nie było większego dżentelmena od niego; nie było kuglarza o bardziej zręcznych palcach jak on; nie było bandyty bardziej zuchwałego i okrutnego jak on. Przyjmowany w najwyższych towarzystwach, dopuszczany do kółek najbardziej dobranych, kradł honor rodzin i majątki swych partnerów z mistrzostwem, nigdy nieprześcignionym. W okolicznościach krytycznych nie wahał się przed użyciem noża. Zresztą nie cofał się nigdy, żadna próba nie była ponad jego siły. Wpadłszy raz w ręce sprawiedliwości, umknął rankiem w sam dzień procesu, ciskając pieprzem tłuczonym w oczy straży, która go

prowadziła przed sąd przysięgłych. Dowiedziano się później, że w tymże dniu swej ucieczki, podczas gdy najprzebieglejsi agenci policji śledzili jego ślady, on spokojny i bynajmniej nie ucharakteryzowany był obecny na premierze w Teatrze Francuskim. Opuścił potem Francję, aby pracować dalej w Ameryce: policja Stanu Ohio pewnego słonecznego ranka aresztowała niezwykłego bandytę, ale nazajutrz już go nie było.

Trzeba by cały tom napisać, aby opowiedzieć wszystko o Ballmeyerze, i ten człowiek został Fryderykiem Larsanem! A ten mały urwis Rouletabille go wydał! I on wreszcie, znający przeszłość Ballmeyera pozwalał mu raz jeszcze zadzwic ze społeczeństwa, dając mu sposobność ucieczki! Pod tym względem mogę tylko podziwiać Rouletabille'a, bo wiem, że jego celem było służyć aż do końca sprawie panny Stangerson i pana Darzaca, uwalniając ich od zbrodniarza bez jego zeznań.

Jeszcze publiczność nie ochłonęła po tym odkryciu, a za ponowieniem posiedzenia słyszałem już najniecierpliwszych, którzy wołali: — Nawet uznając że zbrodniarzem jest Fryderyk Larsan, jeszcze nam to nie tłumaczy, jak wyszedł z żółtego pokoju!

Rouletabille był znów wezwany i jego badanie podjęto.

Przewodniczący:

— Powiedział pan tylko co, że niemożliwe było uciec z końca podwórza. Uznaję to wraz z panem i chcę uznać, że ponieważ Fryderyk Larsan był wychylony w swym oknie ponad wami, tym samym znajdował się jeszcze w tym końcu podwórza, ale by się znaleźć w swym oknie, musiał opuścić ten kąt podwórza. A więc uciekł! A jak?

Rouletabille:

— Powiedziałem, że nie mógłbym uciec normalnie! Więc uciekł anormalnie... Bo koniec dziedzińca był, jak to zaznaczyłem, tylko prawie zamknięty, wówczas gdy żółty pokój był nim zupełnie. Tu można było wspinać się po murze (rzecz niemożliwa w żółtym pokoju), rzucić się na taras, a z niego, gdy myśmy się pochylili nad trupem gajowego, dostać się do galerii przez okno, znajdujące się właśnie nad tarasem. Stąd Larsan miał jeden krok tylko do zrobienia, aby się znaleźć w swym pokoju, otworzyć okno i mówić do nas. To była tylko dziecinną zabawką dla akrobaty tej miary co Ballmeyer. A oto dowód, panie prezydencie, tego co powiedziałem.

Tu Rouletabille wyjął z kieszeni kamizelki mały pakiecik, który rozwinął i wyjął zeń mały kołek:

— Proszę pana, panie prezydencie, oto kołek. Pasuje on doskonale do otworu, który znajduje się jeszcze w prawej kłamrze podtrzymującej taras. Larsan, który przewidywał wszystko i myślał o wszystkich sposobach ucieczki dokoła swego pokoju, założył ten kołek chwilowo w kłamrę. Jedną nogą opierając się o kamień, który leży w rogu zamku, drugą – na kołku, jedną ręką chwytając za gzyms drzwi gajowego, drugą – za taras, Fryderyk Larsan zniknął nam w przestrzeni... tym bardziej, że jest on niezmiernie zręczny, a tego wieczora bynajmniej nie był uśpiony żadnym narkotykiem, jak to udał wobec nas. Jedliśmy obiad wspólnie i przy deserze zagrał nam rolę takiego pana, który pada nagle uśpiony, tak mu było

potrzeba, aby nazajutrz nie zdziwiono się, że ja, Józef Rouletabille, padłem ofiarą narkotyku, jedząc obiad z Larsanem. Z chwilą gdy obaj temu samemu ulegliśmy losowi, podejrzenie już jego nie dosięgało i zwracało się zupełnie gdzie indziej. Bo ja, panie prezydencie, byłem doskonale uśpiony przez samego Larsana i to jak!... Gdybym nie był w stanie nieprzytomności, nigdy by Larsan nie wszedł do pokoju panny Stangerson tego wieczora i nieszczęście nie byłoby nastąpiło!

Posłyszano ciężkie westchnienie. Był to pan Robert Darzac, który nie mógł powstrzymać swej bolesnej skargi.

— Rozumie pan — mówił dalej Rouletabille — ze sypiając obok, niezmiernie

kępowałem Larsana tej nocy, bo wiedział, albo przynajmniej przypuszczał, że tej nocy ja czuwam! Naturalnie, nie mógł myśleć ani sekundy, że ja go posądzałem. Ale mogłem go odkryć w chwili, gdy wychodził ze swego pokoju. Więc czekał tej nocy, chcąc pójść do panny Stangerson, abym ja usnęła, a mój przyjaciel, pan Sainclair, zajął się w moim własnym pokoju rozbudzeniem mnie. W dziesięć minut potem panna Stangerson wydała okrzyk śmierci.

— Jakże pan mógł wtedy podejrzewać Fryderyka Larsana? — zapytał przewodniczący.

— Dobry kierunek mego rozumu wskazał mi go, panie przewodniczący, więc miałem oko na niego, ale to człowiek strasznie silny, a ja nie przewidziałem podania mi środka nasennego. Tak, tak, dobry kierunek mego rozumu mi go wskazał! Ale trzeba mi było dowodu wymownego: zobaczyć go końcem mego wzroku, skoro go już spostrzegłem końcem mego rozumu!

Cóż to pan rozumie przez *dobry kierunek swego rozumu*?

— Ach! panie, rozum ma dwa końce: zły i dobry. Można się na jednym tylko opierać z całą pewnością: na dobrym! Rozpoznać go można po tym, że nigdy nie trzaśnie, cokolwiek by zrobić, cokolwiek powiedzieć! Nazajutrz po zdarzeniu w tajemniczej galerii, kiedy to siedziałem jak ostatni z ostatnich głupców, którzy nie potrafią zupełnie posługiwać się swym rozumem, bo nie wiedzą, jak go ująć; kiedy pochylałem się nad wszelkimi śladami widzialnymi na ziemi – nagle podniosłem się, opierając się na dobrym końcu mego rozumu i szedłem do galerii. Tu zdałem sobie sprawę, że zbrodniarz, którego ścigaliśmy tej nocy, nie mógł uciec, ani normalnie, ani anormalnie, z galerii. Wówczas to dobrym końcem mego rozumu zakreśliłem koło, w którym zamknąłem zagadkę, a dokoła tego okręgu nakreśliłem w myśli te płomienne zgłoski: *Ponieważ zbrodniarz nie mógł być poza kołem musi być w kole!* Któż jest w tym kole? Dobry koniec mego rozumu pokazuje mi prócz zbrodniarza, który bezwarunkowo być w nim musi: ojca Jakuba, pana Stangersona, Fryderyka Larsana i mnie. To jest razem ze zbrodniarzem pięć osób. Tymczasem, szukając wewnątrz koła, albo jeśli państwo chcą wyrażać się materialnie, w galerii znajduję tylko cztery osoby. Jest dowiedzione, że piąta nie mogła wyjść z koła! A więc posiadam w moim kole kogoś kto stanowi dwie osoby to jest prócz swojej własnej i osobę zbrodniarza. Czemuż dotąd tego nie spostrzegłem? Odpowiedź prosta: bo zjawisko zdwojenia osoby nie zaszło jeszcze w moich oczach. Z kim więc spośród czterech osób objętych kołem zbrodniarz mógł się zespolić tak, że go nie spostrzegłem? Z pewnością nie z tymi, których przez chwilę widziałem oddzielnie ze zbrodniarzem w galerii: pana Stangersona i zbrodniarza, ojca Jakuba i zbrodniarza, siebie i zbrodniarza. Więc zbrodniarzem nie mógł być ani pan Stangerson, ani ojciec Jakub, ani ja! A przy tym gdybym to ja był zbrodniarzem, wiedziałbym o tym dobrze – wszak prawda panie prezydencie?... Czy widziałem jednocześnie Fryderyka Larsana i zbrodniarza? Nie!... Nie!... Przeszło może ze dwie sekundy, gdy straciłem z oczu zbrodniarza, ujrzałem Larsana, bo on może o dwie sekundy wcześniej niż pan Stangerson, ojciec Jakub i ja dopadł do przecięcia dwu galerii. To wystarczyło Larsanowi, aby wpaść w galerię boczną, jednym ruchem ręki odjąć swą sztuczną brodę, odwrócić się i wpaść na nas, jak gdyby ścigając zbrodniarza!... Ballmeyer lepiej potrafił. A panowie może myślą, że dla zabawy on się przebierał i raz ukazywał się panie Stangerson z ryżą brodą, to znów urzędnikowi pocztowemu z brodą ciemną, co go czyniło podobnym do pana Darzaca, którego zgubę zaprzysiągł! Tak, dobry koniec mego rozumu zbliżał mi te dwie osoby lub raczej dwie części jednej osoby, których nie widziałem nigdy jednocześnie: Fryderyka Larsana i nieznanego, którego śledziłem, aby z nich złożyć istotę tajemniczą i olbrzymią: zbrodniarza.

To odkrycie mną wstrząsnęło. Usiłowałem się opanować badaniem śladów dotykalnych czyli znaków zewnętrznych, które aż dotąd w błąd mnie wprowadzały, a które należało objąć normalnie okręgiem koła zakreślonego dobrym kierunkiem mego rozumu!

Przed wszystkim, jakie były znaki zewnętrzne tej nocy, które mnie oddalały od myśli

uznania Fryderyka Larsana za winnego?

Primo. Widziałem nieznanego w pokoju panny Stangerson, a pobiegłszy do pokoju Fryderyka Larsana, zastałem go zaspanego.

Secundo. Drabina.

Tertio. Umieściłem Fryderyka Larsana w końcu galerii bocznej, mówiąc mu, że wpadnę do pokoju panny Stangerson, aby ująć zbrodniarza. Wracając zaś do pokoju panny Stangerson, zastałem tam znów mego nieznanego.

Znak pierwszy zupełnie mnie nie dziwił. Możliwe, że zanim zeszedłem z drabiny od okna panny Stangerson, nieznamy skończył już to, co tam miał do czynienia. Podczas kiedy ja wracałem do zamku, on wrócił do pokoju Fryderyka Larsana, rozebrał się szybko i kiedy ja zastukałem do drzwi, on otwierając ukazał mi rozspaną twarz Fryderyka Larsana.

Znak drugi: drabina, również nie sprawiała mi kłopotu. Oczywiście, gdyby zbrodniarzem był Larsan, nie potrzebowałby drabiny, aby wchodzić do zamku. Ale ta drabina miała nasuwać myśl o przybyciu zbrodniarza z zewnątrz, to było konieczne dla systemu Larsana, bo tej nocy pana Darzaca nie było w zamku. Wreszcie ta drabina w jakimś niepomyślnym wypadku mogła ułatwić ucieczkę Larsanowi.

Ale trzeci znak zewnętrzny, niweczył całe moje rozumowanie. Umieszczając Larsana na końcu galerii bocznej, nie mogłem przypuszczać, że skorzysta z chwili, gdy ja pójdę do pana Stangersona i ojca Jakuba w lewe skrzydło zamku! To był ruch bardzo niebezpieczny! Ryzykował swoją osobę... i wiedział o tym!... I o mało nie został pochwycony... nie mając już czasu wracać na swoje stanowisko, jak się widać tego jeszcze spodziewał... Musiał mieć chyba przyczynę bardzo ważną, aby wracać do tego pokoju, zdał sobie z tego sprawę nagle, dopiero po moim odejściu, bo inaczej nie byłby mi pożyczał rewolweru! Ja zaś, wyprawiając ojca Jakuba na koniec galerii prawej myślałem naturalnie, że Larsan jest na swoim stanowisku w końcu galerii bocznej, a ojciec Jakub, któremu zresztą nie udzielałem żadnych szczegółów, idąc na swoją pozycję, nie patrzył, mijając skrzyżowanie dwu galerii, czy Larsan jest na swojej. Ojciec Jakub myślał zresztą o tym tylko, aby szybko wykonać moje rozporządzenia. Jakaż więc była niespodziewana przyczyna, która po raz wtóry zaprowadziła Larsana do pokoju panny Stangerson? Jaka ona była?... Myślałem, że mógł to być jedynie dotykalny ślad jakiś jego tam pobytu, który go zdradzał. On zostawił tam coś bardzo ważnego dla siebie! Co to było?... Czy to odnalazł?... Przypomniałem sobie świecę na podłodze i pochylonego człowieka... Prosiłem panią Bernier, która sprzątała pokoje, aby szukała... w istocie znalazła tam binokle... Oto te binokle, panie prezydencie! I Rouletabille wyjął z kieszeni znane nam już binokle.

Spostrzegając te binokle, byłem przerażony. Nigdy nie widziałem binokli u Larsana. Jeśli ich nie używał, to dlatego, że ich nie potrzebował... Tym mniej potrzebował ich, gdy swoboda ruchów była dlań koniecznością... Cóż znaczyły te binokle?... One nie wchodziły zupełnie w me koło. Chyba, że są to binokle dalekowidza!... przyszło mi na myśl nagle. W rzeczy samej nigdy nie widziałem Larsana czytającego lub piszącego. Mógł więc być dalekowidzem! Z pewnością policji było wiadome, że on jest dalekowidzem, jeśli nim był w istocie... znano z pewnością jego binokle... Binokle dalekowidza Larsana znalezione w pokoju panny Stangerson po tajemniczym zajściu w galerii – to mogło być groźne dla Larsana! Tak się wyjaśnia powrót Larsana do pokoju!... I w istocie Larsan-Ballmeyer jest dalekowidzem, a te binokle rozpoznają zapewne panowie z policji, czy do niego należą...

Widzi pan — opowiadał dalej Rouletabille — jaki jest mój system. Nie żądam, aby znaki zewnętrzne mówiły mi prawdę, żądam tylko, aby one nie przeczyły prawdzie, którą mi wskazuje dobry kierunek mego rozumu!...

Aby być zupełnie pewnym co do osoby Larsana pragnąłem niefortunnie widzieć jego

twarz. Zostałem za to bardzo ukarany! Sądzę, że to dobry kierunek mego rozumu tak się zemścił, że od chwili wypadku w tajemniczej galerii nie oparłem się na nim mocno, z całym zaufaniem, zaniedbując wszelkie inne dowody, prócz tego jednego przeświadczenia mego rozumu! Wtedy panna Stangerson została raniona...

Rouletabille zatrzymuje się... wyciera nos... żywo poruszony...

* * *

— Ale cóż to Larsan robił w tym pokoju? — pyta przewodniczący. — Czemu dwukrotnie usiłował zabić pannę Stangerson?

— Bo on ją kochał, panie prezydencie...

— Otóż i przyczyna!...

— Tak, panie, przyczyna niezbita. On był zakochany do szaleństwa, i z tej przyczyny i dla wielu innych rzeczy był zdolny do wszystkich zbrodni.

— Czy panna Stangerson wiedziała o tym?

— Tak, panie; ale naturalnie nie wiedziała, że człowiekiem, który ją tak prześladuje, jest Fryderyk Larsan. Inaczej Fryderyk Larsan nie byłby dopuszczony do zamku i nie byłby tej samej nocy po wypadku w tajemniczej galerii wszedł do pokoju panny Stangerson wraz z nami wszystkimi... Zresztą zauważyłem, że stał w cieniu i jego oczy pewnie szukały zaginionych binokli. Panna Stangerson musiała znosić śledzenie i napaści Larsana pod nazwiskiem i przebraniem, którego my nie znamy, ale ona musiała wiedzieć o tym...

— A pan, panie Darzac — zapytał przewodniczący — może panna Stangerson mówiła panu coś o tym? Czemuż panna Stangerson nikomu o tym nic nie powiedziała?... To mogłoby być ważną wskazówką dla władzy w poszukiwaniu śladów zbrodniarza, a panu, o ile jest niewinny, oszczędziłoby przykrości posądzenia!

— Panna Stangerson nic mi nie mówiła — odrzekł pan Darzac.

— A to, co powiada ten młody człowiek, czy zdaje się panu możliwe? — zapytał jeszcze przewodniczący.

Ale niczym nieugięty Robert Darzac jeszcze raz odpowiedział:

— Panna Stangerson nic mi nie mówiła...

— A jak pan wytłumaczy, że w noc zabójstwa gajowego — pytał przewodniczący, zwracając się do Rouletabille'a — zbrodniarz odniósł papiery skradzione panu Stangersonowi? Jak pan wytłumaczy, że zbrodniarz wszedł do zamkniętego pokoju panny Stangerson?

— O! na to ostatnie pytanie chyba łatwa odpowiedź! Taki człowiek jak Larsan-Ballmeyer mógł sobie kazać dorobić bardzo łatwo klucze, jakie mu były potrzebne... Co do kradzieży dokumentów sądzą, że Larsan początkowo o nich nie myślał. Szpiegując wszędzie pannę Stangerson i zdecydowany nie dopuścić do jej małżeństwa z panem Robertem Darzakiem, śledzi on pewnego dnia pannę Stangerson i pana Darzaca w wielkich magazynach Louvre'u i zabiera woreczek, który ona zgubiła, czy też pozwoliła sobie skraść. W tym woreczku znajduje się kluczyk o miedzianej główce. Nie zna wartości tego kluczyka. Poznaje ją dopiero z ogłoszenia, które panna Stangerson podaje do dziennika. Pisze więc do panny Stangerson na poste restante stosownie do prośby, zawartej w ogłoszeniu. W liście żąda schadzki, oświadczając, że znalazca woreczka i kluczyka jest tym samym, który od pewnego czasu prześladuje ją swą miłością. Nie otrzymuje odpowiedzi. Idzie do biura numer 40 sprawdzić, czy jego list odebrany. Idzie tam ucharakteryzowany, jako pan Darzac, bo nie będzie przebierał w środkach, aby osiąść pannę

Stangerson, przygotował zaś wszystko, aby, cokolwiek bądź zajdzie, pan Robert Darzac kochany przez pannę Stangerson, a znienawidzony przez niego – został winnym.

Mówię: cokolwiek bądź zajdzie, ale sądzę, że Larsan nie myślał jeszcze, że posunie się do zbrodni. W każdym razie przedsięwzięcie ostrożności, aby skompromitować pannę Stangerson pod przebraniem pana Darzaca. Larsan zresztą ma postawę pana Darzaca i prawie jego stopę. Nie jest dlań trudno jeśli trzeba, odrysowawszy ślad stopy pana Darzaca, kazać sobie zrobić według tego rysunku obuwie którego następnie będzie używał. To są dziecinne zabawy dla Larsana-Ballmeyera!

A więc nie ma odpowiedzi na list, nie ma schadzki, a maleńki drogocenny kluczyk nosi wciąż w kieszeni, A więc, skoro panna Stangerson nie przychodzi do niego, on pójdzie do niej! Od dawna plan jego jest ułożony. Poznał położenie Glandier i pawilon. Pewnego dnia po południu, gdy panna Stangerson z ojcem wyszli na przechadzkę, a ojciec Jakub też wyszedł, wchodzi do pawilonu przez otwarte okno w przedsionku. Jest przez chwilę sam, ma swobodę... Rozgląda się po meblach. Jeden z nich bardzo dziwny, podobny do kasy ogniotrwałej, ma maleńki zamek... Aha! to go zaciekawia. Ponieważ ma przy sobie maleńki kluczyk o miedzianej główce, zaraz myśli o nim. Próbuje: zamek się otwiera... Papiery!! Muszą być drogocenne bardzo, skoro je zamknięto w tak dziwnej szafce, skoro tak bardzo troszczą się o ten kluczyk, który ją otwiera... Ech! zawsze to się przydać może... może mu ułatwi jego plany miłosne... Szybko robi jeden pakiet z tych papierów i składa na umywalni w przedsionku. Od czasu wyprawy do pawilonu Larsan zdążył przejrzeć te papiery. Co robić z nimi?... One go mogą raczej skompromitować... Tej nocy odnosi je do zamku. Może w zamian za zwrot tych papierów, streszczających w sobie dwadzieścia lat pracy znakomitego profesora, otrzyma wdzięczność panny Stangerson? wszystko możliwe w takim umyśle... Wreszcie jakakolwiek byłaby po temu przyczyna, papiery odniósł, a przeto pozbył się ich.

Rouletabille zakaszła, a ja zrozumiałem ten kaszel. Był widocznie zakłopotany w tym miejscu swych wyjaśnień zamiarem szczerym, aby nie wyjawić prawdziwego motywu okrutnego postępowania Larsana względem panny Stangerson. Jego dowodzenie było oczywiście za mało ściśle, aby wszystkich zadowolić i przewodniczący zrobiłby z pewnością o tym uwagę, gdyby przebiegły jak małpa Rouletabille nie zakrzyknął:

— A teraz przystępujemy do wyjaśnienia tajemnicy żółtego pokoju.

Na sali zaczęto przesuwać krzesła, popychać się, nawoływać energicznie: cicho! Ciekawość stawała u zenitu.

— Ale — rzekł przewodniczący — zdaje się, że według pańskiej hipotezy tajemnica żółtego pokoju jest zupełnie wyjaśniona. I to właśnie Fryderyk Larsan wyjaśnił nam ją, podstawiając tylko na swoje miejsce pana Roberta Darzaca. Oczywiście, że drzwi żółtego pokoju otworzyły się, kiedy pan Stangerson był sam i że profesor pozwolił ujść człowiekowi, który był u jego córki, nie zatrzymując go, może na prośbę córki, aby uniknąć skandalu!..

— Nie, panie prezydencie — zaprotestował silnie Rouletabille. — Pan zapomina, że panna Stangerson omdlała, nie mogła zanosić prośby do ojca, nie mogła za sobą zamknąć ani zamku, ani zatrasku... Pan zapomina też, że pan Stangerson zaprzysiągł na głowę swej konającej córki, że drzwi się nie otwierały!!

— A jednak, panie, to jedyny sposób wyjaśnienia sprawy. Żółty pokój był zamknięty jak kasa ogniotrwała. Posługując się pańskim wyrażeniem, było niepodobna zbrodniarzowi wyjść zeń normalnie czy to anormalnie. Wchodząc do pokoju, nie znaleziono go już, a więc musiał uciec.

— To zupełnie niepotrzebne, panie przewodniczący!

— Jakże to?...

— Nie potrzebował uciekać, skoro go tam nie było!

Wrzawa na sali...

— Jakże to: nie było go tam?

— Oczywiście, że nie! Ponieważ nie mógł tam być, to znaczy, że go tam nie było! Trzeba zawsze, panie prezydencie, opierać się na dobrym końcu rozumu!

— Ależ wszystkie ślady jego przejścia? — zaprotestował przewodniczący.

— To, panie prezydencie, jest zły koniec rozumu! Dobry koniec wskazuje nam to: od chwili, gdy panna Stangerson zamknęła się w swoim pokoju, aż do chwili, gdy wyważono drzwi, niepodobna, aby zbrodniarz uciekł z tego pokoju, a ponieważ jego tam nie znaleziono, to dlatego, że od chwili zamknięcia drzwi do chwili ich wyważenia, zbrodniarza nie było w pokoju!

— Ależ ślady!...

— Ech! panie prezydencie... To są znaki zewnętrzne i jeszcze raz znaki zewnętrzne, dzięki którym popełnia się tyle omyłek prawnych, bo one panu mówią, co zechcą! Nie należy, powtarzam panu, posługiwać się nimi dla rozumowania! Należy naprzód rozumować! A potem patrzeć, czy znaki zewnętrzne mogą wejść w koło pańskiego rozumowania... Mam małe kółko niezbitej pewności: zbrodniarza nie było w żółtym pokoju! Czemuż myślano, że tam był? Z racji śladów jego bytności! Ależ on może był wcześniej! Cóż ja mówię! On musiał być wcześniej! Rozum mi to mówi, że on musiał być wcześniej. Zbadajmy ślady, porównajmy z tym, co wiemy o sprawie i zobaczymy, czy te ślady zgadzają się z jego wcześniejszą bytnością przed tym, zanim panna Stangerson zamknęła się w swoim pokoju przed ojcem i ojcem Jakubem!

Po odczytaniu artykułu w *Le Matin* i rozmowie, jaką miałem z sędzią śledczym w pociągu z Paryża do Epinay-sur-Orge, wydało mi się, że mam pewność najzupełniejszą, że pokój był „matematycznie” zamknięty, a przeto zbrodniarz wyszedł z niego wcześniej, przed wejściem panny Stangerson koło północy do swego pokoju. Ślady wewnętrzne wówczas świadczyły przeciwko memu rozumowaniu. Panna Stangerson nie zabijałaby się sama, te ślady zaś dowodziły, że samobójstwa tu nie było. Więc zbrodniarz był wcześniej! Ale jakim sposobem panna Stangerson była mordowana później, lub raczej wydawała się mordowaną? Należało mi rozłożyć sprawę na dwie fazy, bardzo różne, jedna od drugiej rozdzielone kilku godzinami: pierwsza, gdy istotnie usiłowano zabić pannę Stangerson, napaść, którą ona ukryła przed wszystkimi, drugą, podczas której wskutek sennego majaczenia, jakiemu uległa, ci, co byli w laboratorium, myśleli, że ją mordowano!

Jeszcze wtedy nie byłem w żółtym pokoju. Jakież były rany panny Stangerson? Ślady duszenia i poważna rana na skroni... Ślady duszenia nie sprawiały mi trudności, mogły być sprawione wcześniej i panna Stangerson mogła je ukryć pod jakąś zarzutką. Bo z chwilą, gdy byłem zmuszony dzielić sprawę na dwie fazy, musiałem też uznać, że panna Stangerson ukryła wszelkie zdarzenia pierwszej fazy; musiała mieć przyczyny po temu, widać bardzo poważne, bo pierw nic nie powiedziała swemu ojcu a później naturalnie musiała opowiadać sędziemu śledczemu o napaści zbrodniarza, którego bytności nie mogła zaprzeczyć, jak gdyby miała ona miejsce nocą, w czasie drugiej fazy! Była do tego zmuszona! Inaczej ojciec wymawiałby jej: — Czemuś nam to ukryła? Co znaczy to milczenie po takiej napaści?

Więc ukryła ślady paznokci człowieka na swej szyi. Ale jest jeszcze potężny cios, zadany w skroń! Tego nie rozumiałem! Nade wszystko, gdy się dowiedziałem, że znaleziono kość baranią w pokoju, narzędzie zbrodni! Panna Stangerson nie mogła zataić, że ją uderzono, a tymczasem ta rana zdawała się zadana podczas pierwszej fazy, bo wymagała obecności zbrodniarza! Wystawiałem sobie niesłusznie, że ta rana być musi daleko mniejsza, niż o niej mówiono i myślałem, że panna Stangerson ukryła ją pod niskim zaczesaniem włosów na skronie!

Co do śladu na ścianie ręki zbrodniarza, zranionej rewolwerem panny Stangerson – ten

ślad był oczywiście zostawiony wcześniej, bo zbrodniarz był zraniony w czasie pierwszej fazy, czyli kiedy był tutaj. Wszystkie ślady bytności zbrodniarza były naturalnie pozostawione w czasie pierwszej fazy, to jest: kość barania, czarne ślady stóp, beret, chustka, krew na ścianie, na drzwiach, na podłodze. Najoczywieściej, jeśli te ślady były tam jeszcze, to dlatego tylko, że panna Stangerson nie miała jeszcze czasu ich uprzątnąć. To nakazywało mi szukać pierwszej fazy tej sprawy w czasie bardzo bliskim drugiej. Gdyby po pierwszej fazie, po ucieczce zbrodniarza, kiedy panna Stangerson pospiesznie przyszła do laboratorium, gdzie ją zastał już pracującą profesor, ona mogła być na chwilę powrócić do swego pokoju, byłaby przynajmniej usunęła zaraz kość barania, beret i chustkę, porzucone na podłodze. Ale tego nawet nie próbowała, bo jej ojciec był wciąż przy niej. Po tej pierwszej fazie weszła do siebie dopiero o północy. O godzinie dziesiątej jednak wchodził tam ojciec Jakub zamykać, jak zwykle, okiennice. Pograżona w pracy przy biurku laboratoryjnym, panna Stangerson zapomniała widzieć, że ojciec Jakub wejdzie do jej pokoju, spostrzegając to, prosi go, by się nie fatygował, by nie wchodził do jej pokoju! To jest wyraźnie zaznaczone w artykule *Matina*. Ojciec Jakub jednak wchodzi i... nic nie spostrzeża!... tak w pokoju było ciemno!... Panna Stangerson musiała tu przeżywać straszną chwilę! Jednak myślę, że nie wiedziała nawet o tym, że tyle śladów zostawił po sobie zbrodniarz! Po pierwszej fazie – zapewne – miała tylko czas ukryć ślady palców zbrodniarza i wyjść z pokoju. Gdyby jednak wiedziała, że kość barania, chustka, beret pozostały na podłodze, byłaby je sprzątnęła nawet wtedy, o północy, gdy wracała do swego pokoju... Nie widziała tego!... Rozebrała się przy świetle lampki nocnej... Położyła się zmęczona tyłu wrażeń i przejęta lękiem tego pokoju...

...W ten sposób byłem zmuszony przystąpić do drugiej fazy dramatu... Musiałem też wprowadzić do koła mego rozumowania wszelkie ślady zewnętrzne.

A było ich wiele do wyjaśnienia! Strzały rewolwerowe słyszano w drugiej fazie, krzyki: *Na pomoc! Morderca!* Cóż wobec tego mógł mi wskazać dobry koniec mego rozumu? Co do krzyków naprzód: skoro w pokoju nie było zbrodniarza – była w nim widocznie gorączkowa halucynacja tylko!

Słyszano hałas mebli przewracanych. Wyobrażam sobie... jestem zmuszony wyobrażać to: Panna Stangerson zasnęła pod wrażeniem wspomnień strasznej sceny przedwieczornej... Ona śni... zbrodniarza, który się rzuca na nią, więc krzyczy: *Morderca!* i *Na pomoc!*... Ręka automatycznie szuka rewolweru, który położyła przed zaśnięciem na nocnym stoliku. Jej ręka jednak popycha tak mocno stół, że go przewraca. Rewolwer pada na podłogę, jednocześnie pada zeń strzał i kula umieszcza się w suficie... Ta kula w suficie wydała mi się od początku kulą przypadkowego strzału... Ona pierwsza zdradziła mi możliwość przypadku i tak doskonale zgadzała się z moim przypuszczeniem snu, że była jednym z pierwszych dowodów, upewniających mnie, że zbrodnia miała miejsce wcześniej, tylko panna Stangerson, posiadająca wyjątkowo silny charakter, ukryła ją!.. Sen, obraz gorączkowy, strzał rewolweru... Panna Stangerson zbudziła się w strasznym stanie moralnym; próbuje wstać, ale pada na ziemię, przewracając sprzęty i głosem zdławionym znów woła: *Morderca, Na pomoc!* i traci przytomność...

Jednakże mówiono o dwóch strzałach w czasie drugiej fazy. Według mnie, według mej tezy, były też dwa, ale po jednym w każdej fazie, a nie oba w drugiej tylko... Jeden strzał wcześniej, aby zranić zbrodniarza, a drugi później we śnie. Jakaż pewność, że w nocy były dwa strzały? Słyszano strzał wśród hałasu wywracanych mebli. W zeznaniu swoim pan Stangerson mówi o jednym strzale głuchym najprzód, i o drugim głośnym później! A jeśli strzał głuchy był uderzeniem marmurowego stolika o podłogę?... I to tłumaczenie musi być dobre. Przekonałem się, że jest dobre, gdy się dowiedziałem, że odźwierni, którzy byli w pobliżu pawilonu, słyszeli tylko jeden strzał. Tak zeznali sędziemu śledczemu.

Prawie tak odtworzyłem już sobie obie części dramatu, gdy po raz pierwszy wchodziłem do żółtego pokoju. Jednakże poważna rana w skroni nie wchodziła w zakres mego rozumowania. Ta rana nie mogła być zadana kością baranią przez zbrodniarza w pierwszej fazie, bo była zanadto poważna, aby ją panna Stangerson ukryć mogła i ponieważ jej nie ukryła pod uczesaniem, jakie sobie wyobrażałem. A więc to zranienie nastąpiło w czasie drugiej fazy we śnie!

Z tym zapytaniem udałem się do żółtego pokoju i żółty pokój mi odpowiedział!

Rouletabille wydobył znów ze swego pakieciku kawałek papieru, złożony we czworo i z tego papieru wyjął coś niedostrzegalnego, co trzymając w dwóch palcach, podszedł podać przewodniczącemu.

— To jest włos, panie przewodniczący, jasny włos powalany krwią, włos panny Stangerson... Znalazłem go przylepiony na jednym z rogów marmurowego stolika, przewróconego na podłogę... Ten róg marmuru był krwią powalany. Ot! troszkę krwi w rogu, ale znacząca wiele! Ona mnie upewniła, że, zrywając się w przerażeniu z łóżka, panna Stangerson padła całym swym ciężarem na ten róg marmurowego stolika, który ją zranił w skroń, zatrzymując jednocześnie jeden włos, spadający widać z jej czoła. Lekarze orzekli, że panna Stangerson była uderzona narzędziem tłukącym, a ponieważ znaleziono tam kość baranią – sędzia śledczy oskarżył niezwłocznie kość baranią, ale róg marmurowego stolika jest też przedmiotem tłukącym, o którym ani sędzia, ani lekarze nie pomyśleli, którego może i ja nie byłbym znalazł, gdyby mi go nie wskazał dobry koniec mego rozumu.

Sala raz jeszcze zagrzmiała oklaskami, ale ponieważ Rouletabille dalej ciągnął swoje zeznanie, cisza znów zaległa:

— Pozostawało mi tylko, prócz nazwiska zbrodniarza dowiedzieć się jeszcze w jakiej porze dnia odbyła się pierwsza faza dramatu. Zeznania panny Stangerson, jakkolwiek obmyślane, aby zmylić sędziego śledczego, i badanie pana Stangersona mnie o tym upewniły. Panna Stangerson podała dokładny porządek swych zajęć tego dnia. Przyjeliśmy wtedy, że zbrodniarz wszedł między godziną piątą i szóstą do pawilonu; przypuścimy, że kwadrans po szóstej profesor z córką powrócili do pracy. Trzeba więc szukać między piątą a kwadrans po szóstej. Cóż ja mówię o piątej! Ależ profesor jest wtedy z córką!... Dramat mógł mieć miejsce tylko z dala od profesora! W tym krótkim więc przeciągu czasu muszę szukać chwili, gdy profesor i jego córka są rozdzieleni!... A więc to rozłączenie znajduję w zeznaniu, które miało miejsce w pokoju panny Stangerson wobec pana Stangersona. W nim zaznaczono, że profesor i jego córka wracali koło szóstej do laboratorium. Pan Stangerson mówi: — *W tej chwili spostrzegłem gajowego, który mnie zatrzymał przez chwilę.* Więc była rozmowa z gajowym. Gajowy mówi panu Stangersonowi o wyrębie drzewa. Panny Stangerson nie ma przy nich, ona już wróciła do laboratorium, bo profesor mówi jeszcze: — *Rozstałem się z gajowym i poszedłem do córki, która była już przy pracy.*

Więc to w tych kilku chwilach rozegrał się cały dramat. I tak być musiało! Widzę pannę Stangerson, wracającą do pawilonu, wchodzi do swego pokoju, aby złożyć kapelusze i staje wobec zbrodniarza. Był już tam, w pawilonie, od pewnego czasu. Musiał tak ułożyć całą sprawę, aby wszystko odbyło się nocą. Wówczas to zdjął obuwie ojca Jakuba, które go krępowało w warunkach, które już opowiedziałem sędziemu śledczemu, skończył z kradzieżą papierów, co już opowiedziałem, i wcisnął się pod łóżko, gdy ojciec Jakub powrócił myć podłogę w przedsionku i laboratorium... Czas wydał mu się długi... Po wyjściu ojca Jakuba wyszedł, znów kręcił się po laboratorium wszedł do przedsionka, wyjrzał do ogrodu i spostrzegł zbliżającą się do pawilonu – bo zmierzch był jasny – pannę Stangerson. Nigdy nie napadłby jej w takiej porze, gdyby nie był pewien, że jest sama! Ale ponieważ ona ukazała mu się sama, to widoczne, że rozmowa pana

Stangersona z gajowym przedłużała się na jakimś zakręcie ścieżki – na zakręcie, na którym znajduje się kilka drzew, które ich zasłoniły oczom nędznika. Wówczas jego plan gotów. Będzie spokojniejszy sam z panną Stangerson w tym pawilonie, aniżeli czułby się w nocy, gdy na górze sypia ojciec Jakub. I on to musiał zamknąć okno przedsionka, co tłumaczy, dlaczego ani pan Stangerson ani gajowy, nieco oddaleni od pawilonu, nie posłyszeli strzału.

Potem wraca do żółtego pokoju. Panna Stangerson wchodzi. To co się stało, musiało być szybkie jak błyskawica! Panna Stangerson musiała krzyczeć, albo raczej chciała krzyczeć z przerażenia; on chwycił za gardło... Może chciał ją udusić... Ale ręka panny Stangerson pochwyciła z szufladki stolika rewolwer, który tu zawczasu przygotowała, obawiając się pogróżek nieznanego. Zbrodniarz podnosi już nad głową nieszczęśliwej tę broń okrutną w rękach Larsana-Ballmeyera – kość barania... Ale ona strzela... Kula rani rękę, która upuszcza swą broń. Kość barania pada na podłogę, zakrwawiona krwią zbrodniarza... Zbrodniarz się chwieje, opiera się o ścianę, odciska na niej swe czerwone palce i obawiając się nowej kuli, ucieka...

Ona go widzi, jak ucieka do laboratorium, nasłuchuje... Co on robi w przedsionku?... Coś długo nie skacze przez okno... Wreszcie skoczył! Ona biegnie do okna i zamyka je! A teraz, czy ojciec jej to widział? Czy co słyszał? Teraz, gdy minęło niebezpieczeństwo, cała jej myśl dąży ku ojcu... Obdarzona energią nadzwyczajną, ukryje mu wszystko, jeśli czasu starczy... I kiedy pan Stangerson wraca, zastaje drzwi żółtego pokoju zamknięte, a córkę w laboratorium pochyloną nad biurkiem i pogrążoną w pracy!

Rouletabille zwraca się do pana Darzaca:

— Pan wie prawdę! — woła — niechże pan powie, czy nie tak rzeczy się miały?

— Nic nie wiem — odpowiada pan Darzac.

— Pan jest bohaterem! — krzyczy Rouletabille, zakładając ręce na piersiach. — Ale gdyby panna Stangerson była w stanie zrozumieć, o co pan jest oskarżony, zwolniłaby pana od słowa, prosiłaby, aby pan powiedział wszystko, co panu powierzyła... Co znowu! Ona sama przysłałaby bronić pana!

Pan Darzac nie ruszył się, nie wyrzekł ani słowa, patrzył smutno na Rouletabille'a.

— Wreszcie — rzekł młody dziennikarz — ponieważ panny Stangerson tu nie ma, ja tu być muszę! Ale wierz mi pan, panie Darzac, najlepszym sposobem, jedynym sposobem ratowania panny Stangerson przywrócenia jej przytomności umysłu – jest uniewinnienie się pana!

Grzmot oklasków przywitał ostatnie zdanie. Przewodniczący nawet nie próbował powściągać uniesienia audytorium. Robert Darzac był ocalony. Dość było spojrzeć po przysięgłych, aby się o tym przekonać. Ich zachowanie okazywało wymownie ich przekonanie.

Przewodniczący zawołał wówczas:

— Ależ wreszcie, jakaż to tajemnica nakazuje pannie Stangerson, którą usiłują zabić – ukrywać zbrodniarza wobec ojca?

— Tego panie, ja nie wiem!... — rzecze Rouletabille. — To nie moja rzecz!...

Przewodniczący jeszcze raz zwraca się do pana Darzaca:

— Pan ciągle odmawia wyjaśnień, jak spędził pan czas tej nocy, gdy zagrożano życiu panny Stangerson?

— Nie mogę panu nic powiedzieć, panie...

Przewodniczący wzrokiem błaga o wyjaśnienie Rouletabille'a:

— Należy przypuszczać, panie prezydencie, że nieobecność pana Darzaca jest w ścisłym związku z tajemnicą panny Stangerson... Tak więc pan Darzac czuje się obowiązany zachować milczenie!... Niech sobie pan wystawi na przykład, że Larsan, który obok tych trzech prób zabójstwa, wszystko wprawił w ruch, aby skierować podejrzenie na osobę pana Darzaca – w tym

właśnie czasie naznaczał spotkania panu Darzacowi w miejscach kompromitujących, spotkania, o których trzeba zamilczeć... Pan Darzac pozwoli się raczej zasądzić, niż wyzna cokolwiek bądź, co dotyczy tajemnicy panny Stangerson. Larsan jest dość przebiegły, aby jeszcze i taką kombinację wymyślić!

Przewodniczący na w pół przekonany, ale ciekawy, zapytuje:

— Ale jakaż może być ta tajemnica?

— Ach! panie, nie mogę panu powiedzieć! — rzekł Rouletabille, kłaniając się przewodniczącemu — ale myślę, że już pan wie dość, by uwolnić pana Darzaca! Chyba, że Larsan powróci!.. Ale nie sądzę! — zakończył wesoło radosnym śmiechem.

Wszyscy śmieli się wraz z nim.

— Jeszcze jedno pytanie, panie — rzekł przewodniczący. — Rozumiemy, przyjmując pańską tezę, że Larsan chciał zwrócić podejrzenie na pana Roberta Darzaca, ale jaki interes miał, zwracając je na ojca Jakuba?

— Interes agenta policji, panie! Interes okazania się przebiegłym, niszcząc dowody, które sam nagromadził. To bardzo silne! To wybieg, którym się nieraz posługiwał, chcąc oddalić od siebie podejrzenia. Dowodził nieraz niewinności pierwszego, zanim potępił drugiego. Sprawa, jak ta, musiała być długo naprzód ułożona przez Larsana. Upewniam pana, że wszystko i wszystkich zbadał. Dość, gdy panu powiem że potrafił być pośrednikiem między laboratorium policji i panem Stangersonem, u którego zamawiano doświadczenia. W tym charakterze dwa razy przed zbrodnią był w pawilonie, a był zmieniony, że ojciec Jakub go nie poznał, ale on, Larsan, zdołał przy sposobności skraść ojcu Jakubowi parę starych sandałów i beret zużyty, które ojciec Jakub zawiązał w chustkę, aby je odnieść do znajomego węglarza przy drodze do Epinay!

Po wykryciu zbrodni ojciec Jakub nie spieszył z rozpoznaniem swych przedmiotów. Były one nadto kompromitujące i to wyjaśnia nam jego pomieszanie, kiedy o tym z początku była mowa. Wszystko to jasne jak słońce! Larsan sam musiałby mi to przyznać. A zrobiłby to z satysfakcją, bo jeśli Larsan jest bandytą, o czym, myślę, nikt nie wątpi — to bandytą-artystą!... To jego sposób... Tak samo postępował w sprawie *Kredytu Powszechnego* i *Sztabek złotych z mennicy*. Sprawy te należałoby jeszcze raz przejrzeć panie prezydencie, bo siedzą niewinni po więzieniach, odkąd Larsan-Ballmeyer należy do składu policji.

Rozdział XXVIII

w którym dowiedziono, że nie zawsze myśli się o wszystkim

Burzliwe poruszenie, wrzawa, krzyki, oklaski, brawa! Mecenas Henryk Robert stawia wniosek, aby sprawa była odłożona. Nazajutrz pan Robert Darzac zostaje prowizorycznie uwolniony, ojciec Mathieu zaś zupełnie. Na próżno szukano Fryderyka Larsana. Po ustaleniu dowodów niewinności pan Robert Darzac wreszcie zostaje uwolniony od strasznej potwarzy i odpowiedzialności mu grożącej, a po odwiedzeniu panny Stangerson nabiera nadziei, że przy troskliwych staraniach powróci ona wkrótce do zdrowia umysłu.

Co do Rouletabille'a, ten jest bohaterem dnia. Przy wyjściu z pałacu sprawiedliwości w Wersalu tłum poniósł go w tryumfie. Dzienniki całego świata ogłosiły jego dzieło i podały fotografię. I on, co tyle interviewował znakomitości, sam stał się znakomitym i interviewowanym. Ale nie był przez to dumniejszy.

Wracaliśmy razem z Wersalu, zjadłszy wesoło obiad *Pod psem palącym*. W pociągu zacząłem go zarzucać pytaniami, które już w czasie obiadu cisnęły się na moje usta, ale nie pytałem, wiedząc, że Rouletabille nie lubi pracować, kiedy je.

— Mój drogi — rzekłem — ta sprawa Larsana jest wspaniała i godna twego wielkiego umysłu...

Tu mi przerwał, prosząc, abym się wyrażał prościej, upewniając mnie jednocześnie, że nigdy się nie pocieszy, jeśli umysłowość tak obiecująca, jak moja, popadłaby w ohydny otchłań ogłupienia, i to tylko przez uwielbienie dla niego...

— Więc przystępuję do rzeczy — rzekłem nieco stropiony — wszystko, co słyszałem, jeszcze mi nic nie wyjaśnia, po co jeździłeś do Ameryki. Jeśli dobrze zrozumiałem, to już wyjeżdżając z Glandier, odgadłeś wszystko o Larsanie? Wiedziałeś, że Larsan jest zbrodniarzem i nie miałeś żadnej już wątpliwości co do sposobu usiłowania zabójstwa?...

— Doskonale! A ty — rzekł, odwracając rozmowę — niczego się nie domyślałeś?

— Niczego!

— Niepodobna!

— Ależ, mój kochany, doskonale tałeś przede mną swą myśl, więc nie wiem, jak bym mógł ją odgadnąć... Kiedy przybywałem do Glandier w tej chwili stanowczej z rewolwerami, ty już podejrzewałeś Larsana?

— Tak. Już się trzymałem rozumowania o tajemniczej galerii, ale powrót Larsana do pokoju panny Stangerson wyjaśniło mi dopiero znalezienie binokli dalekowidza. Wreszcie moje podejrzenie było wyłącznie matematyczne, a myśl o Larsanie zbrodniarzu wydała mi się tak ogromna, że zdecydowałem się czekać dowodów dotykających, zanim ośmielę się posunąć dalej. Ale po odnalezieniu binokli, które mi tłumaczyły powrót Larsana do pokoju panny Stangerson — czyś widział mą radość, me uniesienie?... Och! pamiętam dobrze! Biegałem, jak wariat po pokoju i wołałem: — *Obałę wielkiego Fryda! Obałę wielkiego Fryda i to w sposób rozgłośny!* To się stosowało do bandyty. A owego wieczora, gdy zobowiązany przez pana Darzaca czuwać przy pokoju panny Stangerson, nie podejmując żadnych ostrożności w tym względzie, siedziałem przy obiedzie z Larsanem spokojny, bo on siedział vis à vis mnie; powinieneś się być domyśleć,

że tego tylko człowieka się obawiam... Ale była jeszcze rzecz kapitalna, która powinna była upewnić nas obu od razu o jego zbrodni, rzecz która kompromitowała Fryderyka Larsana, a jednak pominęliśmy ją obaj! Czyż już zapomniał o lasce? Tak, poza wszelkim rozumowaniem, które wszelki logiczny umysł prowadziło do posądzenia Larsana, była jeszcze historia z laską, która go denuncjowała w każdym umyśle obserwacyjnym.

Byłem najmocniej zdziwiony, że w toku śledztwa, Larsan nie posłużył się laską przeciwko panu Darzacowi. Czyż ta laska nie była kupiona w sam wieczór zbrodni przez człowieka, którego rysopis tak odpowiada panu Darzacowi? A więc teraz jeszcze, zanim wsiadł do pociągu, pytałem Larsana, czemu nie zużytkował laski? Odrzekł, że nie miał nigdy tego zamiaru, że w jego planie, obmyślanym przeciwko panu Darzacowi ta laska nie miała żadnej roli, i że myśmy go zakłopotali, dowodząc mu w Epinay, że kłamał. Pamiętasz? Mówił, że była z Paryża! Dlaczego wtedy zamiast myśleć: *Fryd kłamie! Był w Londynie; nie może mieć tej laski paryskiej z Londynu.* Czemu nie powiedzieliśmy sobie raczej: *Fryd kłamie! Nie był w Londynie, bo kupił laskę w Paryżu w chwili zbrodni!* I kiedy po wywiadzie u Cassette'a dowiedzieliśmy się, że laska była kupowana przez człowieka ubranego jak pan Robert Darzac; wówczas kiedyśmy byli pewni zapewnienia pana Darzaca, że laski nie kupował; wówczas kiedyśmy wiedzieli dzięki historii w biurze pocztowym, że jest w Paryżu człowiek, który przybiera powierzchowność pana Darzaca; wówczas kiedy zapytujemy się, jakież to człowiek w przebraniu Roberta Darzaca zjawia się w wieczór zbrodni kupować laskę, która w tej chwili jest w rękach Larsana? Jakże to?.. Jak?.. Czemuśmy nie powiedzieli sobie: *A gdyby tym nieznanym przebrany za Darzaca, kupującym laskę, która teraz jest w rękach Fryda... był... sam Fryd...* Z pewnością jego rola agenta śledczego nie sprzyjała temu; ale gdybyśmy zestawili zaciętość, z jaką Fryd gromadził dowody przeciwko panu Darzacowi, wściekłość z jaką go prześladował, moglibyśmy zastanowić się nad kłamstwem Fryda. Wszyscy myśleli, że jest w Londynie, nawet jego władza, a on kupuje laskę w Paryżu! A teraz czemuż to ani razu nie użył jej, jako zostawionej przez pana Darzaca? Bardzo proste! Larsan kupił laskę, będąc zraniony w dłoń kulą rewolweru panny Stangerson, jedynie dlatego, aby mieć coś w ręku, aby mieć rękę zawsze zamkniętą, nie otwierać jej i nie pokazywać rany. Rozumiesz? Oto co powiedział mi sam Larsan. A pamiętasz, jak ci się wydawało nawet śmieszne, że ani na chwilę nie wypuszczał tej laski z ręki?

Wszystkie te szczegóły przypominałem sobie dopiero za późno, kiedy już moja myśl o roli Larsana inną drogą była powzięta. Wreszcie owego wieczora, kiedy Larsan udał sen przed nami, schylając się nad nim, mogłem bardzo zręcznie, niepostrzeżenie dla niego zajrzeć w jego prawą dłoń. Spostrzegłem już plasterek cieniuchnej materii, który pokrywał lekką zresztą ranę. Mógł być już mówić, że tę ranę miał od wszelkiej innej rzeczy, a nie od kuli rewolwerowej. W każdym bądź razie ta rana była nowym znakiem zewnętrznym, który wszedł w koło mego rozumowania. Kula, mówił mi dzisiaj, zaledwie drasnęła jego dłoń, wywołując tylko obfity upływ krwi.

Gdybyśmy byli bardziej przebiegli i niebezpieczni z chwilą jego kłamstwa... kto wie?... być może, aby odwrócić podejrzenie, byłby wytoczył sprawę laski przeciwko Darzacowi; ale zdarzenia się posypały, że zapomnieliśmy o lasce. W każdym razie myśmy dosyć naniepokoiłi pana Larsana-Ballmeyera, nie wiedząc nawet o tym!

— Ale, przerwałem, jeśli nie miał żadnego zamiaru przeciwko panu Darzacowi, kupując laskę, czemu miał palto brązowe i kapelusz, jakby pan Darzac?

— Bo powracał z Glandier w przebraniu Darzaca, które zawsze przywdziewał, o ile potrzebował, wiesz w jakim celu! Ale już ręka zraniona go nużyła i przyszło mu na myśl kupić laskę, co też zaraz zrobił. Była ósma. Człowiek o wyglądzie Darzaca kupuje laskę, którą odnajduję w rękach Larsana! I Ja, który odgadłem, że o tej porze zbrodni już była popełniona,

ja, który byłem przekonany o niewinności pana Darzaca – nie posądziłem Larsana! Ach! bywają chwile...

— Bywają chwile — rzekłem — gdy najpotężniejsze inteligencje...

Rouletabille zamknął mi usta... A kiedy spytałem go jeszcze, spostrzegłem, że nie słucha... Rouletabille spał. Miałem wiele kłopotu z rozbudzeniem go, kiedyśmy stanęli w Paryżu.

Rozdział XXIX

Tajemnica panny Stangerson

Jednego z dni następnych miałem sposobność zapytać raz jeszcze Rouletabille'a, po co jeździł do Ameryki. Nie dał mi na to odpowiedzi dokładniejszej, jak wówczas w pociągu z Wersalu, i zwrócił rozmowę na inne szczegóły sprawy.

Innego dnia powiedział mi w końcu:

— Ale zrozumże dobrze, że musiałem poznać prawdziwą osobistość Larsana.

— Bez wątpienia — rzekłem — ale czemu jeździłeś szukać go po Ameryce?

Palił fajkę i odwrócił się ode mnie. — Oczywiście dotknąłem tajemnicy panny Stangerson. Rouletabille domyślił się, że tajemnica, która w tak okrutny sposób wiązała pannę Stangerson z Larsanem, tajemnica, której wyjaśnienia nie znajdował w obecnym życiu panny Stangerson we Francji, musi mieć swój początek w życiu panny Stangerson w Ameryce. I wsiadł na okręt. Tam dowiedział się, kim był ów Larsan i zdobył materiały potrzebne, aby mu zamknąć usta...

Był też w Filadelfii.

A teraz jakaż to była owa tajemnica, która nakazywała milczenie pannie Stangerson i Robertowi Darzacowi?

Po upływie lat tylu, po tylu publikacjach prasy skandalicznej, teraz kiedy pan Stangerson wie wszystko i przebaczył wszystko, można powiedzieć wszystko.

Zresztą to bardzo niedługa historia.

Jej początek sięga odległych czasów, gdy panna Stangerson jako młoda dziewczyna zamieszkiwała z ojcem w Filadelfii. Tam poznała na wieczorze u jednego z przyjaciół ojca współrodaka Francuza, który zdobył jej serce umysłem, subtelnością, gorącym uczuciem, powierzchownością... Uchodził za bogatego Prosił znakomitego profesora o rękę córki. Ten zaczął wypytywać o Jana Roussela i niebawem przekonał się, że ma do czynienia z oszustem. Pan Jan Roussel domyślać się, że był nikim innym, jak jedną z licznych przemian słynnego Ballmeyera, ściganego we Francji a ukrywającego się w Ameryce. Ale pan Stangerson o tym nic nie wiedział, a jego córka tym mniej. Ona dowiedzieć się o tym miała dopiero znacznie później w następujących okolicznościach: Pan Stangerson odmówił panu Rousselowi nie tylko ręki swej córki, ale nadto zabronił mu wstępu do swego domu.

Młoda Matylda, której serce otwierało się dla miłości, która nie widziała nic na świecie ani piękniejszego, ani doskonalszego jak jej Jan, była tym doprowadzona do ostateczności. Nie ukrywała bynajmniej głębokiego rozżalenia wobec ojca, który wreszcie odesłał ją dla uspokojenia na wieś, do niemłodej ciotki zamieszkującej w stanie Cincinnati, nad brzegami Ohio. Jan i tu odnalazł Matyldę i, mimo głębokiego szacunku, jaki miała dla ojca, panna Stangerson zdecydowała się omylić czujność ciotki i uciec z Janem Rousselem. Celem obojga było, korzystając ze względności praw amerykańskich, wziąć ślub jak najprędzej. Tak też zrobili. Osiedli niedaleko w Louisville. Tu pewnego ranka zastukano do ich drzwi. Była to policja. Przybywała aresztować pana Jana Roussela, co też spełniła mimo jego oporu i płaczu córki profesora Stangersona. Jednocześnie policja oznajmiła Matyldzie, że jej mąż był to ów, aż nadto

sławny, Ballmeyer!

Zrozpaczona po nieudanej próbie samobójstwa Matylda powróciła do ciotki w Cincinnati. Ta z niedającą się opisać radością powitała jej powrót. Od tygodnia nie przestała poszukiwać Matyldy, a nie ośmieliła się jeszcze donieść o tym jej ojcu. Na prośby Matyldy zaprzysięgła, że ojciec nie dowie się o tym nigdy. Tak ułożyła się sprawa z ciotką, która czuła się winną lekkomyślności w tak poważnym wypadku. Po miesiącu panna Stangerson wracała do ojca skruszona, z sercem zmarłym dla miłości, życząc tylko jednej rzeczy: nie słyszeć nigdy o swym mężu, strasznym Ballmeyerze. Życiem pracy i bezgranicznego przywiązania do ojca Matylda wobec własnego sumienia pokutowała za błąd przeszłości.

Dotrzymywała postanowienia. Jednak, gdy doszła ją wiadomość o śmierci Ballmeyera, gdy po wyznaniu wszystkiego wobec Roberta Darzaca, po tylu latach pokuty przyznała wreszcie sobie prawo do szczęścia przez poślubienie prawdziwego przyjaciela — los fatalny wskrzeszał dla niej Jana Roussela-Ballmeyera z jej młodości! Zawiadamiał ją, że nigdy nie dopuści do jej małżeństwa z Robertem Darzakiem, bo ją kocha zawsze — co, niestety, było prawdą.

Panna Stangerson, nie zawahała się wyznać tego Robertowi Darzacowi, pokazała mu ten list, w którym Jan Roussel-Fryderyk Larsan-Ballmeyer przypominał jej dawno ubiegłe chwile w małej, ślicznej plebanijce, którą najęli w Louisville. ...*Plebania nie straciła nic ze swego uroku, ani ogród ze swego blasku.* Nieszczęsny pisał, że jest bogaty i że ma zamiar powrócić z nią tam. Panna Stangerson powiedziała wszystko panu Darzacowi, wyznając, że jeśli ojciec jej dowie się o podobnej hańbie — ona się zabije! Pan Darzac przyrzekł, że nakaże milczenie temu Amerykaninowi groźbą, strachem, choćby zbrodnią! Ale pan Darzac był mało silny i byłby padł w walce, gdyby nie pomoc dzielnego chłopca Rouletabille'a.

Co do panny Stangerson, cóż miała czynić wobec potwora? Pierwszym razem, kiedy po chwilowych groźbach, które nakazały jej ostrożność — stanął przed nią w żółtym pokoju — usiłowała go zabić. Na swoje nieszczęście chybiła. Odtąd stała się ofiarą tej istoty niedosięgalnej, która aż do śmierci mogła jej dyktować postępowanie, która zamieszkała w jej własnym domu, bez jej wiedzy nawet, która wymagała widzeń w imię miłości... Pierwszym razem odmówiła widzenia, którego żądał w liście na poste restante biuro 40; stąd wynikał dramat żółtego pokoju. Drugim razem uprzedzona nowym jego listem, przysłanym pocztą w czasie jej rekonwalescencji, uniknęła spotkania, zamykając się ze swymi służącymi w buduarze. W tym liście nędznik uprzedzał ją, że ponieważ ona ze względu na swój stan nie może wychodzić on przyjdzie do jej pokoju oznaczonej ściśle nocy i godziny, że ona ma przygotować wszystko, aby uniknąć skandalu... Matylda Stangerson, wiedząc, że może się wszystkiego spodziewać po zuchwalstwie Ballmeyera, pozostawiła mu swój pokój... Wtedy to miało miejsce zdarzenie w tajemniczej galerii. Za trzecim razem sama przygotowywała widzenie. Przypomnijmy sobie, że w pozostawionym mu pokoju panny Stangerson owej nocy, Larsan napisał list do niej, który zostawił na biurku. Tym listem dopominał się o rzeczywiste widzenie, którego datę i godzinę oznaczył, przyrzekając jej odnieść papiery jej ojca a grożąc spalaniem, o ile nadal zechce się ukrywać. Ona nie wątpiła, że nikczemnik ma w swym posiadaniu te drogocenne papiery, było to z pewnością tylko powtórzenie zręcznej kradzieży, o jaką go podejrzewała od dawna, może nawet przy własnym nieświadomym współudziale, kiedy to jeszcze w Filadelfii zginęły sławne papiery profesora z jego biurka!... A znała go dosyć, aby wiedzieć, że jeśli nie ulegnie jego woli, tyle pracy, tyle wysiłków i tyle naukowych

nadziei zostanie wkrótce tylko popiołem! Postanowiła widzieć się raz jeszcze twarz w twarz z tym człowiekiem, który był jej mężem kiedyś... i spróbować go ugiać. Domyślały się, co się stało... Błagania Matyldy, brutalność Larsana... Żąda, aby wyrzekła się Darzaca... On wyznaje swą miłość... On ją rani... z myślą ukrytą wysłania na rusztowanie tamtego! Bo on jest zręczny, a

maska Larsana, którą osłania swą twarz ocali go... wówczas gdy tamten... tamten jeszcze i tym razem nie będzie mógł zdać sprawy ze spędzenia tego czasu... Z tej strony ostrożności Ballmeyera są trafnie dobrane... a pobudki ich bardzo proste, jak to odgadł Rouletabille.

Larsan swoją wolę narzuca Darzacowi i Matyldzie... Tą samą bronią... tą samą tajemnicą... Listami nagłymi jak rozkazy oświadcza, że jest gotów do układów, do zwrotu całej korespondencji miłosnej z dawnych czasów, a nade wszystko, że gotów zniknąć... jeśli przystaną na cenę... Darzac musi się stawiać na rendez-vous, które mu oznacza, pod groźbą rozgłoszenia całej tajemnicy zaraz, nazajutrz, a Matylda musi znosić wizyty, które on jej składa... I w chwili gdy Ballmeyer występuje, jako morderca wobec Matyldy, Robert przyjeżdża do Epinay, gdzie wspólnik Larsana, stworzenie nędzne, kreatura z innego świata, którą spotkamy jeszcze kiedyś – zatrzymuje go siłą... każe mu tracić czas w oczekiwaniu, aż ten dziwny zbieg wypadków, z którego jutrzejszy oskarżony nie będzie w stanie zdać sobie sprawy, przyprawi go o utratę głowy...

Tylko, że Ballmeyer nie brał w rachubę Józefa Rouletabille'a.

* * *

Tu jeszcze nie koniec wyjaśnień tajemnicy żółtego pokoju, którą śledzimy wspólnie z Rouletabille'em w Ameryce.

Znamy młodego reportera, wiemy jak potężnymi środkami sprytu, umieszczonego w guzach swego czoła rozporządzał, aby wyświetlić całą historię panny Stangerson i Jana Roussele. W Filadelfii też informował się co do pana Artura Wiliama Rance'a. Dowiedział się o czynie poświęcenia, ale także i o nagrodzie, którą w zamian miał pretensję otrzymać. Pogłoska o jego małżeństwie z panną Stangerson chodziła kiedyś po salonach Filadelfii... Pewna niedyskrecja młodego uczonego, nieustanne poszukiwanie, którym męczył pannę Stangerson nawet w Europie, życie nieporządne, jakie pędził pod pozorem topienia swych smutków – wszystko to nie czyniło go wcale sympatycznym dla Rouletabille'a i tym wyjaśniamy chłód, z jakim go powitał w sali świadków. Od razu zresztą zorientował się, że sprawa Rance'a nie ma nic wspólnego ze sprawą Larsana. Natomiast odkrył stosunek panny Stangerson z Janem Rousselem. Kto był ten Roussel? Z Filadelfii śladem panny Stangerson pojechał do Cincinnati. W Cincinnati odnalazł staruszkę ciotkę i potrafił ją skłonić do wyznań: historia aresztowania Ballmeyera była dlań błyskiem, który mu wszystko wyjaśnił. Mógł obejrzeć w Louisville plebanię – skromny, śliczny domek w starym stylu kolonialnym, który w istocie nic nie stracił ze swego uroku. Potem, opuszczając ślady panny Stangerson, podążył śladem Ballmeyera z więzienia do więzienia, z galer na galery, ze zbrodni w zbrodnię, wreszcie gdy siadał na okręt z powrotem do Europy w porcie New Yorku, Rouletabille wiedział, że w tym samym porcie przed pięciu laty wsiadał Ballmeyer, mając w kieszeni papiery niejakiego Larsana, szanowanego przemysłowca, Francuza z Nowego Orleanu, którego zamordował.

A teraz czy znacie już całą tajemnicę panny Stangerson? Nie, jeszcze nie. Panna Stangerson ze swym mężem Janem Rousselem miała dziecko, chłopczyka. To dziecko przyszło na świat w domu starej ciotki, która tak wszystko urządziła, że nikt w Ameryce nie wiedział o tym. Co się stało z tym chłopcem? To inna historia, którą opowiem kiedy indziej.

W parę miesięcy po wyżej opisanych wypadkach spotkałem Rouletabille'a, melancholijnie siedzącego na ławce w gmachu sprawiedliwości.

— No cóż! — rzekłem — o czyże tak myślisz, drogi przyjacielu? Masz minę smutną. Jak się miewają twoi przyjaciele?

— Czyż poza tobą ja mam prawdziwych przyjaciół? — zapytał.
— Myślę, że pan Darzac...
— Niewątpliwie...
— I że panna Stangerson... Jak się miewa panna Stangerson?
— O wiele lepiej... o wiele... lepiej...
— Więc nie trzeba się smucić!
— Jestem smutny — rzekł — bo myślę o perfumach czarnej damy.
— Perfumy czarnej damy! Słyszę cię ciągle o tym mówiącego! Wytłumaczże mi w końcu, dlaczego cię one tak prześladowają natrętnie?...
— Może kiedyś... kiedyś może... — rzekł Rouletabille.
I ciężko westchnął.

KONIEC

